

SARAH JIO

marcowe fiołki

*Najlepsza książka
2011 roku
według
„Library Journal”*

Co powstanie, gdy połączysz historię
miłosną i tajemnicę z przeszłości?
Marcowe fiołki, pełną niespodzianek
opowieść o tym, że przeszłość
zawsze do nas wraca.

JODI PICOULT

POWIEŚCI

Jio Sarah

Marcowe fiołki

Dziesięć lat temu Emily miała wszystko. Dziś jej kariera leży w gruzach, a ukochany mąż zabiera z ich mieszkania ostatni karton i odchodzi do innej kobiety. Załamana Emily wyjeżdża na wyspę, na której jako dziecko spędzała beztrudne wakacje. Tu będzie mogła odpocząć, wyleczyć rany. Ale wymarzony spokój nie trwa długo. Kim jest Jack, tajemniczy artysta, od którego ciotka każe jej się trzymać z daleka? I czemu historia z odnalezionego pamiątnika tak bardzo przypomina Emily jej własne życie?

ROZDZIAŁ 1

To już chyba wszystko - powiedział Joel. Oparł się o framugę drzwi wejściowych i przebiegł spojrzeniem po naszym mieszkaniu, jak gdyby chciał zapamiętać każdy szczegół. Kupiliśmy ten dwupoziomowy apartament w nowojorskiej kamienicy z przełomu wieków pięć lat temu i razem go odnawialiśmy - w lepszych czasach. Było na co popatrzeć: hall kończył się delikatnym łukiem, w salonie stał zabytkowy kominek, nasz największy skarb wyszukany w sklepie z antykami w Connecticut, ściany jadalni miały głęboką barwę. Długo zadreczaliśmy się wyborem koloru. W końcu padło na marokańską czerwień, odcień smutny i przytłaczający, trochę jak nasze małżeństwo. Po malowaniu wydał się Joelowi zbyt pomarańczowy. Według mnie był idealny.

Spojrzeliliśmy po sobie, ale szybko spuściłam wzrok na rolkę taśmy klejącej, którą trzymałam w dłoni. Mechanicznie oderwałam ostatni kawałek i nakleiłam go na pudełko z rzeczami, które Joel przyszedł odebrać dzisiaj rano. Nagle przypomniałam sobie o skórzanym grzbiecie książki, który mignął mi niebieską plamą w zaklejonym już pudełku. Posłałam Joelowi oskarżycielskie spojrzenie.

- Zaraz. Zabrałeś mój egzemplarz *Years of Grace*?

Czytałam tę książkę sześć lat temu w czasie naszej podróży poślubnej na Tahiti, lecz nie pamięć o tamtym wyjeździe chciałam opiewać jej naderwanymi stronami. Do tej pory trudno mi uwierzyć, że wyciągnęłam powieść Margaret Ayer Barnes, zdobywczyni Pulitzera w 1931 roku, z zakurzonego stosu poradników w hotelowym hallu. Jak tylko otworzyłam kruchy grzbiet książki, poczułam, że jest mi dziwnie znajoma, choć nie byłam w stanie tego wytłumaczyć. Ta poruszająca opowieść o miłości, stracie i akceptacji, ukrytych namiętnościach i niewypowiedzianych myślach na zawsze zmieniła sposób, w jaki postrzegałam własne pisanie. Być może dlatego przestałam pisać. Joel nigdy jej nie przeczytał. Cieszyło mnie to, bo była zbyt intymna, aby się nią dzielić. Czułam się, jakbym czytała strony ze swojego nieistniejącego pamiętnika.

Joel przyglądał się, jak odrywałam taśmę, otwierałam pudełko i przetrząsałam je w poszukiwaniu starej powieści. Gdy ją znalazłam, ciężko odetchnęłam. Byłam zupełnie wyczerpana emocjonalnie.

- Wybacz - odrzekł z zakłopotaniem. - Nie zdawałem sobie sprawy, że ty...

Nie zdawał sobie sprawy z wielu rzeczy. Zacisnęłam kurczowo dłoń na książce, pokiwałam głową i zakleiłam pudełko.

- Myślę, że to już wszystko - stwierdziłam i wstałam z podłogi. Przyglądał mi się badawczo i tym razem odwzajemniłam

jego spojrzenie. Po południu, za kilka godzin, podpiszę papiery rozwodowe. Do tego czasu będzie nadal moim mężem. Jednak ciężko było mi patrzeć w te brązowe oczy ze świadomością, że mężczyzna, którego poślubiłam, porzuca mnie dla innej. Jak do tego doszło?

Scena naszego rozstania rozegrała się w mojej głowie niczym tragedia, milionowy raz od chwili naszej separacji. Deszczowy poranek, poniedziałek, listopad. Smażyłam jajecznicę doprawianą tabasco, jego ulubione danie, kiedy powiedział mi o Stephanie. Umiała go rozśmieszyć, rozumiała go, byli pokrewnymi duszami. Wyobraziłam sobie dwa dopasowane klocki Lego

i zadrzałam na samą myśl. Zabawne - gdy tylko pomyślę o tamtym poranku, czuję swąd przypalonych jajek i tabasco. Gdybym wiedziała, że tak będzie pachniał koniec mojego małżeństwa, zrobiłabym naleśniki.

Ponownie zajrzałam Joelowi w oczy. Patrzyły smutno i niepewnie. Wiedziałam, że jeśli tylko wstanę i rzucę się w jego ramiona, istnieje szansa, iż przytuli mnie z miłością skruszonego męża, który już nigdy nie odejdzie, nie rozbije naszego małżeństwa. To niemożliwe, pomyślałam. Wyrządził mi krzywdę, więc tak naprawdę zdecydował za nas.

- Żegnaj, Joelu - powiedziałam.

Moje serce chciało ulec, ale mój umysł wiedział swoje. Joel musiał odejść.

Wyglądał na zranionego.

- Emily, ja...

Szukał przebaczenia? Chciał spróbować jeszcze raz? Nie wiedziałam. Wyciągnęłam do niego rękę, by nie przedłużał niepotrzebnie tej chwili.

- Żegnaj - powiedziałam, choć wiele mnie to kosztowało. Skinął z powagą i odwrócił się w stronę drzwi. Zamknęłam

oczy i przysłuchiwałam się, gdy bezszelestnie zamykał je za sobą. Rozczulił mnie tym, że przekręcił klucz w zamku. Nadal mu zależy... przynajmniej na moim bezpieczeństwie. Pokręciłam głową i zdecydowałam, że już czas wymienić zamki. Słuchałam, jak jego kroki cichną i zlewają się z ulicznym gwarem.

Gdy zadzwonił telefon, a ja wstałam, żeby go odebrać, uświadomiłam sobie, że po wyjściu Joela usiadłam na podłodze i zaczęłam pochłaniać *Years of Grace*. Ile czasu upłynęło? Minuta? Godzina?

- To idziesz czy nie? Obiecałaś, że nie podpiszesz dokumentów rozwodowych beze mnie - odezwała się moja przyjaciółka Annabelle.

Zdezorientowana, spojrzałam na zegarek.

- Wybacz, Annie. Już się zbieram - powiedziałam, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kluczy i szarej urzędowej koperty, która napawała mnie lękiem.

Miałam się spotkać z Annie w restauracji czterdzieści pięć minut temu.

- To dobrze. Zamówię ci drinka - odpowiedziała. Kalumet, nasz ulubiony lokal w porze lunchu, dzieliły od mojego mieszkania cztery przecznice, więc dotarłam tam w ciągu dziesięciu minut.

Annabelle przytuliła mnie na powitanie.

- Jesteś głodna? - zapytała, gdy już usiadłyśmy przy stoliku.

- Jakoś nie - westchnęłam. Annabelle zmarszczyła brwi.

- Cukry - zawyrokowała, podając mi koszyk z chlebem. - Potrzebujesz cukrów. Gdzie masz te papiery? Miejmy to już za sobą.

Wyciągnęłam kopertę z torebki i położyłam ją na stole z taką ostrożnością, jakby była wypchana dynamitem.

- Zdajesz sobie sprawę, że to twoja wina - powiedziała Annabelle z lekkim uśmiechem.

- Niby dlaczego moja? - Spojrzałam na nią krzywo.

- Facet o imieniu Joel nie nadaje się na męża - ciągnęła z udawaną naganą w głosie. - Jak można wyjść za Joela? Zabierze cię na randkę, postawi drinka, podaruje te urocze drobiazgi od Tiffanyego, ale nie stworzysz z nim poważnego związku.

Annabelle pisała doktorat z antropologii społeczno-kulturowej. Materiał zgromadzony w ciągu dwóch lat badań zanalizowała w dość niekonwencjonalny sposób. Zebrane przez nią dane na temat małżeństw i rozwodów wykazały, że w oparciu o imię mężczyzny można trafnie przewidzieć, kiedy związek się rozpadnie. Wyjdź za Eliego, a najprawdopodobniej będziesz jego żoną przez 12,3 roku. Związek z Bradem będzie trwał 6,4 roku. Steve'owie wypalają się już po czterech latach. Annabelle twierdzi również, że nigdy, przenigdy nie należy wiązać się z Prestonem.

- To jaka ci wyszła ta średnia dla Joela?

- Siedem przecinek dwa - odpowiedziała rzeczowym tonem. Skinęłam głową. Nasze małżeństwo trwało sześć lat i dwa tygodnie.

- Musisz sobie znaleźć jakiegoś Trenta -- drażyła temat.

- Nie znoszę tego imienia - zaczęłam grymasić.

- OK, no to Edwarda albo Billa, a najlepiej Brucea. Te imiona oznaczają trwałe pożycie.

- Jasne. - Uśmiechnęłam się sarkastycznie. - Może wybierzemy się na poszukiwanie męża do domu spokojnej starości?

Annabelle jest wysoka, szczupła i piękna. Wygląda zupełnie jak Julia Roberts. Jej włosy są ciemne, długie i falujące, cera porcelanowa, a oczy ciemne i przenikliwe. Ma trzydzieści trzy lata i nigdy nie była mężatką. Mówi, że to przez jazz. Nie mogła znaleźć faceta, który szalałby na punkcie Milesa Davisa i Herbiego Hancocka tak jak ona. Gestem przywołała kelnera.

- Jeszcze dwa poproszę.

Gdy zabrał mój kieliszek po martini, zobaczyłam na kopercie mokry ślad w kształcie koła.

- Już czas - odezwała się łagodnie.

Ręce nieco mi drżały. Wyciągnęłam z koperty plik dokumentów gruby na ponad centymetr.

Asystentka mojej prawniczki zaznaczyła trzy miejsca, w których miałam się podpisać, karteczkami samoprzylepnymi w kolorze ostrego różu.

Sięgnęłam do torebki po długopis. Ze ściśniętym gardłem podpisałam się na pierwszej stronie, potem na następnej i kolejnej, jako Emily Wilson, z wydłużonym „y” i wyraźnym „n”. Zaczęłam się tak podpisywać w piątej klasie. Nagryzmoliłam datę 28 lutego 2005 roku - dzień, w którym pogrzebaliśmy nasze małżeństwo. - Mądra decyzja - powiedziała Annabelle, podsuwając mi kolejne martini. - Może teraz napiszesz coś o Joelu?

Jak wszyscy moim znajomi, Annabelle uważała, że skoro jestem pisarką, najlepszą zemstą będzie stworzenie powieści w aluzyjny sposób opisującej mój związek z nim.

- Nadaje się na głównego bohatera, jeśli nieco zakamuflujesz jego imię - ciągnęła. - Nazwij go Joe i zrób z niego ciężkiego idiotę. - Zaczęła się śmiać tak serdecznie, że o mało nie zakrztusiła się jedzeniem. - A może lepiej idiotę z zaburzeniami erekcji.

Nie chciałam mścić się na Joelu w ten sposób. Jestem pewna, że gdybym spróbowała, książka byłaby okropna. Jeśli nawet udałoby mi się przelać cokolwiek na papier, byłoby to wtórne i nieciekawe. Jestem tego pewna, bo każdego dnia w ciągu ostatnich ośmiu lat budziłam się rano, siadałam za biurkiem i wpatrywałam się w pusty ekran komputera. Czasem przychodziło mi do głowy świetne zdanie, a nawet ciurkiem zapisywałam kilka stron, ale potem stawałam w miejscu. A kiedy już utykałam, to na dobre.

Moja terapeutka Bonnie stwierdziła, że to przypadek klinicznej (czyli nieuleczalnej?) niemocy twórczej. Moja muza zaniemogła, a rokowania były złe.

Osiem lat temu napisałam bestseller. Osiem lat temu byłam w siódmym niebie. Byłam szczupła (nie żebym teraz była gruba, no, może przybyło mi trochę w udach) a „The New York Times” umieścił mnie na swojej liście bestsellerów. Jeśli „The New York Times” opublikowałby też listę najszcześniejszych osób, na pewno bym się na niej znalazła.

Po wydaniu *Calling Ali Larson* mój agent zachęcał mnie do napisania kolejnej części. „Czytelnicy czekają na sequel” - mówił mi. Wydawca zaoferował, że podwoi mi zaliczkę na pisanie drugiej książki. Nie miałam już jednak nic do napisania, nic więcej do dodania, mimo że bardzo się starałam. W końcu mój agent przestał dzwonić, wydawca przestał się dopytywać, a czytelnicy przestali się przejmować. Byłam skłonna uwierzyć, że to dawne życie było tylko wytworem mojej wyobraźni, ale przypominały mi o nim wpływające co jakiś czas pieniądze z tantiem i listy przysyłane przez nieco walniętego czytelnika Lestera McCaina, który zakochał się w Ali, głównej bohaterce mojej książki. Nadal pamiętam, że czułam podniecenie, gdy Joel podszedł do mnie na imprezie promującej moją książkę w hotelu Madison Park. Był na przyjęciu w sąsiedniej sali i zobaczył mnie, gdy stałam w drzwiach. Miałam na sobie czarną sukienkę bez ramiączek od Betsey Johnson. W 1997 była szczytem

trendów i wydałam na nią bająską sumę. Była warta każdych pieniędzy. Do niedawna wisiała w mojej szafie, ale któregoś dnia poczułam nieodpartą chęć, by wrócić do domu i ją spalić.

„Wyglądasz olśniewająco” - powiedział, zanim się jeszcze przedstawił, co było dość zuchwałe.

Pamiętam, jak się poczułam, gdy to usłyszałam: jak ktoś zupełnie wyjątkowy. Mógł na ten tekst podrywać wiele kobiet i nie czarujmy się, pewnie nie byłam pierwsza, z którą mu się udało. To było bardzo w jego stylu.

Kilka miesięcy przed naszym spotkaniem magazyn „GQ” zamieścił listę najbardziej pożądanых „zwykłych” kawalerów Ameryki. Nie chodzi mi o listę, na której szczyt co drugi rok znaleźć można Georgea Clooneya. Na tej byli surfer z San Diego, dentysta z Pensylwanii, nauczyciel z Detroit i, zgadza się, prawnik z Nowego Jorku, Joel. Znalazł się w pierwszej dziesiątce. I jakimś cudem to mnie udało się go zdobyć.

I stracić.

- Ziemia do Emily - Annabelle zamachała mi ręką przed oczami.

- Wybacz. - Dreszcz przebiegł mi po plecach. - Nie, nie będę pisała o Joelu. - Pokręciłam głową i zaczęłam pakować dokumenty z powrotem do koperty, a potem do torebki. - Jeśli kiedykolwiek zacznę znowu pisać, będzie to coś zupełnie nowego, innego niż do tej pory.

- A co z sequelem? Nie skończysz go? - Annabelle spojrzała na mnie nieco zdezorientowana.

- Nie zamierzam - odrzekłam, składając papierową serwetkę na pół, a potem znowu na pół.

- Dlaczego?

- Po prostu nie mogę. - Westchnęłam głęboko. - Nie zmuszę się do wyklepania osiemdziesięciu pięciu tysięcy bezsensownych słów tylko po to, żeby ktoś je wydał. Nawet jeśli tysiące czytelników plażowałoby z moją książką w dłoni. Jeśli w ogóle wrócę do pisania, na co się nie zanosi, będzie to coś innego niż dotychczas.

Annabelle wyglądała, jakby chciała wstać i bić mi gromkie oklaski.

- No popatrz. To prawdziwy przełom. - Uśmiechnęła się szeroko.

- Wcale nie - próbowałam ją zbyć.

- No pewnie, że tak - twierdziła uparcie. - Przeanalizujmy z grubsza sytuację. Powiedziałaś, że chcesz napisać coś innego, ale chodzi ci chyba o to, że twoja ostatnia książka nie była bliska twojemu sercu.

- Można tak powiedzieć - zawahałam się.

Annabelle wyciągnęła oliwkę ze swojego martini i włożyła ją do ust.

- Dlaczego więc nie opiszesz tego, na czym ci zależy? - zamilkła na chwilę. - Miejsca albo osoby, która cię zainspirowała?

- Na tym zależy chyba każdemu pisarzowi - potwierdziłam.

- No tak. - Odprawiła spojrzeniem kelnera, który chciał przyjąć od nas kolejne zamówienie, i przeniosła wzrok na mnie. - Czy kiedykolwiek próbowałaś to zrobić? Nie zrozum mnie źle, Em, twoja książka była fantastyczna, ale czy była w niej choć cząstka ciebie?

Miała rację. To była dobra powieść. Inaczej nie stałaby się bestsellerem. Dlaczego więc nie byłam z niej dumna? Dlaczego nie była mi bliska?

- Znamy się nie od dziś - kontynuowała - i wiem, że nie zaczerpnęłaś tamtej historii ze swojego życia, z własnych doświadczeń.

To prawda. Ale co takiego w moim życiu mogłoby mnie zainspirować? Gdy pomyślałam o swoich rodzicach i dziadkach, potrząsnęłam głową.

- W tym tkwi problem. Inni pisarze mają niewyczerpane źródło natchnienia w postaci złych matek, doświadczanej przemocy i dziecięcych przygód. Moje życie było usłane różami. Nikt nie umarł, nie

mam żadnej traumy. Nie dane mi było nawet pogrzebanie zwierzątka. Kot mamy Oskar ma dwadzieścia dwa lata. Uwierz mi, zupełnie nic z mojego życia nie jest warte umieszczenia w powieści, myślałam nad tym długo.

- Wydaje mi się, że zbyt łatwo rezygnujesz - powiedziała. - Na pewno znajdzie się coś, co mogłoby być twoim punktem zaczepienia.

Tym razem pozwoliłam swoim myślom swobodnie krążyć wokół tematu i nagle przypomniałam sobie o mojej ciotecznej babce Bee, ciotce mojej mamy, i jej domu na wyspie Bainbridge w stanie Waszyngton. Tęskniłam za nią tak mocno jak za całą wyspą. Jakim cudem już tyle lat upłynęło od moich ostatnich odwiedzin? Bee, dwudziestodziewięciolatka w ciele osiemdziesięcioletki, nie miała własnych dzieci, więc moja siostra i ja stałyśmy się niejako jej przysposobionymi wnuczkami. Wysyłała nam kartki urodzinowe z szeleszczącymi banknotami pięćdziesięciodolarowymi w środku, naprawdę fajne prezenty gwiazdkowe i walentynkowe słodcze. A kiedy przyjeżdżałyśmy do niej na wakacje z naszego domu w Portland w stanie Oregon, chowała pod naszymi poduszkami czekoladki, by nasza mama nie mogła zaprotestować: „Przecież dopiero co umyły zęby!”.

Rzeczywiście, Bee była dość ekscentryczna. Było w niej również coś dziwnego. Niekiedy mówiła za dużo, innym razem prawie się nie odzywała. Potrafiła być jednocześnie serdeczna i nadąsana, szczodra i samolubna. Miała też swoje sekrety. Właśnie za to ją kochałam.

Mama zawsze mi mówiła, że ludzie, którzy przez większą część życia mieszkali sami, przestają w końcu zauważać swoje dziwactwa. Nie wiem, czy to dotyczyło również mnie, ale perspektywa staropanieństwa dość mnie martwiła. Postanowiłam ograniczyć się do obserwowania symptomów.

Bee. Bez truci mogłam sobie wyobrazić, jak siedzi za kuchennym stołem w swoim domu na wyspie Bainbridge. Od kiedy pamiętam, codziennie na śniadanie jadła to samo: tost z chleba na zakwasie posmarowany masłem i miodem. Kroiła bochenek ze złocistą skórką i kładła cztery małe kromki na papierowym ręczniku, który złożyła na pół. Każdą kromkę smarowała obficie warstwą miękkiego masła, grubą jak krem na słodkim ciastku, a potem przykrywała solidną porcją miodu. Jako dziecko uczestniczyłam w tym setki razy. Do dziś tost posmarowany masłem i miodem jest moim lekarstwem na każdą chorobę.

Bee nie jest piękna. Wzrostem góruje nad większością mężczyzn, jej twarz i ramiona są zbyt szerokie, a zęby za duże. Jednak na czarno-białym zdjęciu z czasów młodości widać przeblysł tego niesamowitego uroku, który dany jest wszystkim dwudziestolatkom.

Kiedyś podobało mi się zwłaszcza jedno zdjęcie z tamtego okresu. Wisiało oprawione w ramkę z muszelek w moim rodzinnym domu, wysoko na ścianie hallu. Trudno uznać to miejsce za honorowe, bo mogłam przyjrzeć się fotografii nieco dokładniej tylko wtedy, gdy stanęłam na wysokim stołku. Na starym zdjęciu o ząbkowanych brzegach zobaczyłam Bee, jakiej nie znałam. Siedząc z grupą przyjaciół na plażowym kocu, wyglądała na beztroską i uśmiechała się uwodzicielsko. Jakaś kobieta pochylała się nad nią i szeptała jej do ucha. Zdradzała sekret. Bee dotykała palcami pereł w swoim naszyjniku. Patrzyła w stronę fotografa takim wzrokiem, jakim przy mnie nigdy nie obdarzała wujka Billa. Zawsze się zastanawiałam, kto tamtego dnia stał za obiektywem.

- Co jej powiedziała? - spytałam moją mamę, gdy byłam jeszcze dzieckiem, przyglądając się fotografii.

Mama nie oderwała wzroku od prania, z którym siłowała się w hallu.

- Kto powiedział?

Wskazałam na kobietę siedzącą obok Bee.

- Ta śliczna pani coś szepcze do ucha cioci Bee.

Mama natychmiast wstała i podeszła do mnie. Rękawem swetra starła kurz z szybki chroniącej zdjęcie.

- Tego już nigdy się nie dowiemy - odpowiedziała z wyraźnym żalem w głosie.

Nieżyjący już wujek mojej mamy, Bill, był przystojnym bohaterem drugiej wojny światowej.

Powszechnie sądzono, że ożenił się z Bee dla jej pieniędzy, ale nigdy w to nie wierzyłam. W dzieciństwie widziałam, jak ją całował, jak obejmował ją w talii. Jestem pewna, że ją kochał.

Jednak ze słów mojej mamy wynikało, że nie akceptowała ich związku. Uważała, że Bill mógł trafić lepiej, bo Bee jest zbyt ekscentryczna, arogancka i wyrazista, czyli nie zachowuje się, jak na damę przystało.

Mimo to odwiedzaliśmy Bee każdego lata. Nie przestaliśmy nawet wtedy, gdy zmarł wujek Bill, kiedy miałam dziewięć lat. Dom Bee miał trudno uchwytną atmosferę. Mewy latały nad głowami, z tyłu rozciągał się ogród i pachniała zatoka Puget, okna obszernej kuchni wychodziły na szarą tafłę wody, a szumiące fale rozbijały się o brzeg. Obie z siostrą kochałyśmy tam przebywać i choć mama nie przepadała za Bee, było widać, że również kocha to miejsce. Każda z nas odnajdywała tam spokój.

Annabelle spojrzała na mnie znacząco.

- Czyżbyś jednak znalazła swój punkt zaczepienia?

- Być może - westchnęłam.

- A może zrobisz sobie małą wycieczkę? - zasugerowała. - Powinnaś stąd wyjechać, pozbiierać się po tym wszystkim.

Pokręciłam nosem na taką propozycję.

- Niby dokąd miałabym pojechać?

- Gdzieś daleko stąd.

Miała rację. Nowy Jork jest niestały w przyjaźni. Kocha za sukcesy i nienawidzi za porażki.

- Pojechałabyś ze mną? - Wyobraziłam sobie, jak popijamy drinki z palemką na jakiejś tropikalnej plaży.

- Nie - odpowiedziała zdecydowanie.

- Dlaczego? - Poczułam się jak szczeniaczek, zagubiony i przerażony, który chciałby, aby ktoś poprowadził go na smyczy w bezpieczne miejsce.

- Nie mogę z tobą jechać, bo musisz najpierw odnaleźć siebie. Jej słowa mną wstrząsnęły. Spojrzała mi prosto w oczy, jakby chciała mnie zmusić do zapamiętania każdego wyrazu.

- Em, twoje małżeństwo się rozpadło, a ty, no cóż, nie uroniłaś nad nim ani jednej łzy. W drodze do mieszkania zastanawiałam się nad tym, co powiedziała Annabelle, i znów w moich myślach stanęła ciotka Bee. Jak to możliwe, że tyle lat minęło, od kiedy widziałam ją po raz ostatni? Nagle tuż nad głową usłyszałam przenikliwy zgrzyt metalu trącego o metal i spojrzałam w górę. Dostrzegłam miedziany wiatrowskaz w kształcie kaczki pokryty szlachetną szarozieloną patyną na dachu pobliskiej kawiarni. Wiatr kręcił nim hałaśliwie.

Gdy tylko zobaczyłam ten wiatrowskaz, ogarnęło mnie jakieś dziwne wzruszenie. Gdzie ja go wcześniej widziałam? Już wiem. Na obrazie. Na obrazie namalowanym przez Bee. Zupełnie zapomniałam o miniaturze olejnej, którą dała mi w dzieciństwie. Dawniej malowała i pamiętam, jak bardzo byłam dumna, że to właśnie mnie wybrała na opiekunkę obrazu. Powiedziałam jej, że to prawdziwe arcydzieło - śmiała się.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie to płótno z krajobrazem nadmorskim: wiatrowskaz w kształcie kaczki na szczycie starego domku na plaży i para idąca ręką w rękę wzdłuż wybrzeża.

Ogarnęło mnie poczucie winy. Gdzie on teraz jest? Schowałam go, gdy wprowadzaliśmy się z Joelem do nowego mieszkania - uważał, że gryzie się z wystrojem. Nie dość, że oddaliłam się od miejsca, które kochałam jako dziecko, to jeszcze relikty mojej przeszłości pochowałam w pudłach. W imię czego?

Przyspieszyłam kroku, który szybko zmienił się w bieg. Myślałam o *Years of Grace*. Czy obraz też znalazł się w pudełku z rzeczami Joela? A może przez przypadek spakowałam go do pudła z książkami i ubraniami, które miała odebrać organizacja charytatywna? Dotarłam wreszcie do drzwi mieszkania, nerwowo wepchnęłam klucz do zamka, wbiegłam po schodach do sypialni i rozsunęłam drzwi szafy. Na górnej półce stały dwa pudełka. Wyciągnęłam jedno z nich i przetrząsnęłam jego zawartość: kilka dziecięcych pluszaków, zdjęcia z polaroidu, zeszyty pełne wycinków z uczelnianej gazety, do której pisałam przez dwa lata. Nie było tam obrazu.

Sięgnęłam po drugie pudełko. W środku znalazłam szmacianą lalkę Ankę, liściki od szkolnych sympatii i ukochany pamiętnik z Truskawkowym Ciastkiem na okładce z czasów podstawówki. Nic więcej.

Jak mogłam zgubić ten obraz? Jak mogłam być tak bezmyślna? Wstałam i po raz ostatni zlustrowałam całą szafę. Dostrzegłam upchniętą w rogu plastikową torbę. Poderwałam się niecierpliwie, żeby wyciągnąć ją z tych czeluści.

W środku znalazłam obraz zawinięty w turkusowo-różowy ręcznik plażowy. Zrobiło mi się miękko koło serca, gdy chwyciłam płótno w dłonie. Wiatrowskaz. Plaża. Stary domek. Wyglądało to tak, jak zapamiętałam. Ale idąca para wydała mi się teraz jakaś inna. Zawsze myślałam, że to Bee i wujek Bill. Kobieta to na pewno Bee - miała długie nogi i charakterystyczne blado-niebieskie rybaczki, które nazywała swoimi „letnimi spodniami”. Za to mężczyzna nie był wujkiem Billem. Jak mogłam tego nie zauważyć? Bill miał jasne włosy, w kolorze piaskowego blondu. Ten mężczyzna miał gęste, falujące i zdecydowanie ciemne włosy. Kim on jest? I dlaczego Bee namalowała go obok siebie?

Zostawiłam bałagan na podłodze i trzymając obraz, zeszłam na dół w poszukiwaniu adresownika. Wykręciłam znajomy

numer, wzięłam głęboki oddech i wsłuchiwałam się w sygnał po drugiej stronie kabla.

- Słucham. - Jej głos się nie zmienił, nadal był niski i mocny. Mówiła łagodnym tonem.

- Bee, to ja, Emily - powiedziałam nieco chropowatym głosem. - Wybacz, że tak dawno się nie odzywałam. To dlatego że...

- Nie musisz nic mówić, kochanie - odrzekła. - Nie przepraszaj. Dostałaś moją kartkę?

- Jaką kartkę?

- Wysłałam ją w zeszłym tygodniu, kiedy dotarły do mnie wieści.

- Dotarły?

Nie powiedziałam zbyt wielu osobom o rozwodzie. Moi rodzice w Portland nie wiedzą do tej pory.

Nie wie też moja siostra w Los Angeles, która ma doskonałe dzieci, szalejącego za nią męża i organiczne warzywa w ogródku. Nie wie nawet moja terapeutka. Mimo to nie byłam bardzo zdziwiona, że nowiny dotarły do wyspy Bainbridge.

- No przecież. Zastanawiałam się, kiedy wpadniesz z wizytą. - przerwała na chwilę. - Wyspa naprawdę pomaga ukoić ból.

Przesunęłam palcem po krawędzi obrazu. Chciałam się znaleźć natychmiast w przestronnej, ciepłej kuchni Bee na wyspie Bainbridge.

- To kiedy przyjeżdżasz? - Bee nie zwykła marnować czasu.

- Mogłabym już jutro?

- Jutro mamy pierwszy dzień marca, kochanie. Wspaniałą ma nazwę ten miesiąc, zupełnie jakby z marszu wszystko budziło się do życia.

Od razu wiedziałam, o co jej chodzi. Szare wzburzone wody zatoki. Krasnorosty, wodorosty i pąkle. Niemal czułam na ustach słone powietrze. Bee była przekonana, że zatoka Puget leczy rany. Gdy tylko przyjadę, każe mi zdjąć buty i wejść do wody, nawet jeśli będzie pierwsza w nocy, i - co bardzo prawdopodobne - będzie tylko sześć stopni powyżej zera.

- Emily? -Tak?

- Jest coś ważnego, o czym chciałabym z tobą porozmawiać.

- O co chodzi?

- To nie jest rozmowa na telefon. Pogadamy, jak już przyjedziesz, kochanie.

Odłożyłam słuchawkę i zesłam na dół do skrzynki. Znalazłam w niej rachunek za kartę kredytową, katalog z bielizną Victoria's Secret - zaadresowany do Joela - oraz dużą, kwadratową kopertę. Adres nadawcy wydał mi się znajomy. Po chwili dotarło do mnie, skąd go znam - był w dokumentach rozwodowych. Zresztą sama go wygooglowałam w zeszłym tygodniu. To adres nowego domu Joela przy Pięćdziesiątej Siódmej ulicy, w którym mieszka ze Stephanie.

Krew uderzyła mi do głowy, bo wydawało mi się, że oto Joel próbuje do mnie dotrzeć. Może wysłał mi list albo kartkę? Nie, to na pewno romantyczne zaproszenie do zabawy w podchody. Spotkanie gdzieś w mieście, szukanie śladów. Po kolejnych czterech zadaniach doszłabym do hotelu, w którym spotkaliśmy się po raz pierwszy. Czekalby na mnie z różą - nie, z tabliczką, na której byłby napis: „Byłem głupi. Kocham Cię. Wybacz mi”. Dokładnie tak. Doskonale zakończenie tragicznego romansu.

- Niech to będzie szczęśliwe zakończenie, Joelu - szeptałam, rozdzierając kopertę.

Nadal mnie kocha. Ciągle coś do mnie czuje.

Gdy tylko odkleiłam brzeg koperty i wyjęłam z niej złocistą kartkę, okazało się, jak bardzo mieszałam prawdę z fantazją. Mogłam tylko wpatrywać się jak zahipnotyzowana.

Papier o dużej gramaturze. Wymyślna czcionka. Zaproszenie na ślub. Zaproszenie na jego ślub.

Kolacja o osiemnastej. Potem tańce. Święto miłości. Wołowina albo kurczak. Z przyjemnością potwierdzam przybycie. Z żalem odrzucam zaproszenie. Poszłam do kuchni, ze spokojem ominęłam kosz z recyklingiem i zamiast do niego wrzuciłam to złociste zaproszenie

prosto do kubła na śmieci, w sam środek stęchłego kurczaka chow mein z zestawu na wynos. Szarpiąc się z resztą poczty, upuściłam gazetę. Gdy schyliłam się, żeby ją podnieść, pomiędzy stron „The New York Timesa” wypadła pocztówka od Bee. Był na niej biały prom z zielonymi detalami wpływający do zatoki Eagle. Odwróciłam ją na drugą stronę i przeczytałam:

Droga Emily

Gdy przyjdzie czas, wyspa znajdzie sposób, by Cię do siebie przywołać. Wróć do domu. Tęskniłam za Tobą, kochanie.

Ściskam Cię z całego serca Bee

Przycisnęłam kartkę do piersi i odetchnęłam głęboko.

ROZDZIAŁ 2

1 MARCA

Wyspa Bainbridge budziła zachwyt, nawet gdy tonęła w mroku. Wyglądałam przez okno promu, który wylaniał się z mgły wiszącej nad portem Eagle. Widziałam brzegi wyspy pełne drobnych kamyków i domy kryte gontem pewnie uczezione zbocza. Wnętrza domów błyskały zapraszająco pomarańczowym światłem, jak gdyby ludzie zgromadzeni wokół kominków i sączący wino czy gorące kakao zostawili jedno miejsce dla niespodziewanego gościa.

Mieszkańcy wyspy stanowili dość eklektyczną mieszaninę: matki jeżdżące volvo, których mężowie na stanowiskach kierowniczych dojeżdżali promem do pracy w Seattle, artyści i poeci lubiący samotność, garstka celebrytów. Wieść niesie, że Jennifer Aniston i Brad Pitt kupili na zachodnim wybrzeżu wyspy dziewięć akrów, zanim się rozstali. Powszechnie wiadomo, że Bainbridge jest domem dla kilku aktorów z obsady *Wyspy Giligana*. Najwyraźniej to dobre miejsce, żeby się zgubić. To właśnie zamierzałam zrobić.

Wyspa jest okazała niczym kontynent, choć jej północny kraniec dzieli od południowego zaledwie szesnaście kilometrów. Znaleźć tu można zatoki i przesmyki, zatoczki i słone

mokradła, winnicę, plantację truskawek, hodowlę lam, szesnaście restauracji, kawiarnię z drożdżówkami cynamonowymi wypiekanymi na miejscu i najlepszą kawą, jakiej kiedykolwiek próbowałam, oraz supermarket, w którym można nabyć lokalne wino malinowe i organiczną botwinę zebraną z pola zaledwie kilka godzin wcześniej.

Westchnęłam ciężko i spojrzałam na swoje odbicie w szybie. Patrzyła na mnie zmęczona, poważnie wyglądająca kobieta - zupełnie niepodobna do dziewczyny, która wiele lat temu przyjechała na wyspę po raz pierwszy. Wzdrygnęłam się na myśl o tym, co kilka miesięcy temu powiedział Joel. Szykowaliśmy się do wyjścia na kolację z przyjaciółmi. „Em - obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem. - Zapomniałaś się umalować?”

Nie, nie zapomniałam, dzięki wielkie. Dopiero teraz dostrzegłam bladą i nieładną skórę w lustrze wiszącym w hallu. Nawet wystające kości policzkowe, uważane przez wszystkich za mój największy atut (nie ma ich nikt inny w rodzinie, dlatego mama twierdziła, że musiałam je odziedziczyć po mleczarzu), wyglądały po prostu źle. Ja wyglądałam źle.

Zeszłam z promu po rampie prowadzącej do terminalu, gdzie miała na mnie czekać Bee w swoim zielonym garbusie z 1963 roku. W powietrzu czuć było zapach morza i jodłowego lasu, oparów silnika promu i gnijących małży - zupełnie jak wtedy, gdy miałam dziesięć lat.

- Powinni go zabutelkować - odezwał się stojący za mną mężczyzna.

Miał co najmniej osiemdziesiąt lat i ubrany był w brązowy garnitur ze sztruksu. Grube oprawki okularów do czytania zawieszane na szyi nadawały mu profesorskiego wyglądu - był przystojny w swoim podobieństwie do misia.

Nie byłam pewna, czy zwraca się do mnie, ale przemówił ponownie.

- Chodzi mi o ten zapach. - Mrugnął porozumiewawczo. - Powinni go zabutelkować.

- Racja. - Pokiwałam głową. Dokładnie rozumiałam, o czym mówi. - Nie byłam tu od dziesięciu lat i już zapomniałam, jak bardzo mi go brakowało.

- O! Czyli jesteś nietutejsza?

- Zgadza się - odparłam. - Zamierzam zostać tu do końca miesiąca.

- No to witamy na wyspie! Odwiedzasz kogoś czy przyjechałaś na zwiedzanie?

- Odwiedzam moją ciotkę Bee. Otworzył usta ze zdziwienia.

- Bee Larson?

Uśmiechnęłam się lekko. Trudno byłoby znaleźć na wyspie inną Bee Larson.

- Tak. Znasz ją?

- Oczywiście. - Chyba uważał, że powinnam o tym wiedzieć. - Jest moją sąsiadką.

Posłałam mu uśmiech. Doszliśmy już do terminalu, ale nigdzie nie dostrzegłam samochodu Bee.

- Wiesz - ciągnął. - Od razu, gdy cię zobaczyłem, wydałaś mi się znajoma...

Oboje odwróciliśmy się w stronę, z której dobiegał rytmiczny bulgot, charakterystyczny dźwięk silnika volkswagena. Bee jeździ zbyt szybko jak na swój wiek - właściwie to na jakikolwiek wiek. Zwykło się uważać, że osiemdziesięcioletka powinna odczuwać strach przed pedałem gazu albo chociaż darzyć go szacunkiem. Nie dotyczyło to Bee. Zatrzymała auto z piskiem opon, o mało nie najeżdżając nam na stopy.

- Emily! - krzyknęła, wytaczając się z auta, i chwyciła mnie w ramiona.

Ubrana była w ciemne dżinsy z nieco rozszerzonymi nogawkami i bładozieloną tunikę. Bee była jedyną kobietą, jaką znałam, która w wieku osiemdziesięciu lat nosiła się jak dwudziestolatka, no, może dwudziestokilkulatka z lat sześćdziesiątych, sądząc po indyjskim wzorze na jej tunice.

Gdy przytuliłam się do niej, wzruszenie ścisnęło mnie za gardło. Jednak obyło się bez łez.

- Właśnie rozmawialiśmy z twoim sąsiadem... - Uświadomiłam sobie, że nie wiem, jak się nazywa.

- Henrym - dokończył, uśmiechając się do mnie. Podaliśmy sobie ręce.

- Miło cię poznać, Henry. Mam na imię Emily. - Teraz również wydał mi się znajomy. - Zaraz. Czy spotkaliśmy się już wcześniej?

Skinął potakująco głową.

- Tak, kiedy byłaś jeszcze dzieckiem. - Spojrzał na Bee wyraźnie zaskoczony.

- Powinniśmy zabrać cię do domu, moje dziecko - powiedziała Bee i pospiesznie minęła Henry'ego. - W Nowym Jorku jest teraz druga w nocy.

Byłam zmęczona, lecz nie na tyle, by zapomnieć, że garbus ma bagażnik z przodu, więc wrzuciłam do niego swoje walizki. Kiedy Bee odpalała silnik, odwróciłam się, żeby pomachać Henry'emu na do widzenia, ale już sobie poszedł. Zdziwiło mnie, że Bee nie zaoferowała swojemu sąsiadowi podwiezienia.

- Jak to wspaniale, że przyjechałaś, kochanie - rzekła Bee, wciskając pedał gazu.

Nie mogłam zapiąć pasów, bo były zepsute, ale nie przejęłam się tym zbyt. W^Tyspa i obecność Bee sprawiały, że czułam się bezpiecznie.

Patrzyłam przez okno na rozgwieżdżone zimowe niebo, a garbus mknął krętą ulicą Hidden Cove, która kończyła się na nadbrzeżu. Liczne i ostre zakręty upodabniały ją nieco do ulicy Lombard w San Francisco. Nawet kolejka linowa nie byłaby w stanie przedrzeć się przez te splątane kępy drzew.

Spomiędzy nich wyłonił się nagle dom Bee. Stał tuż przy plaży. Za każdym razem ten widok zapierał mi dech w piersiach - nie sądzę, by można się było do niego przyzwyczaić. Stary, pełen zakamarków dom zbudowany został w stylu kolonialnym i pomalowany

na biało. Okazałe filary okalały wejście, a hebanowe okiennice przesłaniały frontowe okna. Wujek Bill namawiał ją, by przemaalować je na zielono. Mama twierdziła, że powinny być niebieskie. Bee jednak uparcie twierdziła, że cała przyjemność z mieszkania w białym domu wynikała z posiadania czarnych okiennic.

Nie zdołałam dostrzec, czy bez już zakwitł, czy rododendrony były tak bujne, jak zapamiętałam, jak wysoka była fala. Lecz to miejsce, nawet pogrążone w ciemnościach, wydawało się tryskać życiem i skrzyć się radością, zupełnie jakby czas się tu zatrzymał.

- No, jesteśmy na miejscu - rzekła Bee i zahamowała tak gwałtownie, że musiałam się podeprzeć. - Wiesz, co powinnaś teraz zrobić?

Wiedziałam, do czego zmierza.

- Dobrze ci zrobi, jeśli pomoczysz trochę nogi - rzekła, wskazując plażę nad cieśniną.

- Pójdę tam jutro - odparłam z uśmiechem. - Dzisiaj wolałabym wejść do środka i zapaść się w sofę.

- Niech i tak będzie - powiedziała, zakładając mi za ucho niesforne pasmo blond włosów. - Bardzo się za tobą stęskniłam.

- Ja za tobą też. - Ucisnęłam jej dłoń. Wyciągnęłam walizki z bagażnika i razem przeszłyśmy ścieżką ułożoną z cegieł do domu. Bee zamieszkała w nim na długo przed ślubem z wujem Billem. Jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym, gdy była w koledżu. Jako jedynaczka odziedziczyła całą ich fortunę, a jednym z jej najważniejszych zakupów była rezydencja Keystone - kolonialny dom z ośmioma przestronnymi sypialniami, który przez wiele lat stał zupełnie pusty. Od lat czterdziestych trwał w okolicy nieustający spór o to, który czyn Bee uznać za bardziej ekscentryczny: zakup ogromnego domu czy też jednorazową, gruntowną renowację jego wnętrza i przyległych terenów. Skrzydła okien łomotały w wietrzne nocne, ale niemal z każdego rozciągał się widok na cieśninę. Moja mama zawsze

powtarzała, że dom jest o wiele za duży jak na potrzeby bezdzietnej kobiety. Myślę, że z zazdrości - sama mieszkała w parterowym domku z trzema sypialniami.

Masywne drzwi frontowe zaskrzypiały przy otwieraniu.

- Wejdz do środka - zapraszała. - Rozpalę w kominku i zrobię nam coś do picia.

Obserwowałam, jak Bee wkłada drwa do kominka. Pomyślałam, że przecież to ja powinnam to za nią zrobić. Byłam jednak na tyle zmęczona, że nie mogłam wstać. Bolały mnie nogi. Wszystko mnie bolało.

- Zabawne - powiedziałam, potrząsając głową - od tylu lat mieszkam w Nowym Jorku i ani razu cię nie odwiedziłam. Okropna ze mnie siostrzenica.

- Byłaś zajęta czym innym - odparła. - Poza tym los sprawił, że wróciłaś na wyspę, gdy nadszedł twój czas.

Przypomniały mi się słowa zapisane na pocztówce, którą wysłała mi Bee. W pewien sposób myliła los z życiową porażką, ale nie wynikało to ze złej woli.

Rozejrzałam się po salonie z cichym westchnieniem.

- Joelowi by się tu spodobało - zaczęłam - ale nigdy nie udało mi się go namówić na dłuższy urlop.

- Dobrze się złożyło - odpowiedziała.

- Dlaczego?

- Bo raczej byśmy się nie polubili. Posłałam jej uśmiech.

- Chyba masz rację.

Bee nie znosiła pretensjonalności a Joel był nią wprost przesiąknięty.

Wstała i przeszła do przyległego pomieszczenia nazywanego przez nią „lanai”, gdzie w profesjonalnym barku trzymała szeroki wybór trunków. Pokój był całkowicie przeszklony z wyjątkiem ściany, na której wisiał obraz. Przypomniała mi się miniatura, którą wrzuciłam do walizki przed wyjazdem z Nowego Jorku. Chciałam porozmawiać o niej z Bee, lecz jeszcze nie teraz.

Wiedziała od dawna, że twórczość malarska, tak jak wiele innych aspektów z jej życia, to dla Bee tematy zakazane.

Odżyła mi w pamięci noc, gdy miałam piętnaście lat, a dorośli zajęci byli grą w karty. Wraz z moją kuzynką Rachel zakradłyśmy się do lanai, włamałyśmy się do ciemnego kredensu z rattanowymi drzwiczkami i wypiliśmy po cztery kolejki rumu. Bardzo chciałam, żeby pokój przestał wreszcie wirować. Wtedy właśnie piłam rum po raz ostatni.

Bee wróciła z dwoma wysokimi szklankami Gordon Green, drinka na bazie ginu i syropu cukrowego z dodatkiem limon-ki, ogórka i szczypty soli.

- No, to mów, co u ciebie słychać - zachęcała, podając mi drinka.

Wypiłam łyczek i żałowałam, że nie mogę opowiedzieć Bee żadnej historii. Ani jednej. Znow wzduszenie ścisnęło mi gardło, a kiedy otworzyłam usta, nie mogłam wydobyć z siebie słowa, więc tylko spuściłam wzrok na kolana.

Bee skinęła głową, jakby była zorientowana w sytuacji.

- Rozumiem - powiedziała. - Rozumiem.

Siedziałyśmy tak razem w ciszy, wpatrując się jak zahipnotyzowane w tańczące płomienie, dopóki nie poczułam, że powieki zaczynają mi ciążyć.

2 MARCA

Nie wiem, co mnie obudziło następnego ranka: fale tak głośno rozbijające się o brzeg, że wydawały się uderzać o drzwi wejściowe, czy dolatujący z kuchni zapach śniadania. Nikt już nie jadał placuszków, zwłaszcza nie jadali ich dorośli, a już na pewno nie dorośli w Nowym Jorku. Mógł to też być dzwonek mojego telefonu, który rozległ się pomiędzy poduszek leżących na kanapie. Nie udało mi się wczoraj dotrzeć do sypialni dla gości - dało o sobie znać moje zmęczenie. Albo wyczerpanie emocjonalne. Albo obie te rzeczy naraz.

Wyrzebałam się spod narzuty - Bee musiała okryć mnie nią, gdy zasnęłam - i zaczęłam biegać jak oszalała w poszukiwaniu telefonu.

Dzwoniła Annabelle.

- Cześć - wyszeptałam.

- Cześć! - Zaskoczyła mnie radość w jej głosie. - Chciałam się tylko upewnić, że dotarłaś na miejsce.

Wszystko gra?

Szczerze mówiąc, chciałam w tej chwili być jak Annabelle i zrzucić z siebie cały ten ciężar. Płakać jak dziecko. Naprawdę tego potrzebowałam.

Przeniosła się na miesiąc do mojego mieszkania, bo jej sąsiedzi z góry zaczęli grać na trąbce.

- Dzwonił ktoś?

Wiedziałam, że Annabelle zrozumie, o kogo tak naprawdę mi chodzi. To było żałosne, ale dawno temu ustaliłyśmy, że między sobą możemy zachowywać się żałośnie.

- Wybacz, Em, nikt nie dzwonił.

- No cóż. Mogłam się tego spodziewać. Jak żyjesz?

- Nieźle. Dzisiaj rano w kawiarni wpadłam na Evana. Evan to były narzeczonny Annabelle. Nie wyszła za niego, bo facet nie lubi jazzu i pewnie ma jeszcze jakieś inne wady. Zastanówmy się... chrapie. Lubi hamburgery. Annabelle to przeszkadzało, bo jest wegetarianką. I ten problem z jego imieniem

-Evanowie nie są najlepszymi mężami. - Rozmawialiście?

- W sumie tak. - Nagle jej głos nieco się oddalił, jakby zajęła się czymś innym poza rozmową. - Ale było jakoś dziwnie.

- Powiedział coś nie tak?

- Nie, przedstawił mnie swojej nowej dziewczynie Vivien. W jej ustach imię Vivien brzmiało jak jakaś straszna choroba, wysypka albo zakażenie gronkowcem.

- Szalejesz z zazdrości, Annie, czy tylko mi się wydaje? Pamiętaj, że to ty z nim zerwałaś.

- Pamiętam. I wcale nie żałuję.

Nie przekonała mnie.

- Annie, przecież znam Evana - powiedziałam - i wiem, że gdybyś tylko zadzwoniła do niego i wyznała mu miłość, byłby twój. On nadal cię kocha.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza, jakby rozważała moją propozycję.

- Annie? Jesteś tam?

- Jestem, jestem - odpowiedziała. - Wybacz, musiałam na chwilę odłożyć telefon, bo przyszedł do ciebie facet z UPS, i musiałam podpisać odbiór paczki. Zawsze dostajesz tyle przesyłek?

- Czyli nie usłyszałaś nic z tego, co powiedziałam?

- No, niestety. Coś ważnego? Westchnęłam.

- Nic takiego.

Mimo że Annabelle uważała się za niepoprawną romantyczkę i przeprowadziła w dziedzinie miłości serię badań, udało jej się opanować do perfekcji trudną sztukę sabotowania każdego związku.

- No to zadzwoń, jak będziesz chciała pogadać.

- Zadzwonię.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham, ale trzymaj się z daleka od mojego kremu nawilżającego Laury Mercier - zagroziłam pół żartem, pół serio.

- Myślę, że mogę się powstrzymać, ale tylko jeśli popracujesz trochę nad wylewaniem łez.

- Umowa stoi.

Kiedy wreszcie dotarłam do kuchni, nie było tam Bee krzątającej się przy kuchence. Był za to talerz, na którym leżały placuszki i kilka pasków bekonu starannie ułożonych w stosik. Tuż obok stał słoik domowego dżemu malinowego. Przy nim leżała wiadomość:

Emily

Musiałam pojechać do miasta po sprawunki, a nie chciałam Cię budzić. Zostawiłam Ci Twoje ulubione gryczane placuszki z bekonem (możesz sobie podgrzać w mikrofalach, czterdzieści pięć sekund w najwyższej temperaturze). Wrócę po południu. Położyłam Twoje walizki w sypialni na końcu korytarza. Czuj się jak u siebie. Po śniadaniu powinnaś się wybrać na spacer. Pięknie jest dzisiaj nad wodą.

Całusy Bee

Odłożyłam karteczkę z wiadomością i wyjrzałam za okno. Miała rację. Szaroniebieska woda, patchwork z piasku i kamieni - widok, który zapierał dech w piersiach. Nagle zapragnęłam pobiec na brzeg i wykopać małże albo podnosić kamienie w poszukiwaniu krabów, albo zdjąć ubranie i popłynąć aż do boi. Jako dziecko robiłam tak każdego lata. Chciałam po prostu zanurzyć się w tę tajemniczą i piękną otchłań. Pragnienie to zawładnęło moimi myślami i poczułam, że znowu żyję. Gdy po chwili zgasło, posmarowałam placuszki grubo dżemem malinowym Bee i zaczęłam jeść. Stół też się nie zmienił. Przykrywała go żółta cerata w ananasy, na której stał serwetnik ozdobiony muszelkami i leżał stos gazet. Bee czyta każde wydanie „The New Yorkera” od deski do deski. Potem wycina swoje ulubione artykuły, okleja je karteczkami samoprzylepnymi ze swoimi komentarzami i wysyła do mnie. Od lat powtarzam jej, że niepotrzebnie zawraca sobie głowę, bo mam wykupioną prenumeratę.

Włożyłam talerz do zmywarki i rozglądając się po pokojach, przeszłam korytarzem aż do sypialni, w której znalazłam moje walizki pozostawione przez Bee. Nigdy wcześniej nie byłam akurat w tym pokoju. Nawet sobie nie przypominam, żeby

w ogóle istniał. Bee miała zwyczaj zamykania niektórych pomieszczeń na klucz z powodów, o których ani moja siostra Danielle, ani ja nie miałyśmy pojęcia.

No, przecież pamiętałabym ten pokój, pomyślałam. Wszystko to wydało mi się dziwne, bo ściany pomalowane były na różowo, a Bee nie znosiła tego koloru. Obok łóżka stały komoda, stolik nocny i pojemna szafa. Spojrzałam przez szczelinowe okno na zachód i przypomniałam sobie, że Bee zalecała mi spacer nad brzegiem cieśniny. Postanowiłam, że rozpakuję się później, i poszłam w kierunku plaży. Byłam zbyt słaba, by oprzeć się sile, z jaką mnie przyciągała.

ROZDZIAŁ 3

Nie zadałam sobie trudu, żeby wyprasować ubrania albo przeczesać włosy, co nigdy mi się nie zdarzało w Nowym Jorku. Zamiast tego zarzuciłam na siebie sweter, włożyłam na nogi ciemnozielone kalosze Bee znalezione w przedsionku i wyszłam na zewnątrz.

Jest coś terapeutycznego w leniwym chodzeniu po podmokłym piasku. Mokra poduszka pod stopami zdaje się zachęcać umysł, by wreszcie pozwolił sobie na chwilę odprężenia. Tego ranka właśnie tak się czułam. Nie zbeształam siebie nawet za to, że moje myśli zaczęły krążyć wokół Joela i tysiąca przypadkowych wspomnień z przeszłości. Nadepnęłam na pustą skorupę kraba - rozpadła się na niezliczoną ilość kawałków.

Podniosłam kamyk i wrzuciłam go do wody tak daleko, na ile miałam siły. Cholera. Dlaczego nam nie wyszło? Podnosiłam kolejne kamyczki i wrzucałam je z wściekłością do cieśniny, aż poślizgnęłam się na kawałku drewna wyrzuconego przez morze. Jak mógł do tego dopuścić? Jak ja mogłam do tego dopuścić? Mimo wszystko jakaś część mnie chciała, żeby do mnie wrócił. I nienawidziłam siebie za to. - W ten sposób nigdy nie puścisz kaczkę. Aż podskoczyłam na dźwięk męskiego głosu. Wolnym krokiem zbliżał się do mnie Henry.

- O! Cześć! - powitałam go nieco zakłopotana. Czy był świadkiem mojego wybuchu? Od jak dawna tu stał? - Ja tylko...

- ... puszczałam kaczki - odparł, kiwając głową. - Ale twoja technika, skarbie, to zupełna porażka. Klęknął na piasku i podniósł gładki, płaski jak rozgwiazda kamyk, po czym przyjrzał mu się z każdej strony.

- Tak - zawyrokował - ten się nada. Odwrócił się w moją stronę. - Przytrzymaj kamień w ten sposób, a potem zamachnij się i rzuć tak, jakbyś kroić miękkie masło.

Kamień rzucony w stronę brzegu przeleciał nad wodą sześciokrotnie, odbijając się od jej powierzchni, co przypominało podskoki w tańcu Lindy Hop.

- Cholewka - powiedział. - Chyba tracę wprawę. Sześć to trochę kiepsko.

- W życiu bym nie powiedziała.

- No wiesz, mój rekord to czternaście.

- Czternaście? Nabierasz mnie.

- Gdzieżbym śmiał. Słowo harcerza - odparł, kładąc rękę na sercu w sposób typowy dla jedenastoletnich entuzjastów skautingu. - Byłem kiedyś wyspowym mistrzem w puszczeniu kaczek.

Nie było mi wcześniej do śmiechu, ale teraz nie mogłam się powstrzymać.

- Są jakieś zawody w puszczeniu kaczek?

- Pewnie, że są. Teraz ty spróbuj. Spojrzałam na piasek i wybrałam płaski kamyk.

- No to próbuję. - Podniosłam rękę i rzuciłam. Od razu zniknął wśród fal - jak kamień w wodę. - Widziałeś? Jestem beznadziejna w te klocki.

- No co ty - pocieszał mnie. - Musisz tylko trochę poćwiczyć.

Uśmiechnęłam się do niego. Twarz miał zmęczoną i pomarszczoną jak stara oprawiona w skórę książka. Ale jego oczy... no cóż, mimo zmarszczek mimicznych przypominał w tej chwili młodego mężczyznę.

- Czy skusisz się na kawę? - zapytał, wskazując na mały biały domek stojący tuż przy falochronie. Jego oczy błyszcząły.

- Dziękuję - odpowiedziałam. - Z miłą chęcią. Weszliśmy po betonowych schodkach na skarpe. Na jej szczycie zaczynała się porośnięta mchem ścieżka ułożona z sześciu kamieni. Strzegły jej dwa stare cedry rzucające głęboki cień. Doszliśmy do drzwi wejściowych domu Henry ego.

Najpierw otworzył drzwi moskitierowe. Zaskrzypiały tak przenikliwie, że siedzące na dachu mewy podniosły wrzask i wystraszone, odleciały w kierunku morza.

- Już dawno miałem zamiar je naprawić - rzekł przeproszającym tonem, gdy zostawiał buty na werandzie.

Poszłam w jego ślady i pozbyłam się kaloszy. Od ciepła, które buchało z rozpalonego kominka, zaróżowiły mi się policzki.

- Rozgość się, proszę - zachęcał - a ja przygotuję kawę. Podziękowałam mu i podeszłam do kominka. Na ciemnej,

mahoniowej półce leżały muszelki, błyszczące kamyczki i czarno-białe fotografie oprawione w proste ramki. Zwróciłam uwagę na jedno ze zdjęć. Zobaczyłam na nim blondynkę, której skrecone włosy ułożone były blisko twarzy zgodnie z modą lat czterdziestych. Wyglądała bardzo glamour, jak modelka albo aktorka. Stała na plaży, a wiatr owiewał jej sukienkę, podkreślając zarys piersi i szczupłą talię. W tle rozpoznałam dom Henry ego i cedry, dużo niższe niż obecnie. Zastanawiałam się, czy to mogła być jego żona. Pozowała zbyt sugestywnie jak na siostrę. Kimkolwiek by była, Henry ją uwielbiał - tego byłam pewna.

Podszedł do mnie, trzymając w dłoniach dwa pojemne kubki z kawą.

- Piękna - stwierdziłam, podnosząc zdjęcie. Usiadłam z nim na kanapie, by mu się lepiej przyjrzeć. - Czy to twoja żona?

Zdziwiło go moje pytanie, ale po chwili odpowiedział, że nie. Podał mi kubek, wstał z miejsca i przeciągnął palcami po

brodzie, jak to robią mężczyźni, gdy czują się niepewni i zdezorientowani.

- Wybacz - powiedziałam pospiesznie, odkładając ramkę na półkę. - Nie chciałam być wścibska.

- Nie, nie o to chodzi - odparł i nagle się uśmiechnął. - To doprawdy śmieszne. Minęło już ponad sześćdziesiąt lat, a ja dalej nie potrafię o niej mówić.

- Była kimś ważnym?

- Moją narzeczoną. Mieliśmy się pobrać, ale... przestało nam się układać. - Zamilkł, jakby nagle zmienił zdanie. - Chyba nie powinienem...

Przerwało mu pukanie do drzwi.

- Henry? - odezwał się męski głos. - Jesteś w domu?

- O! Jack przyszedł - powiedział w moją stronę Henry, jakby sądził, że wiem, o kogo chodzi.

Siedząc w salonie, obserwowałam, jak Henry wita się z ciemnowłosym mężczyzną tak wysokim, że musiał się schylić, przechodząc przez drzwi. Był mniej więcej w moim wieku, miał na sobie dzinsy i wełniany sweter. Mimo że było dopiero przedpołudnie, widać było na jego twarzy cień zarostu, doszłam więc do wniosku, że nie miał jeszcze okazji się ogolić albo wziąć prysznicu.

- Cześć. - Był nieco zakłopotany moją obecnością. - Jack, miło mi.

Henry mnie przedstawił.

- To Emily, no wiesz, siostrzenica Bee Larson. Jack spoglądał to na mnie, to na Henry'ego.

- Siostrzenica?

- Tak jest - odpowiedział Henry. - Przyjechała na miesiąc odwiedzić ciotkę.

- A więc witaj na wyspie - powiedział do mnie Jack, szarpiąc za mankiet swojego swetra. - Wybaczcie, że przeszkadzam, ale w środku gotowania uświadomiłem sobie, że zabrakło mi jajek. Może miałbyś ze dwa, Henry?

- A miałbym - odpowiedział Henry i udał się do kuchni.

Gdy zostaliśmy sami, nasze spojrzenia na chwilę się spotkały, ale szybko odwróciłam wzrok. On drapał się w czoło, ja bawiłam się zamkiem błyskawicznym w moim swetrze. Zapadła cisza tak przenikliwa jak zimowy wiatr, który szumiał nad brzegiem cieśniny.

Nagle od strony morza dobiegły nas niepokojące odgłosy. Kiedy usiłowałam wstać i zobaczyć, co się dzieje, potrąciłam stolik, na którym leżały książki. Bezradnie patrzyłam, jak mały biały wazon spada ze szczytu stosu i lądując na podłodze, rozpada się na cztery wyszczerbione kawałki.

- No nie - jęknęłam, zastanawiając się, czy bardziej mi przykro, że zniszczyłam Henry'emu rodzinną pamiątkę, czy głupio, bo zrobiłam to w obecności Jacka.

- Nie martw się, pomogę ci ukryć dowody zbrodni - odparł Jack, posyłając mi uśmiech.

Od razu go polubiłam.

- Jestem największą niezdarą na świecie. - Ukryłam twarz w dłoniach.

- To dobrze. Pasujemy do siebie. - Podciągnął rękaw swetra, żeby pokazać mi świeży czarnoniebieski siniak. Potem wyciągnął z kieszeni plastikową torbę i ostrożnie pozbierał fragmenty wazonu. - Później możemy razem go posklejać.

Uśmiechnęłam się szeroko.

Henry przyniósł jajka w wytłoczce i podał je Jackowi.

- Przepraszam, że tak długo, ale musiałem po nie pójść do lodówki w garażu - próbował się wytłumaczyć.

- Dziękuję, Henry - odrzekł Jack. - Wiszę ci przysługę.

- Może zostaniesz z nami?

- Dzięki, ale nie mogę - powiedział, zerkając w moją stronę. - Powinienem już wracać do domu. -

Pożegnał się ze mną z miną współnika w przestępstwie. - Miło cię było poznać, Emily.

- Ciebie również - mówiąc to, żałowałam, że musi już iść. Razem z Henrym patrzyliśmy przez okno, jak szedł wzdłuż plaży.

- Dziwny ten Jack - odezwał się Henry. - W moim salonie siedzi najpiękniejsza dziewczyna na wyspie, a on nawet nie zostanie na kawę.

Byłam wtedy pewna, że oblałam się rumieńcem.

- Jesteś bardzo miły, ale spójrz na mnie: dopiero co wygrzebałam się z łóżka.

Mrugnął szelmowsko.

- Przyjrzałem ci się dokładnie.

- Kochany jesteś.

Ucieliśmy sobie pogawędkę, popijając drugą kawę, a kiedy zerknęłam na zegarek, okazało się, że moja wizyta trwa już prawie dwie godziny.

- Chyba muszę się zbierać, Henry. Bee będzie się martwić.

- W porządku - uspokoił mnie.

- Do zobaczenia. Może spotkamy się na kolejnym spacerze.

- Przychodź, kiedy tylko zechcesz. Jesteś tu zawsze mile widziana.

Odplyw ujawnił na plaży nowy obszar morskiego życia, więc w drodze powrotnej zbierałam muszle i fragmenty szmaragdowej listownicy - z jej pokrytych śluzem liści wyciskałam pęcherze z powietrzem. Zupełnie jakbym znów była dzieckiem. Kamyk ładnie zamigotał w słońcu, więc pochyliłam się, żeby go podnieść. Za plecami usłyszałam kroki jakiegoś zwierzęcia i zbliżające się nawoływania. - Russ, do nogi, piesku!

W tym momencie ogromny i dość niezdarny golden retriever powalił mnie na piasek z siłą obrońcy NFL.

- Cholera! - krzyknęłam, wycierając twarz, która została dokładnie wylizana.

- Bardzo cię przepraszam - powiedział Jack. - Uciekł tylnymi drzwiami. Mam nadzieję, że cię nie przestraszył. Jak na pięćdziesiąt kilogramów żywej wagi jest całkiem nieszkodliwy.

- Nic mi się nie stało - zapewniłam go. Strzepnęłam piasek ze spodni i pochyliłam się nad psiskiem, głaszcząc je na powitanie.

- Ty pewnie jesteś Russ - powiedziałam. - Emily. Miło cię poznać, olbrzymie. - Zwróciłam się do Jacka. - Właśnie wracałam do domu Bee. Przypiął smycz do obroży Russa.

- Nie ze mną takie numery, piesku - ostrzegł Jack, zanim zwrócił się do mnie. - Odprowadzę cię. Idziemy w tym samym kierunku.

Dłuższą chwilę szliśmy bez słowa, ale cisza nam nie ciążyła. Wsłuchiwałam się w odgłos naszych kroków uderzających o skaliste wybrzeże.

- Mieszkasz gdzieś w okolicy? - odezwał się wreszcie Jack.

- Niezupełnie. W Nowym Jorku.

- No tak. Nigdy tam nie byłem.

- Żartujesz? - zdziwiłam się. - Nigdy nie byłeś w Wielkim Jabłku?

Wzruszył ramionami.

- Chyba nie czułem takiej potrzeby. Całe życie mieszkam na wyspie. Nigdy nie chciałem z niej wyjeżdżać.

Patrząc na rozciągającą się dookoła plażę, poczułam, że doskonale go rozumiem.

- Cóż, od kiedy wróciłam na wyspę, ciągle się zastanawiam, jak mogłam ją kiedykolwiek opuścić.

Wcale nie tęsknię za Nowym Jorkiem. - To co cię tu sprowadza?

Przecież wie, że odwiedzam ciotkę. Czemu draży ten temat? Nie zamierzałam mu tłumaczyć, że uciekam przez przeszłość ani że układam sobie życie od nowa, ani, broń Boże, że właśnie rozwiodłam się z mężem. Zamiast tego odparłam:

- Zbieram materiały do kolejnej książki.

- O proszę, a więc jesteś pisarką?

- Tak - przełknęłam ślinę.

Nie znosiłam, gdy mój ton sugerował poczucie wyższości. Czy to, czym się teraz zajmuję, można w ogóle nazwać badaniem? Jak zwykle rozmowa na temat mojej kariery sprawiła, że poczułam się niepewnie.

- Niesamowite. A o czym piszesz?

Opowiedziałam mu o *Calling Ali Larson* i nagle mi przerwał.

- Nie gadaj! To na jej podstawie nakręcili ten film? Potwierdziłam ten fakt skinieniem głowy.

- A ty? - Zapragnęłam zmienić temat. - Czym się zajmujesz?

- Jestem artystą - odpowiedział. - Maluję. Zaskoczył mnie.

- Wspaniale, chętnie bym obejrzała twoje prace. - Jak tylko to powiedziałam, znów oblałam się rumieńcem.

Czy muszę się tak przy nim krępować? Czy już zupełnie zapomniałam, jak się rozmawia z mężczyzną?

Przyjął to do wiadomości i posłał mi przebiegły półuśmie-szek, po czym podważył stopą kawałek drewna przyniesionego przez morze.

- Jak pięknie wygląda plaża dzisiejszego ranka. - Wskazał na szczątki muszli i wodorostów wymyte na brzeg. - Wczoraj w nocy musiało nieźle powiać.

Uwielbiałam plażę tuż po sztormie. Kiedy miałam trzynaście lat, właśnie tutaj wypłynęła na piasek torba, w której było trzysta dziewiętnaście dolarów (wiem, bo sama liczyłam) i pistolet na wodę. Bee zadzwoniła na policję, która powiązała torbę z nieudanym napadem na bank siedemnaście lat wcześniej. Siedemnaście lat. Zatoka Puget działa jak wehikuł czasu - najpierw coś ukrywa, a potem wybierając dogodny dla siebie czas i odpowiednie miejsce, wyrzuca to na brzeg.

- Skoro, jak mówisz, mieszkałeś na wyspie całe życie, to pewnie znasz moją ciotkę.

- Można tak powiedzieć.

Dom Bee był parę kroków od miejsca, w którym stanęliśmy.

- Może chciałbyś zająć na chwilę, żeby się z nią przywitać? Zawahał się, jakby przypomniał sobie o czymś lub o kimś.

Spojrzał badawczo w okna domu.

- Nie, innym razem. Zagryzłam wargi.

- Dobrze, to do następnego razu.

I to by było tyle, pomyślałam, kierując się w stronę tylnego wejścia. Dlaczego był taki zdenerwowany?

- Emily, poczekaj. - Jack zawołał z głębi plaży. Zawróciłam.

- Przepraszam, zupełnie wyszedłem z wprawy. - Odgarnął dłonią kosmyk ciemnych włosów, ale wiatr natychmiast zwał mu go z powrotem na oczy. - Czy miałabyś ochotę zjeść ze mną kolację? W sobotę o dziewiętnastej, u mnie w domu.

Przez chwilę stałam i czekałam, aż przyjdzie mi do głowy jakaś odpowiedź. W końcu pozbierałam myśli i odparłam:

- Z przyjemnością.

- To do zobaczenia, Emily. - Na jego twarzy pojawił się szczery uśmiech.

Zauważyłam, że Bee obserwuje nas przez okno, lecz gdy weszłam do domu od strony przedsionka, zdążyła się już przenieść na kanapę.

- Widzę, że poznałaś Jacka - odparła, wpatrując się w swoją krzyżówkę.

- Tak, spotkałam go u Henry ego.

- U Henryego? - Przeniosła wzrok na mnie. - Skąd się tam wzięłaś?

- Poszłam rano na spacer i natknęłam się na niego na plaży. Zaprosił mnie do siebie na kawę.

Bee wydawała się tym zaniepokojona.

- O co chodzi? - zapytałam.

Odłożyła ołówek, który trzymała dotąd w ręce, i spojrzała mi prosto w oczy.

- Uważaj na siebie - powiedziała zagadkowo. - Zwłaszcza w towarzystwie Jacka.

- Dlaczego mam uważać?

- Niektórzy lubią stwarzać pozory, ale w rzeczywistości są zupełnie inni - odrzekła i włożyła swoje okulary do czytania do futerału z niebieskiego aksamitu leżącego na stoliku nocnym.

- Co masz na myśli?

W typowy dla siebie sposób zignorowała moje pytanie.

- O, już wpół do pierwszej - westchnęła. - Czas się zdrzemnąć. - Nalała sherry do demitasse. - Moje panaceum. - Puściła do mnie oko. - Zobaczymy się później, kochanie.

Było jasne, że między Bee a Jackiem istniało jakieś napięcie. Widziałam to w jego zachowaniu i słyszałam to w jej głosie.

Rozsiadłam się wygodnie na kanapie i ziewnęłam. Kusiła mnie perspektywa drzemki, więc przeszłam do swojej sypialni i skuliłam się na wielkim łóżku przykrytym różową narzutą pełną falbanek.

Sięgnęłam po książkę, którą kupiłam na lotnisku, ale po dwóch rozdziałach poddałam się i rzuciłam ją na podłogę.

Uwolniłam swój nadgarstek od ucisku zegarka - zawsze zdejmuję biżuterię przed snem - i otworzyłam szufladę stolika nocnego. Kiedy wkładałam do niej zegarek, zamajaczył mi w środku jakiś kształt.

Leżał tam dziennik albo rodzaj pamiętnika. Wzięłam go i przesunęłam palcami po jego grzbiecie. Był stary, a jego intrygująca okładka z czerwonego aksamitu wyglądała na podniszczoną, miejscami wytartą.

Odezwały się we mnie wyrzuty sumienia, że w ogóle śmiałam ją dotknąć. A co, jeśli to stary pamiętnik Bee? Zadrzałam na samą myśl i ostrożnie odłożyłam go do szuflady. Po paru chwilach

znow trafił w moje ręce. Nie mogłam mu się oprzeć. Nie będę czytać, tylko spojrzę na pierwszą stronę. Pożółkłe i kruche strony wydały mi się nieskazitelne - ich szlachetny wygląd był dziełem

upływającego czasu. Szukałam na pierwszej stronie jakiejś wskazówki i znalazłam ją w prawym dolnym rogu. Nazwa „Brudnopis autorski” zapisana była czarnym drukiem tuż nad typowym

żargonem wydawniczym. Przypomniała mi się książka czytana dawno temu, w której bohater z

początku dwudziestego wieku zapisywał w takim brudnopisie kolejne rozdziały swojej książki. Czy to szkic powieści,

czy osobisty pamiętnik? Zafascynowana, przewróciłam stronę, a poczucie winy szybko zanikło w obliczu palącej ciekawości. Przeczytałam tylko jedną stronę, potem odłożę go na miejsce.

Słowa na kolejnej karcie zapisane były najpiękniejszym charakterem pisma, jaki kiedykolwiek widziałam, i sprawiły, że moje serce zaczęło bić szybciej. „Opowieść o tym, co się wydarzyło w małym wyspiarskim mieście w 1943 roku”.

Bee nigdy nie parała się pisarstwem, a przynajmniej ja nic o tym nie wiedziałam. A wujek Bill? Nie, krój pisma wyraźnie wskazywał na kobietę. Dlaczego pamiętnik znalazł się akurat tutaj - w różowej sypialni? Kto chciał zostawić po sobie ślad i z jakiego powodu?

Wzięłam głęboki wdech i przewróciłam stronę. Czy mogłoby komuś zaszkodzić, gdybym przeczytała parę linijek? Gdy tylko spojrzałam na pierwszy akapit, nie mogłam się już dłużej powstrzymać.

Nie miałam zamiaru całować Elliota. Zameżne kobiety się tak nie zachowują i do tej pory nie robiłam takich rzeczy. Daleko takiemu zachowaniu do stosowności, ale nadszedł przypływ i od morza zaczął wiać zimny wiatr, a ramiona Elliota otulały moje ciało niczym ciepły szal. Jego ręce pieściły mnie tam, gdzie nie powinny. Nie mogłam myśleć o niczym innym. Było nam jak dawnej. Mimo że wyszłam za mąż i tak wiele się pozmieniało, moje serce oparło się upływowi czasu. Czekąco jak skamieniałe na tę chwilę, w której na powrót się odnaleźliśmy. Bobby nigdy mnie tak nie obejmował. A może to robił, tylko jego dotyk nie wzbudzał we mnie tej samej namiętności, nie rozniecał takiego ognia.

Prawdą jest, że nie miałam zamiaru całować Elliota tamtej zimnej marcowej nocy ani że nie planowałam tego haniebnego czynu, którego wtedy dokonaliśmy - całego ciągu wydarzeń, jakie przyczyniły się do naszej wspólnej ruiny. Ale sprowokowałam ten ciąg wydarzeń w marcu 1943 roku

i na zawsze zmieniłam życie swoje i moich bliskich. Mam na imię Esther i opowiem teraz moją historię.

Oderwałam się na chwilę od czytania. Esther? Kim ona jest? Czy to pseudonim artystyczny? Fikcyjna bohaterka? Usłyszałam pukanie do drzwi i odruchowo wsunęłam pamiętnik pod narzutę.

- Proszę.

Bee stanęła w otwartych drzwiach.

- Nie mogę zasnąć. - rzekła, pocierając powieki. - Może zamiast drzemać, wybierzemy się na zakupy?

- Pewnie - odparłam, choć bardzo chciałam zostać i zagłębić się w lekturę.

- Poczekam na zewnątrz. Przyjdź, jak będziesz gotowa - powiedziała, przypatrując mi się badawczo.

Zaczęłam podejrzewać, że mieszkańcy wyspy mogą być zamieszani w jakiś spisek i nie nie mają zamiaru dzielić się ze mną swoją tajemnicą.

ROZDZIAŁ 4

Supermarket Town and Country znajdował się niecały kilometr od domu Bee. W dzieciństwie chodziłam do niego na piechotę z siostrą, kuzynką albo sama, a po drodze zbierałam w duży, okrągły bukiet fioletowe kwiaty koniczyzny - gdy przyciskałam je do nosa, czułam miodowy zapach. Przed wyjściem wyciągałyśmy od dorosłych po dwadzieścia pięć centów i wracałyśmy z kieszeniami wypchanymi różową gumą balonową Bazooka. Smakiem lata będzie dla mnie zawsze guma balonowa.

W milczeniu jechałyśmy krętą drogą w stronę miasta. Najlepsze w starym garbusie jest to, że jeśli nie ma się ochoty rozmawiać, nie trzeba się do tego zmuszać. Dźwięk silnika skutecznie zagłusza niezręczną ciszę swoim przyjemnym, podnoszącym na duchu bulgotaniem.

Bee podała mi listę zakupów.

- Muszę porozmawiać z Leanne z piekarni. Czy mogłabyś poszukać rzeczy z listy, kochanie? -OK. Uśmiechnęłam się. Byłam pewna, że łatwo się odnajdę w układzie sklepu, mimo że ostatni raz robiłam tu zakupy, mając siedemnaście lat.

Podejrzewałam, że nadal cukrowe lody Otter Pops leżą w trzecim przejściu, a w dziale warzywnym pracuje ten przystojny facet,

który zawsze wysoko podwijał rękawy koszulki, żeby poszpanować swoimi bicepsami. Przejrzałam listę zakupów Bee - łosoś, ryż arborio, pory, rukiew wodna, szalotki, białe wino, rabarbar i bita śmietana. Sugerowało to obiad godny tego całego zachodu. Postanowiłam zacząć od białego wina, bo dział alkoholowy był najbliżej.

Drewniane regały upodabniały go do piwnicy wykwintnej restauracji, ale ograniczony wybór win był typowy dla sklepu tej wielkości. Zakurzone butelki przylegały do ściany słabo oświetlonego pomieszczenia przypominającego jaskinię, do którego schodziło się po małych schodkach.

- Czy mogę w czymś pomóc?

Nieco zaskoczona, podniosłam wzrok i ujrzałam zmierzającego w moją stronę mężczyznę.

Instynktownie się cofnęłam i prawie przewróciłam ekspozycję białych win.

- Szlag by to trafił! - wykrzyknęłam, przytrzymując butelki, które kołysały się jak uderzone kęgle. - Przepraszam.

- Nic się nie stało - uspokoił mnie. - Szuka pani wina kalifornijskiego czy jakiegoś miejscowego?

W pomieszczeniu było mało światła, więc z początku nie dostrzegłam jego twarzy.

- Chciałam się tylko... - zaczęłam, ale w tym momencie ściągnął butelkę z wysokiej półki i podszedł do mnie na tyle blisko, że rozpoznałam jego rysy. Otwarłam usta ze zdziwienia - Jezu, czy to ty, Greg? Spojrzał na mnie wyraźnie zszokowany.

- Emily? To ty?

To, że się spotkaliśmy w takim miejscu, było zarazem niesamowite, ekscytujące i nieco krępujące. Oto przede mną stała moja licealna miłość ubrana w sklepowy fartuch. Nie widzieliśmy się prawie dwadzieścia lat, ale jego twarz wydawała mi się tak znajoma jak tamtego dnia, kiedy pozwoliłam mu zdjąć stanik mojego bikini i przebiegać palcami po odsłoniętej skórze. Byłam wtedy pewna, że to oznacza miłość i że kiedyś się

pobierzemy. Tak pewna, że wydrapałam spinaczem biurowym „Emily + Greg = Wielka Miłość” z tyłu podajnika ręczników papierowych w damskiej toalecie supermarketu. Tuż potem lato się skończyło i musiałam wracać do domu. Przez pięć miesięcy codziennie sprawdzałam skrzynkę pocztową, ale nie przyszedł żaden list. Nie było też żadnego telefonu. Kolejnego lata, które spędzałam u Bee, poszłam wzdłuż plaży do jego domu i zapukałam do drzwi. Jego młodsza siostra, za którą nie przepadałam, powiedziała mi, że wyjechał do koledżu i ma tam nową dziewczynę. Jakaś Lisę.

Greg był nadal niesamowicie przystojny, ale wyraźnie starszy i nieco sterany życiem. Zastanawiałam się, czy ja też wyglądam na steraną życiem. Mimowolnie spojrzałam na jego lewą rękę w poszukiwaniu obrączki, ale jej tam nie znalazłam.

- Co ty tutaj robisz? - zapytałam, bo nie dotarło do mnie jeszcze, że znajduję się w jego miejscu pracy. Zawsze myślałam, że zostanie pilotem śmigłowca albo strażnikiem leśnym, wybierze zawód wymagający odwagi i zaciętości, co byłoby bardzo w jego stylu. Ale sprzedawca w supermarkecie? To mi zupełnie do niego nie pasowało.

- Pracuję - uśmiechnął się z dumą. Pokazał mi swoją plaketkę z imieniem i przeczesał dłonią swoje włosy w kolorze jasnego blondu. - O rety, jak dobrze cię znowu widzieć - ciągnął. - Ile to już minęło? Z piętnaście lat?

- Co najmniej- odparłam. - Zaraz, więcej. Szmata czasu.

- Świetnie wyglądasz - powiedział, a ja poczułam się onieśmielona.

- Dzięki.

Sprawił, że zaczęłam nerwowo naciągać dekolt swetra. Trafiłam wzrokiem na swoje stopy. Cholera, kalosze. W swoich fantazjach zawsze wpadałam na byłe miłości, kiedy miałam na sobie wyszczuplające sukienki koktajlowe, a teraz stałam przed jedną z nich zawinięta w wełniany sweter wygrzebany z dna szafy Bee. Ech.

Jednak chłopięcy wygląd Grega i jego szaroniebieskie oczy o barwie wzburzonego morza sprawiły, że natychmiast poczułam się lepiej.

- Co cię sprowadza z powrotem na wyspę? - posłał mi zabójczy uśmiech i podparł się łokciem o ścianę. - Słyszałem, że jesteś poczytną pisarką w Nowym Jorku.

Odwzajemniłam uśmiech.

- Przyjechałam do Bee na cały miesiąc.

- Serio? Od czasu do czasu widuję ją na zakupach. Kilka razy chciałem ją zapytać, co u ciebie - przerwał na chwilę - ale zawsze tchórzyłem.

- Ty kiedyś stchórzyłeś? Potarł dłonią czoło.

- Sam już nie wiem. Chyba w głębi duszy wszyscy mamy czasem szesnaście lat. No i to ty ze mną zerwałaś.

Posłałam mu czarujący uśmiech.

- Nie, to ty wyjechałeś do koledżu.

Miał teraz w sobie dużo ciepła i tryskał energią, co bardzo mi się podobało.

- Powiesz mi, dlaczego tu wróciłaś po tych wszystkich latach?

- Cóż, to dość skomplikowana sprawa - westchnęłam.

- Jestem do takich przyzwyczajony. Potarłam palcem miejsce po swojej obrączce.

- Przyjechałam, bo... - przerwałam, wyczekując jego reakcji, może nawet jakiejś zachęty z jego strony.

Nie miało to najmniejszego sensu, bo jakie znaczenie ma opinia chłopaka, z którym chodziłam milion lat temu, na temat mojego stanu cywilnego. W końcu wyrzuciłam to z siebie: - Przyjechałam, bo właśnie się rozwiodłam i musiałam uciec od tego wszystkiego.

Położył rękę na moim ramieniu.

- Bardzo mi przykro.

Wyglądał, jakby rzeczywiście mi współczuł. Poczułam, że lubię tego dorosłego Grega znacznie bardziej niż nastoletniego.

- Nie jest najgorzej. - Miałam nadzieję, że nie potrafi czytać w myślach.

Z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Nic się nie zmieniałaś.

Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć, więc ograniczyłam się do „dziękuję”. Greg mówił tylko to, co wypada powiedzieć byłemu chłopakowi, ale pobudził moje uśpione poczucie własnej wartości jak solidna dawka epinefryny. Nerwowo pogładziłam włosy i przypominałam sobie, że ich stan wymaga wizyty u fryzjera - od co najmniej trzech miesięcy.

- Ty również. Nieźle się trzymasz. - Przerwałam na moment. - Jak ci się wiedzie? Miałaś trochę więcej szczęścia w miłości niż ja?

Nie wiem dlaczego, ale spodziewałam się, że będzie spełnionym mężem wiodącym przykładowe życie na wyspie Bainbridge. Będzie miał wspaniały dom, atrakcyjną żonę i pół tuzina dzieci przypiętych bezpiecznie do fotelików samochodowych umocowanych w niebieskim chevrolecie.

- W miłości? - Wzruszył ramionami. - Nie, jakoś mnie ominęło. Ale jestem całkiem zadowolony.

Zdrowie mnie nie opuszcza, a przecież to się liczy najbardziej, no nie?

- Wiadomo. - Zrobiło mi się miło na myśl, że nie tylko moje życie nie idzie zgodnie z planem.

- Czyli serio mówisz, że nie jest najgorzej? Bo gdybyś chciała z kimś pogadać, moglibyśmy... -

Wyciągnął zza fartucha ścierkę i zaczął ścierać kurz z kilku butelek czerwonego wina stojących na niższej półce.

Może to przez przygaszone światła, a może przez wino stojące wszędzie dookoła, ale czułam się z Gregiem bardzo swobodnie.

- No pewnie. Skłamałabym, mówiąc, że nie jest mi ciężko, lecz z każdym dniem jest coraz lepiej. Dziś na przykład jest zupełnie dobrze. - Przełknęłam ślinę. - Za to wczoraj było beznadziejnie.

Pokiwał ze zrozumieniem głową i przesłał mi ciepły uśmiech, który zdradzał, że ożyły w nim wspomnienia.

- Słuchaj, pamiętasz, jak cię zabrałem do Seattle na koncert?

Pamiętałam. Minęło chyba sto lat od czasu, kiedy ostatni raz o tym myślałam. Mama zabroniła mi jechać, ale Bee dokonała cudu i przekonała ją, że koncert w „filharmonii” to wspaniały pomysł.

- O mały włos, a nie dotarlibyśmy do domu. - Jego wzrok przeniósł mnie w zapomniany świat mojej młodości.

- Z tego, co pamiętam, chciałeś mnie przenocować u swojego brata w akademiku - powiedziałam, przewracając oczami z wdziękiem nastolatki. - Mama by mnie chyba zabiła!

Zlekceważył to zupełnie.

- Nie możesz mnie przecież winić za to, że próbowałem. Nadal miał w sobie mnóstwo nieodpartego uroku. Pociągało mnie to w nim od samego początku.

Ciszę, która nastąpiła po tych słowach, przerwał wreszcie Greg, kierując rozmowę na wino.

- Zdaje się, że szukałaś butelki jakiegoś szlachetnego trunku?

- Racja. Bee wysłała mnie po białe wino. Który to będzie pinot? - Wina nigdy nie były moją mocną stroną.

Z uśmiechem zaczął szukać na półkach odpowiedniego szczepu i gdy go znalazł, wyciągnął butelkę z precyzją doświadczonego chirurga.

- Spróbuj tego, to jedno z moich ulubionych, miejscowy pinot gris, powstaje z winogron uprawianych na naszej wyspie. Zareczam, że gdy tylko go skosztujesz, to od razu się zakochasz.

Za plecami Grega pojawił się kolejny klient potrzebujący pomocy, ale za nim się do niego odwrócił, spytał mnie jeszcze szybko:

- Może zjesz ze mną kolację? Chociaż raz, zanim wyjedziesz.

- Oczywiście. - Zgodziłam się z rozpędu, nim zdążyłam przemyśleć sprawę. Inaczej pewnie bym odmówiła. Nie, raczej na pewno bym odmówiła.

- Świetnie - powiedział to z tak szerokim uśmiechem, że zobaczyłam dwa rzędy śnieżnobiałych zębów i mimowolnie przejechałam językiem po swoich. - Zatem zadzwonię do ciebie na numer twojej ciotki.

- W porządku - odparłam nieco oszołomiona.

Co się wydarzyło przed chwilą? Szłam w stronę działu warzywnego, żeby zająć się rukwią wodną, kiedy dostrzegłam Bee.

- Tutaj jesteś - stwierdziła, machając do mnie. - Podejź tu proszę, kochanie. Chciałabym cię komuś przedstawić.

Obok niej stała dość zaawansowana wiekiem kobieta, która miała (wyraźnie farbowane) czarne włosy i pasujące do nich ciemne oczy. Nigdy nie widziałam tak ciemnych oczu. Były prawie czarne i mocno kontrastowały z bladym śmietankowym kolorem jej skóry. Zupełnie nie wyglądała na stetryczalą, choć miała pewnie ponad osiemdziesiąt lat.

- Poznaj Evelyn - rzekła z dumą Bee - moją najdroższą przyjaciółkę.

- Bardzo miło mi cię poznać - powiedziałam.

- Znamy się z Evelyn od zamierzchłych czasów - kontynuowała Bee. - Przyjaźnimy się od podstawówki. Spotkałaś ją już raz, gdy byłaś dzieckiem, ale pewnie tego nie pamiętasz.

- Przykro mi, ale nie. Obawiam się, że podczas tamtych wakacji obchodziło mnie tylko pływanie i flirtowanie z chłopcami.

- Dobrze cię znowu zobaczyć, kochanie. - Evelyn uśmiechnęła się tak, jakbyśmy znały się dawno. Wydawała mi się dziwnie znajoma, ale dlaczego?

W przeciwieństwie do Bee, która lubiła dzinsy i bluzy, Evelyn wyglądała jak nieco starsza podopieczna agencji modelek. Nie założyłaby spodni sięgających talii ani bezkształtnych butów z gumową podeszwą. Tego dnia miała na sobie stylową sukienkę kopertową i baleriny, ale widać było, że czuje się w tym stroju swobodnie. Tak jak Bee, sprawiała wrażenie osoby twardo stąpającej po ziemi. Zrozumiałam już, dlaczego były przyjaciółkami, i od razu ją polubiłam.

- Zaraz! Pamiętam! - zakrzyknęłam nagle.

Jej błyszczące oczy i promienny uśmiech przeniosły mnie w czasie do roku 1985, kiedy przyjechałyśmy z Danielle do Bee zupełnie same. Rodzice powiedzieli nam, że wyjeżdżają

na wycieczkę, ale potem dowiedziałam się, że przeprowadzali w to lato separację. Tata odszedł od mamy w lipcu, a do września zdążyli się już pogodzić. Mama schudła prawie siedem kilogramów, tata zapuścił brodę. Byli w swoim towarzystwie dziwni i zakłopotani. Danielle powiedziała mi, że tata miał kochankę, ale jej nie wierzyłam. Gdybym nawet była skłonna jej uwierzyć, nie mogłam taty winić ani za to, ani za całą resztę, bo przecież widziałam, jak mama krzyczy na niego i wierci mu dziurę w brzuchu przez te wszystkie lata. Tata miał przy tym cierpliwość godną Gandhiego.

Nie przejmowałam się w tamte wakacje ich separacją.

Po raz pierwszy zobaczyłam wtedy ogród Evelyn. Bee nas tam zabrała. Wspomnienia szybko do mnie wracały. Pamiętam ten magiczny świat pełen hortensji, róż i dali, kruche ciasteczka o smaku cytrynowym jedzone na patio. Wydawało mi się, że zaledwie wczoraj siedziałyśmy z siostrą na wąskiej ławce pod treliazem, a Bee stała nad sztalugą i próbowała przelać na płótno urok bujnie rosnących kwiatów.

- Twój ogród - powiedziałam. - Pamiętam twój ogród.

- Jak miło. - Evelyn uśmiechnęła się lekko.

Ciągle byłam zdziwiona, że wspomnienie tak głęboko pogrzebane w mojej pamięci było w stanie wydostać się na powierzchnię tak po prostu - jakby w mojej podświadomości otworzyła się jakaś szufladka. To wyspa podarowała mi do niej klucz. Choć nadal stałam w dziale warzywnym supermarketu, jednocześnie wąchałam liliowce i czułam niebiański smak ciasteczek, a mgła skrywająca resztę tej sceny powoli się uniosła. Siedziałam na patio Evelyn na podniszczonej ławce z drewna tekowe-go i miałam na sobie parę białych płóciennych trampek Keds, z tym że nie były to prawdziwe kedsy - jakaś firma podrobiła je tak dokładnie, że miały nawet fałszywy niebieski prostokąt z tyłu podeszwy. Oryginalne kedsy, których tak bardzo pragnęłam, kosztowałyby dokładnie jedenaście dolarów więcej. Żeby je zdobyć, obiecałam mamie, że przez miesiąc w każdą sobotę

będę myła łazienkę. Będę też odkurzać, ścierać kurze i prasować koszule taty. Mama tylko z niedowierzaniem kręciła głową i jednego dnia wróciła do domu z parą podróbek kupioną w dyskoncie obuwniczym. Wszystkie moje koleżanki miały prawdziwe kedsy z niebieskim prostokątem zatopionym w gumie. Tak więc siedziałam na patio Evelyn, przejmując się takim głupstwem jak niebieska nalepka odklejająca się z tyłu podeszwy mojego prawego trampka.

Bee oprowadzała wyraźnie znudzoną Danielle po ogrodzie, a do mnie przysiadła się Evelyn z pytaniem:

- Co cię tak martwi, kochanie? Wzruszyłam ramionami.

- Nic takiego.

- Mi możesz powiedzieć. - Ścisnęła mnie za rękę. Westchnęłam głęboko.

- No więc, to trochę głupie, ale czy nie ma pani może Super Glue?

- Masz na myśli klej? Wskazałam na swój but.

- Mama nie chce mi kupić kedsów, a z tych odkleja mi się nalepka i... - Zaczęłam płakać jak bóbr.

- Dobrze, już dobrze. - Evelyn podała mi z kieszeni swoją chusteczkę. - Kiedy byłam taką małą dziewczynką jak ty, jedna z moich koleżanek przyszła do szkoły w najpiękniejszych czerwonych pantofelkach, jakie kiedykolwiek widziałam. Lśniły niczym najprawdziwsze rubiny. Jej ojciec był dość zamożnym człowiekiem i opowiadała wszystkim, że przywiózł jej te pantofelki z Paryża.

Chciałam mieć takie buty bardziej niż cokolwiek na świecie.

- I dostałaś takie same? - zapytałam. Evelyn zaprzeczyła.

- Nie, chociaż wiesz co? Nadal chciałabym je mieć. Pytałaś o klej, kochanie, ale czy nie wolałabyś dostać parę tych - jak ty je nazwałaś?

- Kedsów - odpowiedziałam, nie wierząc własnemu szczęściu.
- No tak, kedsów. Powiedz mi zatem, jakie masz plany na jutro.
- Nie mam żadnych. - Otworzyłam szeroko oczy ze zdziwienia.
- No to ustaliłyśmy. Popłyniemy jutro promem do Seattle i dostaniesz swoje kedsy.
- Naprawdę? - wyjąkałam.
- Naprawdę.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc tylko roześmiałam się i oderwałam z buta resztę niebieskiej nalepki. Nie miało to teraz znaczenia. Od jutra będę chodziła w tych prawdziwych.

- Evelyn. - Wyrwał mnie z zamyślenia głos Bee. Zaglądała do wózka z zakupami. - Robię dzisiaj wystawną kolację. Może chciałabyś się do nas przyłączyć?
- Oj, nie, nie mogłabym. Emily dopiero co przyjechała i jeszcze nie zdążyłyście się sobą nacieszyć - odparła Evelyn.

Próbowałam ją zachęcić.

- Będzie nam bardzo, bardzo miło.
- Cóż, no to przyjdę.
- Wspaniale - ucieszyła się Bee. - Wpadnij wieczorem o szóstej.
- Zatem do zobaczenia - odparła Evelyn i poszła w stronę stoiska z ziemniakami.
- Bee - zaczęłam przytłumionym głosem. - Nie uwierzysz, kogo przed chwilą spotkałam.
- Kogo? - Grega - ciągnęłam szeptem. - Grega Atwooda.
- To twój były chłopak? Potwierdziłam.
- Wydaje mi się, że zaprosił mnie na randkę.

Twarz Bee rozjaśnił uśmiech, jakby sprawy układały się dokładnie po jej myśli. Sięgnęła po czerwoną cebulę, obejrzała ją z każdej strony, a gdy stwierdziła, że jej się nie podoba, odrzuciła ją na stertę innych. Powtarzała tę czynność kilka razy, aż wreszcie znalazła okaz, który spełniał jej wymogi. Wymamrotała coś pod nosem, ale gdy prosiłam ją, żeby powtórzyła,

uciekła na drugi koniec przejścia i zaczęła wybierać pory. Zerknęłam ukradkiem na dział alkoholowy i uśmiechnęłam się do siebie.

Tuż przed szóstą Bee wyciągnęła z barku trzy kieliszki do wina i otworzyła butelkę pinot gris, którą wybrał dla nas Greg.

- Czy mogłabyś zapalić świece, kochanie?

Szukając zapalek, myślałam o tym, jak wyglądały kolacje u Bee za czasów mojego dzieciństwa. Bee nigdy nie serwowała posiłku, jeśli na stole nie stały zapalone świece. „Każda kolacja smakuje lepiej w blasku świec” - powiedziała kiedyś mnie i mojej siostrze. Wydawało mi się to bardzo eleganckie i ekscytujące. Spytałam kiedyś mamę, czy mogłybyśmy robić to samo u nas, lecz stanowczo odmówiła. „Miejsce świeczek jest na tortach urodzinowych, więc powinno się je zapalać raz w roku”.

- Pięknie to wygląda - oceniła Bee, przyjrzawszy się dekoracji stołu, zanim wzięła do ręki butelkę białego wina. - Pinot gris - ciągnęła, studiując uważnie etykietę. - Ten chłopak wie, co wybrać.

- Bee - zaczęłam, siadając przy stole, na którym właśnie kroić pora prawdziwie rzeźnickim nożem. - Zastanawiałam się nad tym, co mi powiedziałaś o Jacku. Czy zdarzyło się coś, co was poróżniło?

Nieco zszokowana, podniosła na mnie wzrok i w tym momencie upuściła nóż, zacinając się w rękę.

- Ojej. A to pech. Szybko do niej podbiegłam.

- Tak mi przykro. Przepraszam.

- To nie twoja wina. To te stare ręce - nie są już takie sprawne jak kiedyś.

- Daj, dokończę krojenie - przegoniłam ją od stołu.

Opatrzyła palec, a ja skończyłam z porami i zaczęłam mieszać risotto. Smakowity zapach wydobywał się z garnka za każdym poruszeniem łyżki.

- Bee, nie rozumiem, dlaczego...

Przerwał mi dźwięk kroków Evelyn, który rozległ się w pobliżu drzwi wejściowych.

- Witajcie, dziewczęta! - powiedziała, idąc w kierunku kuchni. Przyniosła ze sobą butelkę wina i bukiet fioletowego bzu zawinięty w brązowy papier, który przewiązała sznurkiem konopnym.

- Są cudowne - zachwycła się Bee. - Jaki ci się udało znaleźć je tak wcześnie? Mamy dopiero marzec.

- W moim własnym ogrodzie. - Była tak zdziwiona tym pytaniem, jakby Bee zapytała ją właśnie, jakiego koloru jest niebo. - Mój bez zawsze zakwita przed twoim. - Rzekła tonem zdradzającym koleżeńską rywalizację, który zdzierżyć mogła tylko osoba przyjaźniąca się z nią od siedemdziesięciu pięciu lat.

Bee zrobiła jej drinka na bazie burbona i odesłała nas do salonu, żeby w spokoju dopieszczać potrawy.

- Niezłe ziółko z tej twojej ciotki - powiedziała z sympatią Evelyn, gdy Bee była już poza zasięgiem głosu.

- Krążą o niej legendy - odparłam z uśmiechem.

- I to niejedna - rzekła Evelyn.

Lód pływający w jej drinku uderzał o ściany szklanki, ale nie byłam w stanie określić, czy robi to specjalnie, czy też trzęsą jej się ręce.

- Chciałam jej powiedzieć dziś wieczorem. - Odwróciła się w moją stronę. Swobodny ton sugerował, że chciała się pochwalić kupnem nowego samochodu albo biletu do ciepłych krajów, lecz nagle w jej oczach dostrzegłam łzy. - Po drodze postanowiłam, że powiem jej dziś wieczorem, ale potem ją zobaczyłam i po prostu nie mogłam. Jest nam tutaj tak miło razem. Po co psuć wspaniałą kolację? Byłam nieco zdezorientowana.

- O czym chciałaś jej powiedzieć?

- Mam raka, w terminalnym stadium - odpowiedziała jak ktoś, kto zwierza się z przeziębienia, prosto i zwyczajnie, bez dramatyzowania, które w tych okolicznościach byłoby całkiem uzasadnione. - Został mi jakiś miesiąc życia, może nawet

mniej - kontynuowała cicho. - Dowiedziałam się tuż przed Bożym Narodzeniem, ale nie miałam serca mówić Bee. Chyba byłoby jej łatwiej, gdyby dowiedziała się o tym już po moim odejściu.

- Evelyn, bardzo mi przykro. - Ujęłam jej rękę. - Myślę jednak, że Bee wolałaby wiedzieć. Przecież cię kocha.

Evelyn westchnęła.

- Wiem, że wolałaby wiedzieć, ale nie chcę, żeby na naszych spotkaniach przewijał się temat śmierci. Zostało nam tak mało czasu razem. Chciałabym nadal pić burbona, grać w brydża i droczyć się z Bee. Skinęłam głową. Nie zgadzałam się z jej decyzją, ale rozumiałam, z czego wynikała.

- Wybacz, to twój pierwszy dzień na wyspie, a ja obarczam cię swoimi problemami. Nie mam za grosz wstydu.

- Nie szkodzi, dobrze mi to robi. Zwykle to ja zamęczam wszystkich swoimi problemami.

Pociągnęła długi łyk swojego drinka i z namysłem zapytała:

- Co zrobiłabyś na moim miejscu? Powiedziała swojej najlepszej przyjaciółce i zepsuła ostatnie wspólne chwile czy cieszyła się jej towarzystwem aż do końca?

- Chyba nie umiałabym kłamać w nieskończoność. To samolubne z mojej strony, ale potrzebowałabym jej wsparcia. Ty, Evelyn, jesteś silną kobietą. - Głos prawie uwiązł mi w gardle.

- Podziwiam twoją siłę.

Evelyn przysunęła się bliżej mnie.

- Jaką znowu siłę? Nawet czterolatek znosi ból lepiej niż ja.

- Zaśmiała się i zaproponowała szeptem: - Zajmijmy się teraz ploteczkami. Czy zaciekawili cię jakieś słodkie tajemnice Bee, które mogłabym ci zdradzić?

Miliony pytań, na które nie dostałam odpowiedzi, zaprzętały mój umysł, ale skupiłam się na ważniejszej sprawie - tajemniczej książce, którą znalazłam dziś w szufladzie nocnego stolika.

- No cóż - przerwałam na chwilę, by upewnić się, że Bee jest nadal w kuchni. Świadczył o tym stukot patelni stawianej na kuchence. - Na pewno chciałabym wiedzieć jedno.

- Co takiego, moja droga?

- W sypialni dla gości znalazłam dzisiaj dziennik, a może pamiętnik. Jest oprawiony w czerwony aksamit i bardzo stary, pochodzi z 1943 roku. Nie zdołałam się powstrzymać i przeczytałam pierwszą stronę, była intrygująca - opowiadałam szeptem.

Przez sekundę wydawało mi się, że Evelyn rozpoznaje książkę lub pamięta o czymś z nią związanym, ale szybko ukryła swoje karty.

- Zastanawiam się, czy to Bee mogła ją napisać - nadal szeptałam. - Nigdy nie słyszałam, żeby zajmowała się pisarstwem, a podejrzewam, że pochwaliliby mi się w związku z moją karierą.

Evelyn odstawiła swojego drinka.

- Czy możesz mi zdradzić coś jeszcze na temat tego pamiętnika? Co w nim wyczytałaś do tej pory?

- To była tylko jedna strona, ale historia zaczyna się od bohaterki o imieniu Esther... Jest tam też Elliot i...

W tym miejscu Evelyn zakryła ręką moje usta i kazała mi zamilknąć.

- Nie mów Bee o tej historii. Jeszcze nie teraz.

Przyszło mi do głowy, że może był to początek powieści, która nigdy nie została dokończona. Sama najlepiej wiedziałam, ile razy trzeba nanosić poprawki, żeby taka powieść została wydana. Ale żeby autor chciał zachować anonimowość? Nie miało to dla mnie najmniejszego sensu.

- Evelyn, powiedz proszę, kto napisał tę książkę.

Cienie pod jej oczami pogłębiły się. Wstała, wzięła głęboki oddech i zaczęła się bawić małą rozgwiazdą leżącą na półce nad kominkiem.

- Rozgwiazdy to takie zagadkowe stworzenia. Żadnej kości, same chrząstki, bardzo kruche, a przy tym odważne i wytrwałe. Cechuje je jaskrawy kolor, duża zdolność przystosowania do zmieniających się warunków, długowieczność. Wiesz, że kiedy tracą jedno ramię, odrasta im w tym miejscu nowe? -

Evelyn

odłożyła rozgwiadę na miejsce. - Twoja babcia uwielbiała rozgwiadę tak samo, jak kochała morze - przerwała, uśmiechając się do siebie. - Spędzała dużo czasu na plaży. Zbierała wyglądzone przez wodę kawałki szkła i wymyślała historie o życiu krabów chowających się między kamieniami.

- To ciekawe, bo odniosłam wrażenie, że babcia nigdy nie lubiła morza. Czy nie dlatego przenieśli się z dziadkiem do Richtend? Przez to morskie powietrze miała stale zapchane zatoki.

- Tak, ale... Wybacz mi. Pochłonęły mnie wspomnienia. - Usiadła i skupiła się na mojej twarzy. - A jeśli chodzi o ten pamiętnik. To ciekawe, że w końcu trafił w twoje ręce. Musisz go przeczytać, Emily. Sama się przekonasz, jak wielkie znaczenie ma ta historia.

Westchnęłam nieco zniecierpliwiona.

- Chciałabym poznać więcej szczegółów.

- I tak zdradziłam ci zbyt wiele, kochanie. To nie ja powinnam ci o tym opowiadać. Zaslugujesz na to, by poznać prawdę. Czytaj nadal, a z czasem znajdziesz wszystkie odpowiedzi.

Przez chwilę wyglądała na pogrążoną w myślach, tak jakby wracała pamięcią do roku, w którym rozpoczęła się historia Esther i Elliota.

- A co z Bee? Mam nadal trzymać to w tajemnicy?

- Przed niektórymi rzeczami musimy naszych bliskich chronić - odpowiedziała Evelyn.

Zdezorientowana, pokręciłam głową.

- Nie rozumiem, jakim cudem to, że czytam ten pamiętnik, mogłoby ją zranić.

Evelyn przymknęła na chwilę oczy, po czym spojrzała na mnie, mówiąc:

- Od dawna o tym nie myślałam, ale wierz mi, kiedyś bardzo nam to wszystkim ciążyło, nie mogliśmy od tego uciec. Na szczęście czas leczy rany. Sądziłam, że pamiętnik gdzieś zniknął albo został zniszczony, lecz zawsze miałam nadzieję, że się pojawi, gdy zajdzie taka potrzeba. - Zamilkła na moment. - Mówisz, że w którym pokoju go znalazłaś, kochanie?

Wskazałam na koniec korytarza.

- W różowej sypialni.

- No tak. Nie rezygnuj z czytania, kochanie, a sama będziesz wiedziała, kiedy nadejdzie czas na rozmowę z Bee. Uważaj, żeby nie traktować jej przy tym zbyt ostro.

Właśnie wtedy z kuchni wyszła Bee z dymiącym półmiskiem w dłoniach.

- Podano obiad, dziewczęta - rzekła. - Jest i butelka białego wina, więc napełnijmy nasze kieliszki.

Dopiero około północy rozeszliśmy się do łóżek. Cały wieczór Bee i Evelyn zabawiały mnie historyjkami pełnymi dramatyzmu i wygłupów. Kiedyś uciekły z lekcji francuskiego, żeby wypić butelkę ginu z dwoma zawodnikami szkolnej drużyny futbolowej. Ukradły też spodnie wyjątkowo przystojnemu nauczycielowi matematyki, gdy ten pływał w basenie. Słuchając o ich przyjaźni, szczerzej i pokonującej wszelkie trudności, pomyślałam o Annabelle. Tęskniłam za nią. Brakowało mi naszych rozmów (potrafiłyśmy dzwonić do siebie nawet dwa razy dziennie) i jej dość irytującego zwyczaju przywoływania mnie do porządku.

Poprawiłam poduszkę i wskoczyłam na łóżko, ale już po chwili przetrząsałam walizkę w poszukiwaniu miniatury, którą zabrałam z Nowego Jorku. Wyciągnęłam ją spod swetra i przyjrzałam się ponownie. Para na obrazie wyglądała razem naturalnie, jakby ci ludzie zostali dla siebie stworzeni. Kompozycja sceny zdawała mi się harmonijna - para trzymała się za ręce, fale rozbijały się o brzeg, a wiatrowskaz kręcił się na wietrze. Co powie Bee, gdy znowu zobaczy ten obraz? Był dla mnie małym oknem na świat, który Bee trzymała przede mną w sekrecie. Znow owinęłam płótno w sweter i schowałam je.

Pamiętnik przywoływał mnie z szuflady, więc czym prędzej go stamtąd wyjęłam. Przez chwilę rozmyślałam nad tym, co

zdradziła mi Evelyn, ale przede wszystkim o Bee i jej związku z tą tajemniczą historią sprzed lat. Bobby był dobrym facetem. Uczciwym i pracowitym. W pewien wyjątkowo łagodny styczniowy dzień, gdy wracaliśmy promem z Seattle, wyjął pierścionek i poprosił mnie o rękę, a ja spojrzałam mu w oczy i najzwyczajniej w świecie zgodziłam się zostać jego żoną. Nie mogłam postąpić inaczej. Byłabym głupia, gdybym odrzuciła jego oświadczenia.

Trwała wojna, ale Bobby został zwolniony z wojska ze względów zdrowotnych. Był prawie zupełnie ślepy i nawet w okularach o szklach tak grubych, że wydawały się ważyć pięć kilogramów, nie był zdolny do służby, chociaż bardzo chciał iść na front. Nienawidzę siebie za myślenie, że gdyby tylko pojechał na wojnę, być może nasze losy potoczyłyby się inaczej, a ja nie zmarnowałabym sobie życia. Ale Bobby został w kraju i zaczął robić karierę. Wiele osób na wyspie nie miało wtedy pracy, lecz on znalazł dobrą posadę w Seattle. Mógł się mną opiekować, a w tych czasach każdej młodej kobiecie zależało głównie na tym.

Pamiętam jego reakcję, gdy przyjął oświadczenia - uśmiechał się szeroko, trzymając dłonie w kieszeniach spodni z brązowego sztruksu, które zawsze na nim wisiały. Wiatr zwiewał jego cienkie brązowe włosy na bok i wyglądał prawie przystojnie, gdy sięgnął po moją rękę. Prawie wystarczająco przystojnie.

Zły los chciał, że Elliot również był tego dnia na promie. W dodatku towarzyszyła mu kobieta. Nie było to nic nowego - kobiety zawsze kręciły się wokół niego. Zapamiętałam akurat tę jedną, bo na szyi powiewał jej biały jedwabny szal, a figurę kusząco podkreślała czerwona sukienka.

Zanim dopłynęliśmy do brzegu, natknęliśmy się na nich na pokładzie. Nie dość, że siedziała Elliotowi na kolanach, to jeszcze uwiesiła mu się na szyi.

- Cześć Bobby, Esther - krzyknął Elliot, machając do nas ręką. - Przedstawiam wam Lilę.

Bobby odpowiedział mu uprzejmie na powitanie, ja tylko skinęłam głową.

- To jak? Które z nas mu powie? - spytał mnie Bobby. Wiedziałam, o co mu chodzi, ale instynktownie ukryłam

palec z pierścionkiem głęboko w fałdach sukienki, dopóki nie poczułam, jak metal wbija mi się w skórę. Pierścionek sam w sobie był całkiem ładny - prosta złota obrączka i półka-ratowy diament godny najwyższego podziwu. To mój dawny związek z Elliotem sprawił, że na chwilę się zawahałam.

- Zaręczyliśmy się! - Bobby przekazał mu tę wiadomość, zanim mogłam temu zapobiec.

Zrobił to na tyle głośno, że wielu pasażerów siedzących w pobliżu zaczęło nam się przypatrywać z nieskrywaną ciekawością.

Patrząc w ciemnobrązowe oczy Elliota, dostrzegłam, jak targają nim sprzeczne uczucia. Mieszały się w nim poczucie zdrady i smutek. Po chwili spuścił wzrok. Potem wstał i poklepał Bobby ego po plecach.

- Proszę, proszę. Udało ci się zdobyć najpiękniejszą dziewczynę na wyspie, Bobby. Przyjmij moje gratulacje.

Bobby promieniał szczęściem, a Elliot tylko na mnie patrzył. Zabrakło nam słów.

Lila odkaszlnęła lekko i zmarszczyła brwi.

- Mówisz, że najpiękniejszą dziewczynę na wyspie?

- Oczywiście zaraz po mojej Liii - dodał Elliot, tak sugestywnie obejmując ją w talii, że musiałam odwrócić wzrok.

Nie kochał jej. Wiedzieliśmy o tym oboje, tak samo jak o tym, że Elliot należał do mnie, a ja do Elliota.

Czułam, że jego serce pęka z nadmiaru bólu tak samo jak moje. Jednak zgodziłam się zostać żoną Bobby ego. Już podjęłam decyzję. Za dwa miesiące zostanę panią Bobby Littleton, mimo że Kocham Elliota Hartleya.

Była prawie druga w nocy, gdy skończyłam czytać trzeci rozdział i odłożyłam książkę. Esther rzeczywiście wyszła za Bobbyego. Urodziła im się córka. Elliot zaciągnął się do wojska i wyruszył na południowy Pacyfik trzynastdzieci dni po ich ślubie. Siedząc w odległej ławce kościelnej, przyglądał się, jak wypowiadali słowa przysięgi małżeńskiej. Kiedy Bobby wsuwał obrączkę na palec Esther, myślami była przy Elliocie, a kiedy złożyła przysięgę, zerknęła na tył kościoła i napotkała jego wzrok. Od czasu gdy Elliot wyruszył na wojnę, na wyspę nie dotarły o nim żadne wieści. Każdego dnia Esther szła pod gmach ratusza, pchając przed sobą wózek z dzieckiem, żeby sprawdzić, czy nie ma go na liście poległych.

Zamknęłam oczy i pomyślałam o Bee. Żeby pisać w ten sposób, trzeba najpierw poznać, czym jest miłość i ból po jej stracie.

ROZDZIAŁ 5

3 MARCA

Emily - zawołała Bee z końca korytarza.

Jej głos wydawał mi się coraz mniej odległy. Z cichym skrzypnięciem otworzyła drzwi, a gdy w końcu otworzyłam oczy, zobaczyłam, jak zagląda do pokoju.

- Wybacz, kochanie, ale nie sądziłam, że jeszcze śpisz. Już prawie dziesiąta. Ach, i dzwoni do ciebie Greg. - Przekomarzała się ze mną, lecz jej uśmiech zdradzał zachętę.

- Dobrze - odpowiedziałam, patrząc na nią nieprzytomnie. - Zaraz podejść.

Wstałam z łóżka, przeciągnęłam się i włożyłam miękki szlafrok w kolorze mięty. Przeszłam do salonu i wzięłam z rąk Bee słuchawkę.

- Ten chłopak wydaje się tobą poważnie zainteresowany - wyszeptała.

- Pst! - zasyczałam na nią.

Nie chciałam, by Greg odniósł mylne wrażenie, że siedzę i czekam na jego telefon. Poza tym nie wypiliśmy jeszcze mojej porannej kawy, więc byłam skrajnie podirytowana.

- Halo.

- Cześć, Emily.

- Cześć - przywitałam go, czując, że moje niezadowolenie gdzieś się ulatnia. Jego głos działał na mnie jak podwójne espresso.

- Wiesz, ciągle nie mogę uwierzyć, że znów jesteś na wyspie. Pamiętasz, jak któregoś dnia znaleźliśmy tę starą huśtawkę z liny na plaży pana Adlera?

- A jakże - odpowiedziałam, uśmiechając się na wspomnienie jego zielonych spodenek kąpielowych z niebieską lamówką.

- Pamiętam, że bałaś się spróbować, ale obiecałem, że będę czekał w wodzie i cię złapię.

- Tak, ale zapomniałeś wspomnieć, że oznacza to skok do wody na brzuch.

Zaśmialiśmy się oboje, a ja uświadomiłam sobie, że zmieniło się wszystko i nic.

- Co robisz dziś wieczorem? - zapytał z większą nieśmiałością niż Greg Attwood, którego znałam latem 1988 roku. Albo stracił nieco pewności siebie, albo nauczył się pokory - nie potrafiłam się zdecydować.

- Nic ważnego.

- Tak sobie pomyślałem, że może chciałabyś zjeść ze mną kolację w Robins Nest. Mój znajomy otworzył ten lokal w zeszłym roku. Wiadomo, że to nic w porównaniu z Nowym Jorkiem, ale nam, wyspiarzom, całkiem się podoba. Mają tam świetny wybór win.

- Brzmi wspaniale. - Gdy uśmiechnęłam się wesoło, poczułam na sobie spojrzenie Bee.

- Świetnie. Mogę po ciebie przyjechać o siódmej?

- Pewnie. Będę czekać.

- Cieszę się.

- To do zobaczenia, Greg.

Odwiesiłam słuchawkę i poszłam do Bee, która przysłuchiwała się całej naszej rozmowie, siedząc za kuchennym stołem. -I jak poszło?

- Co poszło? - odpowiedziałam.

Bee zmroziła mnie wzrokiem.

- Wychodzimy razem dziś wieczorem.

- To wspaniale, kochanie.

- Sama nie wiem - odrzekłam, krzywiąc się lekko. - Trochę to, no cóż, dziwne.

- Nie wygłupiaj się - strofowała mnie Bee, składając gazetę na pół. - Co innego miałabyś robić dzisiaj wieczorem?

- Masz rację - zgodziłam się i włożyłam rękę do słoika stojącego na stoliku kawowym, w którym Bee przechowywała imponującą kolekcję miniaturowych muszelek. - Czuję się trochę nieswojo, bo najpierw zjawia się Jack, potem Greg, a ja zupełnie wyszłam z sprawy.

Na dźwięk imienia Jack Bee wyjrzała przez okno w stronę brzegu. Robiła tak zawsze, gdy poruszany był niezręczny dla niej temat, na przykład jej mąż Bill albo jej twórczość artystyczna.

W końcu przerwałam zalegającą ciszę.

- Cóż, jeśli nie chcesz o tym mówić, w porządku. Ale jeśli nie pochwalasz zachowania Jacka, to może powiesz mi przynajmniej, co takiego zrobił.

Pokręciła przecząco głową i przeczesła dłonią swoje siwe włosy. Podobało mi się bardzo, że nadal ścinała je na boba i nie poddała się presji innych osiemdziesięciolatek, które preferowały krótkie, utrwalone mocnym lakierem fryzury. Wszystko w mojej ciotce wywoływało żywą reakcję otoczenia, nawet jej imię. Jako dziewczynka zapytałam ją, czemu ma na imię Bee. Powiedziała, że jest taka jak pszczoła: słodka jak miód, ale z okrutnym żądłem.

Westchnęła ciężko.

- Wybacz, skarbie - zmroził mnie dźwięk jej głosu. - Nie chodzi o to, że nie pochwalam jego zachowania. Po prostu wolałabym, żebyś obchodziła się ostrożnie ze swoim sercem. Ktoś mnie kiedyś zranił, i to głęboko, dlatego nie chcę, żebyś sobie dokładała bólu po swoich ostatnich przejściach.

Argument Bee trafił na podatny grunt. Przyjechałam na Bain-bridge, żeby dojść do siebie po rozstaniu, które w Nowym Jorku wydawało mi się końcem świata - nie po to żeby narażać się na powtórne zranienie. Jednak, jak twierdziła Annabelle, w czasie tej podróży powinnam nauczyć się korzystać z tego, co przyniesie życie. Nie zaprzeczać sobie ani nie kwestionować swoich uczuć, jak robiłam za każdym razem, gdy siadałam przed klawiaturą komputera i wystukiwałam byle jakie zdanie. Ten marzec miał być dla mnie czystą kartą.

- Obiecuj mi, że będziesz na siebie uważać - powiedziała Bee tym razem łagodnie.

- Będę - przyrzekłam z nadzieją, że uda mi się dotrzymać obietnicy.

Greg spóźnił się już dwadzieścia minut. Przypomniłam sobie te wszystkie wakacje, w czasie których nie pojawiał się przy huśtawce albo w kinie, albo na plaży, mimo że obiecał przyjść. Przez moment nawet miałam nadzieję, że w ogóle nie przyjdzie. Całe to nasze wyjście wydawało mi się teraz dość absurdalnym pomysłem. Kto umawia się na randki z dawną miłością? Powoli wpadałam w panikę. Co ja wyprawiam? Wtedy zobaczyłam na drodze światła samochodu. Jechał szybko, jakby starał się nadrobić każdą straconą sekundę.

Chwyciłam za gałkę w drzwiach i wzięłam głęboki oddech.

- Baw się dobrze - życzyła mi, Bee machając na pożegnanie. Wyszłam na patio i patrzyłam, jak samochód zajeżdża na

podjazd - ten sam czterodrzwiowy mercedes z lat osiemdziesiątych w kolorze bladoniebieskim, którym Greg jeździł w liceum. Czas nie obszedł się z nim tak łaskawie jak z jego właścicielem.

- Wybacz mi spóźnienie - powiedział, wychodząc pospiesznie z samochodu. Włożył ręce do kieszeni, po czym nerwowo wyjął je z powrotem. - Był spory ruch w dziale alkoholowym tuż przed końcem mojej zmiany. Musiałem pomóc

klientce w szukaniu Chateauneuf-du-Pape. Potem stała przy mnie i zastanawiała się, czy wybrać rocznik osiemdziesiąt dwa czy osiemdziesiąt sześć. Myślałem, że nigdy się nie zdecyduje.

- I który w końcu wybrała?

. - Osiemdziesiąt sześć - odpowiedział.

- Wyjątkowo udany rocznik - rzekłam kpiącym tonem.

Spotykałam się kiedyś z facetem, który niemal doktoryzował się z wina. Najpierw przepłukiwał kubki smakowe, potem wciągał nosem zapach, a po pierwszym łyku obdarzał mnie stwierdzeniami w rodzaju „zdecydowanie najlepsze z tego rocznika” albo „nadzwyczajne połączenie smaków”. Dlatego właśnie przestałam odpowiadać na jego telefony.

- To był wyjątkowo udany rok - odparł, uśmiechając się z chłopięcym wdziękiem. - Właśnie wtedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Wprost nie mogłam się nadziwić, że pamięta. Ja przypominałam sobie z trudem, ale gdy mi się udało, okazywało się, że pamiętam wszystko.

Byłam czternastolatką z blond włosami w strąkach o płaskich piersiach. Greg był opalonym waśniakiem z drugiej klasy liceum, którego hormony wprost buzowały. Mieszkał w domu przy plaży niedaleko Bee. Nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, przynajmniej z jego strony, ale gdy wakacje dobiegały końca, dzięki instruktażowi mojej kuzynce Rachel zaczęłam się malować i nosić push-up. Wtedy Greg w końcu mnie zauważył.

- Niezły rzut - skomentował któregoś dnia na plaży, gdy rzuciłam frisbee w stronę Rachel.

Byłam tak zaskoczona, że nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Odezwał się do mnie chłopiec. I to fajny chłopiec. Rachel zostawiła frisbee i podbiegła do mnie, żeby dźgnąć mnie łokciem w ramię.

- Dzięki - wykrztusiłam wreszcie.

- Jestem Greg - powiedział, wyciągając do mnie rękę.

Nie odezwał się do Rachel, czego wtedy nie mogłam zrozumieć. Chłopcy zawsze zauważali ją najpierw, a Greg z jakiegoś powodu patrzył na mnie. Tylko na mnie.

- Jestem Emily. - Mój głos przypominał cichy pisk.

- Chcesz przyjść do mnie dzisiaj wieczorem? - spytał, przysuwając się do mnie. Pachniał kremem do opalania Banana Boat. Serce waliło mi jak oszalałe i prawie nie słyszałam kolejnego zdania. - Będzie tam paru moich znajomych. Urządzimy sobie ognisko.

Nie wiedziałam, co się robi na takim ognisku. Podejrzewałam, że coś niezgodnego z prawem, jak na przykład palenie marihuany. Mimo to zgodziłam się przyjść. Poszłabym za tym chłopcem na koniec świata, nawet jeśli zabrałby mnie na nielegalne i pełne używek ognisko.

- Fajnie - odpowiedział. - Zarezerwuję dla ciebie miejsce. - Mrugnął na mnie znacząco. - Tuż obok mnie.

Był tak przebojowy i pewny siebie, że od razu go polubiłam. Gdy odchodził w stronę swojego urzekającego, choć rozpadającego się już domu, Rachel i ja obserwowałyśmy z otwartymi ustami, jak z każdym krokiem pracują mięśnie na jego plecach.

- No tak - powiedziała Rachel obrażonym głosem. - Wygląda mi na słodkiego idiotę.

Nadal zszokowana, byłam tylko w stanie się przyglądać. Przystojny chłopiec właśnie zaprosił mnie na randkę. Gdybym jednak potrafiła wtedy coś jej odpowiedzieć, stwierdziłabym pewnie, że jak dla mnie jest absolutnie doskonały.

Greg obszedł samochód i otworzył mi drzwi z drugiej strony.

- Mam nadzieję, że jesteś głodna. - Posłał mi ujmujący uśmiech. - Założę się z tobą, że pokochasz to miejsce.

Zajęłam miejsce w samochodzie, który lata świetności miał już za sobą. Zanim usiadłam, strzepnęłam na podłogę coś na kształt zeschniętej frytki. W samochodzie unosił się zapach Grega z dawnych czasów: mocna woń niemytych włosów i oleju silnikowego oraz odrobina wody kolońskiej.

Kiedy ruszył dźwignią automatycznej skrzyni biegów, jego ręka musnęła moją.

- O, przepraszam - powiedział.

Nie skomentowałam, ale miałam nadzieję, że nie zauważył gęszej skórki, którą wywołał jego dotyk. Odległa od domu Bee o niecałe dwa kilometry restauracja musiała być jedną z najpopularniejszych na wyspie, ponieważ parking zastawiony był samochodami. Budynek wyglądał jak wymyślny domek na drzewie, z tym że był umiejscowiony nad samą cieśniną na szczycie wysokiego wzgórza. Wchodziło się do niego stromymi, krętymi schodkami. Z nadmiaru wrażeń rozboleła mnie głowa, więc sięgnęłam po torebkę i dyskretnie połknęłam dwie aspiryny.

- Niezłe miejsce, co? - powiedział Greg, rozglądając się po restauracji, gdy kierowniczka sali poszła sprawdzić nasz stolik.

- Rzeczywiście - odparłam, zastanawiając się ciągle, czy randka z Gregiem to był dobry pomysł. Greg powiedział coś do kierowniczki sali, która wyjęła dwie karty i zaprowadziła nas do stolika w zachodniej części lokalu.

- Miałem nadzieję, że zdążymy na zachód słońca - uśmiechnął się.

Nie byłam w stanie sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałam zachód słońca. Uderzyła mnie myśl, że to jedna z tych rzeczy, które robią mieszkańcy wyspy Bainbridge, a o której nowojorczycy zupełnie zapomnieli. Zadowolona, wyjrzałam przez okno i zobaczyłam pomarańczowe światło przedzierające się przez chmury.

Kelnerka przyniosła butelkę czerwonego wina, które wybrał Greg. Patrzyliśmy, jak rozlewa je nam do kieliszków. Milczenie przeciągało się i ciążyło nam coraz bardziej. Annabelle określała taką sytuację jako moment przenikliwej ciszy. Wydawało mi się, że cienka strużka wina płynie po szklanej ścianie o wiele głośniejsze niż zwykle.

- Czy mogę państwu podać coś jeszcze? - zapytała kelnerka.

- Dla mnie nie - odparłam.

W tym momencie Greg powiedział:

- Dla mnie tak.

Roześmiałam się, a on przeprosił. Cóż za krepująca sytuacja.

- Chciałem powiedzieć, że dla mnie także już nic - odrzekł, ciągnąc nerwowo za kołnierzyk koszuli.

Sięgnęliśmy równocześnie po kieliszki z winem.

- Cieszysz się, że wróciłaś, Emmy?

Usiadłam na krześle w nieco wygodniejszej pozycji. Nie nazywał mnie Emmy od 1988 roku. Dobrze było znów usłyszeć, jak to robi.

- I to jak - potwierdziłam święcie o tym przekonana i posmarowałam bułeczkę obiadową grubą warstwą masła.

- Niesamowity zbieg okoliczności. Myślałem, że już cię nigdy nie zobaczę.

- Prawda? - Obrzuciłam go nieco bardziej zalotnym spojrzeniem, bo wino zaczęło mi już krążyć w żyłach. - A jak się miewa Lisa?

- Jaka Lisa?

- Ta, z którą chodziłeś w koledżu. Twoja siostra powiedziała mi o niej, kiedy przyszłam się z tobą zobaczyć następnego lata po twoim wyjeździe.

- Aaa, ta Lisa. Nasz związek trwał tyle co... moje powtórki przed egzaminem.

- No proszę. - Posłałam mu półuśmiezek. - A więc mogłeś do mnie zadzwonić.

- Nie zadzwoniłem?

- Nie zdarzyło ci się.

- Na pewno dzwoniłem.

Z udawanym gniewem pogroziłam mu palcem.

- Mówię ci, że nie. Zmusił się do uśmiechu.

- I pomyśleć, że gdybym do ciebie zadzwonił, siedzielibyśmy tu jako małżeństwo. Stare dobre wyspiarskie małżeństwo.

Powiedział to żartem, ale żadne z nas się nie zaśmiało. Po chwili Greg znów napełnił nasze kieliszki winem i próbował oczyścić atmosferę.

- Wybacz mi. Nie wierzę, że powiedziałem coś takiego kobiecie, która dopiero co przeżyła rozwód.
- Nie musisz mnie przeproszać. Wszystko w porządku.
- To dobrze. - Wyraźnie mu ulżyło. - Zamierzałem ci przez to powiedzieć, że miło jest znów spędzać z tobą czas. Chciałbym się cofnąć kilkanaście lat wstecz i naprawić to, co zepsułem. Być z tobą.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- To wino przez ciebie przemawia.

Kelnerka przyniosła nam rachunek.

- Miałem nadzieję, że coś ci jeszcze pokażę dziś wieczorem - powiedział Greg, patrząc na zegarek. -

Nie jest dla ciebie za późno na małą przejażdżkę?

- Nie, nie. Mogę ci towarzyszyć - odparłam.

Wyjął kartę kredytową, zanim zdążyłam zaprotestować. Z nagłym poczuciem winy uświadomiłam sobie, że choć od lat nie napisałam żadnej książki, to prawdopodobnie zarabiałam znacznie więcej od niego. Na wyspie Bainbridge nie miało to znaczenia. Tutaj byłam tylko Emmy, siostrzenicą Bee, co i tak odpowiadało mi bardziej niż bycie rozwódką, niespełnioną pisarką i klientką terapeutki.

Wsunęłam torebkę z powrotem pod stół, a Greg z dumą podpisał rachunek.

Przejechaliśmy około półtora kilometra do miejsca przypominającego park. Greg zatrzymał samochód i zwrócił się do mnie z pytaniem:

- Czy zabrałaś ze sobą płaszcz?

- Nie, mam tylko ten sweter - zaprzeczyłam.

- Trzymaj. - Podał mi swój granatowy polar. - Przyda ci się. Pewnie wyglądałam śmiesznie, idąc tak za nim w polarze

i szpilkach, ale jakoś nie zaprzętałam sobie tym głowy. Wyspa i jego towarzystwo sprawiały, że czułam się swobodnie. Szliśmy stromą, wyboistą ścieżką. W pewnym momencie straciłam

równowagę i musiałam złapać go za rękę. Wtedy, żeby ułatwić mi schodzenie, objął mnie drugą ręką w tali.

Było zupełnie ciemno, dopóki nie dotarliśmy bliżej brzegu. Światło księżyca migotało w wodzie, a fale przelewały się tak spokojnie i delikatnie, jakby nie chciały obudzić żadnego mieszkańca wyspy. Na plaży moje obcasy zapadły się w piasek. buty^{Może ^ ZdejmieSZ?} ~~ zasu^zserował Greg, patrząc na moje. Zdjęłam szpilki i zdmuchnęłam z nich piasek, a Greg schował je osobno w kieszeniach swojego polara.

- Zmierzamy w tamtą stronę - powiedział, wskazując na odległy cel tonący w ciemności.

Przeszliśmy jeszcze parę metrów, a z każdym krokiem moje stopy coraz głębiej zapadały się w piasek, który przyjemnie masował mi palce. To wspaniałe uczucie nawet przy siedmiu stopniach powyżej zera.

- Jesteśmy na miejscu - zakomunikował Greg. Staliśmy przy kamieniu, a właściwie przy głazie wielkości

małego domu, który jakimś cudem znalazł się na środku plaży. Najbardziej zaskakująca była nie jego wielkość, lecz kształt -doskonale odwzorowywał serce.

- A więc tutaj zabierasz wszystkie swoje dziewczyny -stwierdziłam głosem przepełnionym sarkazmem.

- Nie zabieram. - Spojrzał na mnie poważnie. Podszedł do mnie, a ja odruchowo cofnęłam się do tyłu.

- Ostatni raz tu przyszedłem, kiedy miałem siedemnaście lat, i napisałem to. - Przykucnął tuż przy głazie, zapalił miniaturową latarkę i oświetlił napis:

„Kocham Emily na wieczność, Greg". Staliśmy w milczeniu, jakby podglądając nasze poprzednie wcielenia.

- No, nieźle - w końcu wykrztusiłam. - Ty to napisałeś? Skinał głową.

- Dziwnie tak teraz na to patrzeć.

- Czy możesz mi dać latarkę?

Kiedy mi ją przekazał, oświetliłam po kolei wyryte w kamieniu wyrazy.

- Jak to zrobiłeś?

- Otwieraczem do butelek. Wypiłem wtedy za dużo piwa.

Oświetliłam latarką większą powierzchnię głazu i zobaczyłam setki innych napisów - wszystkie były wyznaniem miłości. Przez chwilę nasłuchiwałam szeptów kilku pokoleń kochanków mieszkających na wyspie.

Greg odwrócił się w moją stronę. Nie wzbraniałam się, gdy mnie pocałował, mocno i zdecydowanie. Owinęłam ręce wokół jego szyi i wtuliłam się w jego ramiona, próbując zignorować swój wewnętrzny głos, który kazał mi przestać, odsunąć się od niego. Gdy skończyliśmy pocałunek, nadal tak staliśmy, niezdarnie spleceni w uścisku jak Dzwoneczek i Hulk Hogan tańczący walca.

- Przepraszam, ja... - wyjąkał Greg i cofnął się o krok. - Nie chciałem cię popędzać...

Przerwałam mu:

- Nie przepraszaj, nie ma za co.

Dotknęłam palcem jego miękkich, pełnych ust. Pocałował go lekko, a potem wziął moje ręce w swoje dłonie.

- Prawie zamarzałaś - stwierdził. - Lepiej już wracajmy. Uświadomiłam sobie, że sweter nie chronił mnie przed

mroźnym wiatrem, a stopy nie były po prostu zimne - zupełnie straciłam w nich czucie. Kiedy doszliśmy do ścieżki, włożyłam z powrotem szpilki, zupełnie nie zważając na piasek, który nadal oblepiał palce moich stóp. Wspinanie się pod górę było dużo łatwiejsze, niż się spodziewałam, nawet w butach na obcasach. Zaledwie po trzech minutach siedzieliśmy w samochodzie Grega stojącym na parkingu.

- Dziękuję, że spędziłaś ze mną ten wieczór - powiedział Greg, gdy byliśmy już na podjeździe przed domem Bee.

Położył głowę na moim ramieniu, po czym pocałował mnie w obojczyk. Zakreśliło mi się w głowie. Byłam szczęśliwa, że siedzę z mm w tym starym, zatechłym mercedesie pod domem Bee Przez szpary w drzwiach samochodu poczułam wiatr, który zdawał się nucić jakąś cichą, smutną piosenkę. Czegoś mi brakowało, nie chciałam jednak wierzyć podpowiedzi serca Jeszcze nie.

Ścisnęłam jego dłoń.

- To ja dziękuję. Cieszę się, że znowu się spotkaliśmy. - I powiedziałam prawdę.

Było późno, Bee poszła już spać. Odwiesiłam sweter i spojrzałam na swoje puste ręce. Torebka. Gdzie mogłam ją zostawić? Po kolei odtwarzałam w myśli wydarzenia wieczoru W samochodzie Grega, przy głazie, w restauracji. Tak, w restauracji. Musiała zostać przy naszym stoliku.

Spojrzałam przez okno. Greg dawno odjechał, więc zdjęłam kluczyki Bee z kuchennego wieszaka.

Nie znosiłam być z dala od swojej komórki. Nie będzie miała nic przeciwko, jeśli pożyczę jej samochód, byłam o tym przekonana. Jeśli szybko się zbiorę, zdążę przed zamknięciem.

Prowadziłam już garbusa, będąc w liceum, i niewiele się od tego czasu zmienił. Nadal charczał i krztusił się przy przerzucaniu biegów, ale dotarłam do restauracji cała i zdrowa. Wchodząc do środka, minęłam parę w starszym wieku. Jakie to urocze, pomyślałam. Mężczyzna obejmował prawym ramieniem wątłą talię swojej partnerki i starał się wesprzeć każdy jej krok Gdy na niego patrzyła, jej oczy błyszczały miłością. Dostrzegłam to bo sama tęskniłam za tak wszechogarniającym uczuciem.

Przechodząc obok mnie, mężczyzna uchylił rąbka kapelusza, a kobieta uśmiechnęła się. Życzyłam im dobrej nocy. Kierowniczka sali natychmiast mnie rozpoznała.

- Oto pani zguba - rzekła, podając mi białą torebkę Coach.

- Dziękuję - odpowiedziałam, choć bardziej niż ze znalezienia torebki cieszyłam się ze spotkania pary tak czule okazującej sobie miłość.

Po powrocie do domu szybko się przebrałam i weszłam pod kołdrę. Z niecierpliwością sięgnęłam po dalszy ciąg miłosnej historii zapisanej w czerwonym pamiętniku.

Wiele osób dostawało listy z frontu. Do Amy Wilson przychodziły przynajmniej trzy tygodniowo od jej narzeczonego. Betty z salonu piękności chwaliła się długimi listami pisanymi kwiecistym językiem od żołnierza o imieniu Allan stacjonującego we Francji. Ja nie dostałam ani jednego. Tak naprawdę żadnego się nie spodziewałam, lecz mimo to pilnowałam, żeby być w domu codziennie o czternastej piętnaście, bo dokładnie wtedy przychodził do naszego domu listonosz. Może dziś, myślałam. Może dziś dostanę od niego list.

Ale nikt nie otrzymał wieści od Elliota, nawet jego matka. Ani Lila. Ani żadna inna kobieta, z którą się umawiał po naszym rozstaniu, a było ich wiele. Kiedy więc przyszedł do mnie list, byłam w szoku.

Ciemne popołudnie na początku marca, zimno i szaro. Nawet bardziej niż zwykle, choć przez zmarzniętą ziemię zaczynały się już przebijać krokusy i tulipany, jakby chciały przyspieszyć nadejście wiosny. Mróz mógł jednak powrócić w każdej chwili.

Przyszedł do naszego domu listonosz i doręczył mi zaadresowany do mnie list z frontu. Stałam na werandzie ubrana w jasnoniebieską podomkę wśród doniczek kwiatów z bratkami (ulubionymi kwiatami Bobbyego) i nie mogłam złapać oddechu. Pogięta i zniszczona koperta wyglądała, jakby przetrwała długą i wyczerpującą podróż. Gdy zobaczyłam nadawcę: „Porucznik Elliot Hartley”, modliłam się w duchu, żeby listonosz nie zauważył, jak bardzo trzęsą mi się ręce przy podpisaniu odbioru przesyłki.

- Dobrze się pani czuje, pani Littleton? - zapytał.

- Zupełnie dobrze, jestem tylko nieco roztrzęsiona. Wypiłam za dużo kawy. Spędziłam całą poprzednią noc przy dziecku - wmówiłabym mu wszystko, żeby tylko zostawił mnie w spokoju. Jego uśmiech zdradzał, że nie wierzy w ani jedno moje słowo. Wszyscy w mieście wiedzieli o mnie i o Elliocie, nawet listonosz.

- Miłego dnia. - rzucił na pożegnanie.

Zamknęłam za sobą drzwi i podbiegłam do stołu. Słyszałam marudzenie córeczki dobiegające z pokoju dziecinnego, ale nie poszłam do niej. W tym momencie byłam skupiona tylko na jednym - gorączkowym rozdieraniu koperty.

Najdroższa Esther

Na południowym Pacyfiku właśnie zapada zmrok. Słońce zachodzi, a ja siedzę oparty o pień palmy i bardzo chcę Ci coś wyznać: Nie mogę przestać o Tobie myśleć.

Zastanawiałem się długo, czy do Ciebie pisać, ale doszedłem do takiego wniosku. Życie jest zbyt krótkie, żeby przejmować się konsekwencjami swoich czynów, jeśli kocha się kogoś tak mocno, jak ja kocham Ciebie. Piszę do Ciebie jak żołnierz - bez lęku, bez wątpliwości i bez wiedzy, czy ten list będzie moim ostatnim.

Minął już prawie rok. Pamiętasz? Tego dnia, gdy spotkaliśmy się na promie z Seattle i Bobby oznajmił mi o waszych zaręczynach, widziałem wahanie w Twoich oczach. Powiedz mi, czy właśnie to wtedy czułaś, bo miesiącami łamałem sobie głowę, dlaczego nie jesteśmy razem - dlaczego nie Ty i ja zamiast Ciebie i Bobbyego. Esther, tego dnia, gdy mieliśmy po siedemnaście lat i wyryliśmy nasze imiona na Sercowym Głazie, wiedziałem już, że będziemy do siebie należeć - na zawsze.

Usiadłam na łóżku i odłożyłam książkę. Sercowy Głaz? Czy to nie tam zabrał mnie dzisiaj Greg?

Poczułam niesamowitą więź z bohaterami pamiętnika i wróciłam do czytania.

Powinienem był Ci o tym powiedzieć już dawno temu. Zanim się to wszystko stało. Zanim zwątpiłaś w moje słowa. Zanim pojawił się Bobby. Zanim wydarzyła się ta okropna scena w Seattle. Ta myśl już zawsze będzie mnie prześladowała.

Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek Cię zobaczę. Tak wygląda rzeczywistość wojny i przypuszczam, że miłości również. Nie obchodzi mnie, co się stanie jutro. Chcę, byś wiedziała, że moja miłość trwa.

Moje serce jest, i już na zawsze będzie, Twoje.

Elliot

Nie wiem, jak długo siedziałam przy stole i patrzyłam na list, ile razy czytałam go w kółko i szukałam wskazówek, jakiegokolwiek podpowiedzi. Wreszcie dostrzegłam napis na stemplu pocztowym: 4 września 1942. List został wysłany prawie sześć miesięcy temu. Albo poczta wojskowa działała w żółtym tempie albo, dobry Boże, Elliot mógł już... przełknęłam swoje słowa i nie pozwoliłam, aby poniosła mnie wyobraźnia.

Nie wiem, jak długo pozwoliłam dziecku płakać. Minuty? Godziny? Wtem zadzwonił telefon, a ja usiadłam, wygładziłam fałdy na spódnicy i odebrałam go.

- Halo - powiedziałam, wycierając łzy.

- Kochanie? - Dzwonił Bobby. - Czy wszystko w porządku? Wydajesz się zdenerwowana.

- Wszystko w porządku - skłamałam.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że znów muszę zostać w pracy do późna. Wrócę tym promem o dwudziestej.

- Dobrze - odparłam głosem wycutym z wszelkich emocji.

- Ucałuj ode mnie naszego aniołka.

Odłożyłam słuchawkę i włączyłam radio. Muzyka mi pomoże. Muzyka złagodzi mój ból. Siedziałam za stołem i patrzyłam tępo w ścianę, gdy zabrzmiała piosenka *Body and Soul*. Tańczyliśmy do niej z Bobbym na naszym weselu. Stawiając każdy krok, myślałam o Elliotcie, bo to była nasza piosenka. Teraz, stojąc na środku salonu, tańczyłam do niej sama i pozwalałam, żeby muzyka mnie kołysała, skoro nie mógł tego zrobić Elliot.

Moje serce jest smutne i samotne

Usycham z tęsknoty za tobą - tylko za tobą, kochanie...

Druga zwrotka wydała mi się teraz złowieszczą przepowiednią, więc wyłączyłam radio, schowałam list do kieszeni sukienki i poszłam do córeczki. Kołysałam ją, dopóki znowu nie zasnęła, i przez cały ten czas myślałam, jak tragiczne jest małżeństwo z mężczyzną, którego się nie kocha.

Chciałam czytać dalej. Chciałam się dowiedzieć, co się stało wcześniej, co takiego wydarzyło się między Esther i Elliotem. Tak jak Esther, chciałam wiedzieć, czy mężczyzna jej życia wróci do domu cały i zdrowy. Martwiłam się też o Bobbyego, dobrego, porządnego Bobbyego, i o ich dziecko. Czy Esther zostawiłaby ich, gdyby Elliot przeżył wojnę i wrócił na wyspę? Czy Elliot wróciłby na wyspę? Ale to był długi dzień i oczy same mi się zamykały.

ROZDZIAŁ 6

4 MARCA

Wczoraj wieczorem dzwoniła twoja mama - rzekła Bee przy śniadaniu z głową przesłoniętą gazetą „The Seattle Times”. Jak zawsze, gdy mówiła o mojej matce, jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć. - Mama zadzwoniła... do ciebie? - spytałam, hojnie smarując swój tost masłem. - Dziwne. Skąd wiedziała, że tu jestem?

Nie byłyśmy z mamą zbyt blisko. Rozmawiałyśmy przez telefon i dość często odwiedzałam ją i tatę w Portland, ale zawsze wydawało mi się, że jakaś jej część pozostaje dla mnie niedostępna. Naszą relację psuł cień dezaprobaty, której źródła nie byłam w stanie pojąć. Prawie złamałam jej serce, gdy wybrałam na studiach specjalizację z kreatywnego pisania. „Pisarze to tacy smutni ludzie” - mówiła. - Jesteś pewna, że chcesz się tak unieszczęśli-wić?” Wtedy nie przejmowałam się tym zbyttnio. Co moja matka mogła wiedzieć na temat życia literackiego? Jednak jej słowa chodziły za mną przez długie lata i nieśmiało przypominały o sobie, dopóki nie zaczęłam się zastanawiać, czy aby nie miała racji. Zmagając się z krytykanctwem mojej matki, nie mogłam nie dostrzec jej zdrowej i serdecznej relacji z Danielle, młodszą ode mnie o dwa lata. Po zaręczynach z Joelem spytałam ją,

czy mogłabym wystąpić na ślubie w welonie babci Jane, który przypinałam sobie do włosów setki razy w czasie przebieranek przed lustrem. Zamiast pobłogosławić moim planom, mama pokręciła głową: „Nie, ten welon nie pasuje do twojej twarzy. Poza tym jest podarty w niektórych miejscach”. Zraniła mnie tą odpowiedzią, ale trzy lata później poczułam prawdziwą rozpacz, gdy Danielle szła do ołtarza ubrana w ten właśnie koronkowy welon, starannie pocerowany i wyprasowany.

- Zadzwoń na numer twojego mieszkania, a Annabelle powiedziała jej, gdzie jesteś - odpowiedziała Bee. W jej głosie pobrzmiwało zadowolenie, że nie pozwalałam już mamie trzymać się na smyczy.

- Mówiła, że to coś ważnego?

- Nie. - Bee przewróciła stronę gazety. - Chciała tylko, żebyś do niej oddzwoniła w wolnym czasie.

- W porządku - odparłam, po czym zaczęłam popijać kawę małymi łykami. Po chwili przerwałam i spojrzałam na Bee. - Powiesz mi, dlaczego się z mamą nie lubicie?

W jej oczach dostrzegłam zdziwienie. Wiedziałam, że najlepiej uderzyć z zaskoczenia. Jeszcze nigdy nie pytałam jej o sprawy rodzinne. Dla nas obu był to zupełnie nowy obszar rozmowy, ale moje obecne samopoczucie i życiowe przejścia sprawiły, że byłam znacznie śmielsza.

Odłożyła gazetę.

- Co masz na myśli?

- Cóż, przez lata wyczuwałam między wami napięcie. Zawsze się zastanawiałam, skąd się wzięło.

- Kocham twoją mamę całym sercem. Zawsze tak było. Podrapałam się po nosie.

- Coś mi tu nie gra. W takim razie dlaczego prawie ze sobą nie rozmawiacie?

- To długa historia - westchnęła głęboko.

- Zawsze możesz ją nieco skrócić - powiedziałam. Przysunęłam się bliżej niej i usiadłam z podkulonymi nogami.

Zacząła opowiadać.

- W dzieciństwie twoja mama przyjeżdżała do mnie na wakacje. Uwielbiałam ją tutaj gościć. Zresztą tak samo jak wujek Bill. Ale jednego lata wszystko się zmieniło.

- Co się stało?

Bee zdawała się starannie dobierać słowa.

- Twoja mama zaczęła zadawać pytania na temat swojej rodziny.

- Jakie pytania?

- Chciała się czegoś dowiedzieć o swojej matce.

- O babci Jane?

Bee wyjrzała przez okno na zatokę. Babcia Jane zmarła jakieś dziesięć lat temu. Dziadek był zrozpaczony, tak samo jak moja mama, choć relacje tych dwóch kobiet były dość skomplikowane. Wiadomość o śmierci babci przyjąłam dość obojętnie, choć może to brzmi okropnie. Nie była w stosunku do mnie niemiła. Każdego roku, nawet gdy skończyłam już studia, wysyłała mi kartkę urodzinową z życzeniami wypisanymi odręcznie przepiękną kursywą - charakterem pisma tak eleganckim, że tata pomagał mi je odczytać. Oprawione zdjęcia mnie i mojej siostry stawiała na półce nad kominkiem. Jednak zawsze wydawało mi się, że coś między nami jest nie tak, jak powinno. Coś, czego nie byłam w stanie sprecyzować.

Babcia z dziadkiem opuścili wyspę, gdy mama była jeszcze mała, i przenieśli się do Richland, miasta we wschodniej części stanu Waszyngton, nudnego jak flaki z olejem. Podśledzałam raz, jak Bee mówiła wujkowi Billowi, że dziadkowie „chowają” się tam już zbyt długo i że to babcia Jane nie pozwalała dziadkowi wrócić do domu, na wyspę.

Każdego roku odwiedzaliśmy ich w Richland na Gwiazdkę, ale nigdy nie chciałam tam jechać.

Kochałam dziadka, ale z babcią, no cóż, atmosfera wydawała się trochę wymuszona. Nawet dziecko było w stanie to wyczuć. Patrzyła na mnie ukradkiem, kiedy siedzieliśmy razem przy stole, albo patrzyła

na mnie w dziwny sposób, kiedy coś mówiłam. Gdy miałam jedenaście lat, rodzice zostawili mnie z siostrą u dziadków, bo sami wyjeżdżali na weekend. Babcia przyniosła nam pudło ze starymi ubraniami, w większości z lat czterdziestych. Oczywiście nie mogłyśmy z Danielle przepuścić takiej okazji i od razu zaczęłyśmy się bawić w przebieranki. Pamiętam, że założyłam czerwoną suknię z koronkowym gorsetem, a babcia spojrzała na mnie z przerażeniem w oczach. Stała w drzwiach salonu, potrząsając głową. „Nie do twarzy ci w czerwonym, kochanie” - powiedziała. Zawstydziałam się, że nie wyglądam w moim przebraniu dość dobrze. Ściągnęłam długie białe rękawiczki i odpięłam naszyjnik. Przez cały ten czas myślałam tylko o tym, żeby nie zalać się łzami.

Wtedy babcia podeszła do mnie i położyła rękę na moim ramieniu.

- Wiesz, co by ci się przydało?

- Co? - pociągnęłam nosem.

- Nowa fryzura.

- Trwała! Zrobmy jej trwałą! - zapiszczała Danielle.

- Trwałą może nie, ale Emily przydałby się nowy kolor włosów. - Babcia uśmiechnęła się. Ujęła mnie pod brodę i rzekła z przekonaniem: - Tak, zawsze wyobrażałam sobie ciebie jako brunetkę.

Bez słowa sprzeciwu poszłam za babcią do łazienki. Wyciągnęła pudełko z farbą do włosów i kazała mi usiąść na małym krzeselku blisko wanny.

- Nie ruszaj się - nakazała, dzieląc moje włosy na pasma i metodycznie nakładając na nie czarną maź pachnącą amoniakiem.

Po dwóch godzinach moje blond włosy były tak ciemne, że rozpłakałam się, widząc je w lustrze.

Wzdrygnęłam się na samo wspomnienie o tym.

- Znałyście się z babcią Jane jako dzieci, Bee?

- Tak, z twoim dziadkiem też. Wszyscy wychowaliśmy się tu, na wyspie.

- Więc co takiego powiedziałaś o babci Jane, że mama się od ciebie odsunęła?

Bee była pogrążona w myślach.

- W młodości twoja mama próbowała doprowadzić do końca bardzo ambitny projekt. Kiedy jej nie się udało, stwierdziła, że już nie chce być częścią rodziny, przynajmniej nie w taki sposób jak dotychczas. Przestała przyjeżdżać na wyspę. Zobaczyłam ją ponownie dopiero po ośmiu latach. To było wtedy, gdy się urodziłaś. Pojechałam do Portland, żeby odwiedzić ją w szpitalu, ale wtedy była już inną osobą.

Znów zaczęła odpływać w świat wspomnień, lecz szybko ją zawróciłam.

- Co masz na myśli, mówiąc inną osobą? - dociekałam. Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, jak to dokładniej opisać, ale wyglądało to tak, jakby życie z niej uciekło. Widziałam to w jej oczach. Zmieniła się.

Pogubiłam się w tym, co mówiła. Pomyślałam, że mogłabym zapytać dziadka. Od paru lat mieszkał w domu spokojnej starości w Spokane. Z poczuciem winy uświadomiłam sobie nagle, że ostatni raz odwiedziłam go prawie dwa lata temu. Mama mówiła, że podczas jej ostatnich odwiedzin już jej nie poznawał - własnej córki. Nazywał ją zupełnie innym imieniem i powiedział coś, przez co się rozplakała. Mimo to poczułam nagłą potrzebę zobaczenia go.

- Bee - zaczęłam ostrożnie - jaki projekt miała zrealizować moja mama?

Nie zamierzała zdradzać mi nic więcej.

- Po problemach z twoją mamą Bill kazał mi obiecać, że więcej nie będziemy o tym rozmawiać, przez wzgląd na nią i dla dobra nas wszystkich.

Zmarszczyłam brwi.

- Więc mi nie powiesz? Zaciśnęła z determinacją dłoń.

- Wybacz mi, kochanie, już po ptakach.

- Ja tylko próbuję zrozumieć. - Poczułam, że policzki płoną mi gniewem. - Czemu przez te wszystkie lata, przez te wszystkie wakacje, kiedy cię odwiedzaliśmy, moja mama prawie się do ciebie nie odzywała.

- Nie do końca wiem, dlaczego tak było - odparła. - Wszyscy się zmieniają. Mimo to nadal przywoziła was tutaj, co przemawia na jej korzyść. Wiedziała, że wakacje na wyspie podobają się wam tak bardzo jak niegdyś jej, i choć żywiła do mnie urazę, zdobyła się na poświęcenie dla ciebie i Danielle.

Z rezygnacją westchnęłam i wyjrzałam za okno. Zdawało mi się, że morze oddaje stan mojego ducha - wzburzone fale wirowały wokół pali falochronu i z taką wściekłością uderzały o cementowy brzeg, że krople wody rozbryzgiwały się o szyby. To nie fair, że Bee chce utrzymać coś takiego w tajemnicy. Nie obchodziło mnie, że ta opowieść może przysporzyć mi bólu. Chciałam ją poznać, bo dotyczyła mojej rodziny.

- Wybacz mi, kochanie - powiedziała, gładząc moją rękę. Rozczarowana, odwróciłam głowę. Bee była zawsze niezwykle uparta i już dawno nauczyłam się, że nie ma sensu jej do niczego przymuszać. Chwilowo musiałam zostawić ten temat w spokoju.

Bee znów gdzieś odpłynęła myślami. Zdawało mi się, że rozpamiętuje nieprzyjemne wydarzenia z przeszłości. Przyjrzałam się jej twarzy z nadzieją, że dostrzegę, jakim emocjom dała się ponieść. Światło padające z okna podkreśliło głębokie zmarszczki na jej czole, które przypomniały mi, że Bee jest już starą kobietą. Bardzo starą kobietą. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że moja ciotka dźwiga na barkach wielki ciężar, jakieś poważne zmartwienie. Obawiałam się, że ma również mroczną tajemnicę.

Powiedziałam Bee, że idę na samotny spacer po plaży, ale nie dodałam, że zabieram ze sobą pamiętnik. Szłam wzdłuż brzegu, dopóki nie znalazłam kłody, przy której mogłabym usiąść,

opierając się o nią plecami. Nie była to wygodna sofa, ale rosnące wokół kępy trawy morskiej działały niczym poduszka. Poczułam na skórze dotyk zimnej bryzy, więc zapięłam górny guzik mojego swetra. Zaczęłam czytać pamiętnik w miejscu, gdzie poprzednio przerwałam. Bardzo chciałam poznać ciąg dalszy tej historii, ale wtem zadzwonił mój telefon. Na wyświetlaczu zobaczyłam numer Annabelle.

- Doszłam do wniosku, że albo wdałaś się w gorący wyspiarski romans, albo zginęłaś śmiercią tragiczną - powitała mnie.

- Żyję i mam się dobrze - zapewniłam ją. - Wybacz, że nie dzwoniłam. Dość mnie pochłaniają tutejsze sprawy.

- Czy przez „sprawy” rozumiesz jakiegoś przedstawiciela męskiego gatunku?

- Coś w tym stylu - zachichotałam.

- Dobry Boże, Emily, chcę wiedzieć wszystko! Opowiedziałam jej o Gregu i Jacku.

- Najbardziej cieszę się z tego, że ani razu nie wspomniałaś o Joelu - odparła.

Zrobiło mi się ciężko na sercu, jak za każdym razem gdy ktoś wypowiadał jego imię.

- No i po co to zrobiłaś? - zapytałam.

- Co zrobiłam?

- Wspomniałaś o nim.

- Wybacz, Em. W takim razie zmieńmy temat. Jak tam twoje życie na wyspie?

Odetchnęłam z ulgą.

- Wspaniale. Atmosfera tego miejsca jest po prostu niesamowita. - Zastanawiałam się, czy słyszy, jak nad moją głową przelatują skrzeczące mewy.

- Wiedziałam, że spodoba ci się bardziej niż w Cancun -stwierdziła.

- Miałaś rację. Właśnie tego potrzebowałam - przytaknęłam. Kiedy powiedziałam jej o wczorajszym pocałunku z Gregiem, zapiszczała z radości.

- Tylko dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie o trzeciej w nocy z taką informacją?
 - Bo zwymyślałabyś mnie za obudzenie w środku nocy.
 - Rzeczywiście - odparła. - Ale i tak kazałabym ci opowiadać.
 - Czyli ustaliłyśmy, że po moim kolejnym pocałunku, jeśli w ogóle jakiś będzie, zadzwonię od razu.
- Zadowolona?

- Jak najbardziej. I będę chciała poznać szczegóły.
- Mogę ci dostarczyć szczegółów.
- O ile się nie mylę, masz jeszcze na to trzy tygodnie.

Wydawało mi się, że to zbyt krótko. Poczulałam się jak dziecko, które z paniką reaguje na reklamy artykułów szkolnych wyświetlane w TV na początku lipca. Czy oni nie wiedzą, że szkoła zaczyna się dopiero za dwa miesiące?

- Zanim wrócę do domu, muszę jeszcze przemyśleć parę spraw - odpowiedziałam.
- Dasz sobie radę, Em. Kto, jak nie ty.
- No, nie wiem. Odkąd tu jestem, odnoszę wrażenie, że w życiu mojej ciotki i mojej rodziny dzieje się coś niedobrego. Myślę, że to jakiś rodzinny sekret. I jest jeszcze ten pamiętnik, który znalazłam w mojej sypialni.
- Pamiętnik? - Była wyraźnie zaintrygowana.
- Jest bardzo stary, ktoś zaczął go pisać w 1943. Być może to początek powieści, nie jestem do końca pewna. Czytając go, czuję się trochę dziwnie, ale jednocześnie jestem przekonana, że powinnam to zrobić, bo trafił do mnie z jakiegoś powodu. Czyste szaleństwo.
- Niekoniecznie - odpowiedziała szybko Annabelle. - Może w tym szaleństwie jest metoda. Kiedyś znalazłam pamiętnik mojej mamy z czasów liceum. Przeczytałam go od deski do deski, siedząc pod kołdrą i świecąc sobie latarką. W ciągu tych kilku godzin dowiedziałam się o niej więcej niż przez trzydzieści trzy lata swojego życia - zamilkła na chwilę. - Mówisz, że czyj to pamiętnik? Bee?

- Właśnie o to chodzi. Nie mam zielonego pojęcia. Mimo to od lat żadna książka tak mnie nie wciągnęła.
- Może w takim razie rzeczywiście wpadł ci w ręce z jakiegoś powodu - stwierdziła Annabelle. - Zaraz, czy nie masz przypadkiem randki z tym drugim ciachem jutro wieczorem?
- Mam, to znaczy Jack zaprosił mnie na kolację do swojego domu. Myślę, że można to nazwać randką.
- Kochana, jeśli mężczyzna gotuje dla kobiety, to nie może być nic innego.
- Skoro tak twierdzisz, to muszę się zgodzić. A co u ciebie? Jak się rozwija sytuacja z Evanem?
- Wcale - odparła. - Myślę, że utknęliśmy w martwym punkcie. Chyba muszę poczekać na jakiegoś Edwarda.

Wyniki badań Annabelle wskazywały na to, że Edward jest mężem długodystansowym i zapewniającym swej żonie szczęście.

- Tak przy okazji, Annabelle, jakie są twoje prognozy dla imienia Elliot?
- Czemu pytasz? Istnieje jakiś tajemniczy kandydat numer trzy?

Zaśmiałam się.

- Nie, nie. Po prostu znam kogoś o tym imieniu i jestem ciekawa.

Słyszałam, jak przetrząsa rzeczy na swoim biurku.

- O, znalazłam. Elliot to... bardzo dobre imię. Przeciętna długość małżeństwa to czterdzieści dwa lata. Nic nie pobije Edwarda, ale Elliotowi całkiem blisko do doskonałości.
- Dzięki - odparłam z uśmiechem.

Kiedy się rozłączyłyśmy, przypomniałam sobie, że nie zapytałam jej o imiona Jack i Greg. Z jakiegoś powodu bardziej zależało mi na Elliocie. Chciałam się dowiedzieć dla Esther i jestem pewna, że spodobałaby się jej taka odpowiedź.

Tak jak uprzedzał, Bobby wrócił do domu za dziesięć dziewięta. Nigdy się nie spóźniał. Zdjął swój niebieski garnitur

i powiesił go w szafie, po czym przyszedł do kuchni, żeby pocałować mnie na powitanie.

- Stęskniłem się za tobą - powiedział.

Zawsze tak mówił.

Odrzuciłam mu kolację i usiadłam z nim przy stole. Patrzyłam, jak nabiera jedzenie łyżką i wkłada ją do ust. Ze szczegółami opowiadał, jak minął mu dzień.

Wszystkie nasze wieczory wyglądały tak samo.

Potem poszliśmy spać, a ponieważ była środa, Bobby przysunął się do mnie i zaczął mi rozpinąć koszulę nocną. Zawsze chciał się kochać w środy. Dzisiaj było inaczej. Nie czekałam cała napięta i nie liczyłam do sześćdziesięciu z nadzieją, że szybko skończy. Zamiast tego zamknęłam oczy i wyobrażałam sobie, że jestem z Elliotem.

Trzy lata przed ślubem z Bobbym byłam zaręczona z Elliotem i przez jakiś czas było nam ze sobą cudownie. Pamiętam, że czułam w powietrzu chłód, gdy siedzieliśmy na plaży, jedząc owoce morza. Nie wiedziałam wtedy, że był to początek końca.

Przed wyjściem Frances zaproponowała, żebym włożyła rękawiczki, ale Rose przyszła mi z odsieczą: „Przecież nie może chować takiego pierścionka. To istna profanacja”.

Z moimi przyjaciółkami śmiałyśmy się, obgadywałyśmy nasze toalety i pudrowałyśmy noski. Po godzinie ręka w rękę poszliśmy na wydarzenie sezonu, w którym uczestniczyli wszyscy - mężczyźni, kobiety, niemowlęta i dzieci. Piknik na plaży przy zatoce Eagle widać było z daleka. Stoły i ogniska rozświetlały wybrzeże, a świeżo złowione małże i kraby piekły się tuż obok kociołków z chowderem. W wielu miejscach porozwieszane były sznury z lampkami wielkości żarówek, które dawały miękkie białe światło.

Zgodnie z tradycją pikniku na plaży była też muzyka i tańce. Wszystkie trzy wydałyśmy radosny okrzyk, gdy przez głośniki popłynęła nasza ulubiona piosenka Glenna Millera *Moonlight Serenade*. Zaczęłam się kołysać do dźwięków muzyki, gdy poczułam, jak obejmują mnie silne ramiona Elliota. Pocałował mnie w szyję.

- Cześć, kochanie moje - wyszeptał i zaprowadził mnie na parkiet.

Tańczyliśmy w blasku księżyca, a nasze ciała poruszały się w jednym rytmie.

Gdy piosenka się skończyła, wróciliśmy do ławki, na której siedziała samotnie Frances.

- Gdzie się podziała Rose? - zapytałam. Frances wzruszyła ramionami.

- Pewnie szuka Willa.

Wyczułam w jej głosie rozgoryczenie, więc puściłam rękę Elliota i podeszłam ją przytulić.

- Może pójdziemy się zabawić, dziewczęta? - zaproponował Elliot i wziął nas obie pod rękę.

Frances natychmiast poprawił się nastrój.

Will i Rose usiedli koło nas na kocu, który Elliot rozłożył na piasku. Piliśmy piwo, jedliśmy małże z cynowych miseczek, zachwycaliśmy się pięknem rzeźkiej nocy i rozgwieżdżonego nieba.

Elliot wyciągnął ze swojego ciemnozielonego plecaka aparat fotograficzny i majstrował chwilę przy lampie błyskowej, zanim poprosił, żebym spojrzała w jego stronę. „Chcę już zawsze pamiętać, jak wyglądałaś dziś wieczorem”-powiedział, naciskając spust aparatu trzy razy pod rząd. Elliot nie ruszał się ani na krok bez swojego aparatu. W czarno-białych scenach potrafił uchwycić emocje, które przyprawiały o zawrót głowy.

Patrząc z perspektywy czasu, powinnam go była zatrzymać. Chciałam, żeby te chwile trwały wiecznie, ale tuż przed

dwudziestą drugą Elliot zbliżył się do mnie i powiedział: „Dziś wieczorem jadę do Seattle. Mam do załatwienia interes. Możemy się zobaczyć jutro wieczorem?”.

Nie chciałam, żeby mnie opuszczał, ale zgodziłam się i pocałowałam go na do widzenia. „Kocham cię” - powiedziałam, chcąc przedłużyć ten moment choć o parę sekund. Wstał, strzepnął piasek ze spodni i poszedł w stronę przystani, gwizdząc przy tym jak zawsze.

Następnego ranka Frances, Rose i ja chciałyśmy iść na zakupy, więc złapałyśmy wczesny prom do Seattle. Rose zamierzała zamówić w salonie Frederick & Nelson sukienkę podobną do tej, którą widziała w ostatnim numerze „Vogue'a”. Frances potrzebowała nowych butów. Z kolei ja cieszyłam się na myśl o wycieczce poza wyspę. Lubiłam przebywać w mieście. Mówiłam Elliotowi setki razy, że marzy mi się wielki apartament w śródmieściu z widokiem na morze. Ściany pomalowałabym na kolor fioletoworóżowy, a zasłony zawiesiłabym kremowe i podpięłaby je takimi małymi wstążkami, zupełnie jak w magazynach wnętrzarskich.

I wtedy na chodniku przy ulicy Marion przed hotelem Landon Park, wielkim budynkiem z cegły i dwoma ogromnymi kolumnami przy wejściu, zobaczyłam Elliota. Rozmawia! z kimś, ale zobaczyłam ją dopiero, gdy chwilę później ruch na drodze się przerzedził. Była wysoką blondynką, prawie tak wysoką jak Elliot. Wydawało mi się, że moment, w którym ją obejmował, trwał w nieskończoność. Byłam wystarczająco blisko, żeby usłyszeć ich rozmowę. Były to w sumie jej strzępy, ale wystarczyły mi w zupełności.

- To są klucze do mieszkania - powiedziała kobieta, podając mu coś, co natychmiast włożył do kieszeni.

Mrugnął do niej, co przyprawiło mnie o dreszcze. Znałam to mrugnięcie.

- Zobaczymy się wieczorem? - zapytał.

Hałas przejeżdżającej ciężarówki zagłuszył jej odpowiedź. Potem pomógł jej wsiąść do taksówki i pomachał jej na pożegnanie.

„Zobaczymy się wieczorem?” Nagle moje myśli zaczęły krążyć wokół powieści, którą przeczytałam parę lat wcześniej. Nigdy nie odczuwałam takiej więzi z bohaterką książki jak z Jane z *Years of Grace*. *Years of Grace* Pokiwałam głową ze zdziwienia, po czym przewróciłam kolejną stronę pamiętnika. Ponieważ Jane, będąc żoną Stephena, usychała z tęsknoty za innym mężczyzną do takiego stopnia, że pozwoliła sobie odczuwać wobec niego miłosne żądze, a więc poniekąd złamała przysięgę małżeńską, moja matka nazwała tę powieść „stkiem bzdur”. Powiedziałam jej, że dostała Nagrodę Pulitzera i poleciła mi ją w liceum moja nauczycielka literatury angielskiej, ale nie zmieniło to jej opinii na ten temat. Powieści takie jak ta, mówiła, przepełnione są dziwacznymi pomysłami, które mogą sprowadzić młodą kobietę na złą drogę. Dlatego też ukrywałam ją pod materacem.

Gdy tak stałam na chodniku tamtego dnia, wszystko to przypomniało mi się w mgnieniu oka - cała historia Jane tak boleśnie podobna do mojej. Kiedy Elliot rozmawiał z tamtą kobietą, w jego głosie słyszałam czułość. Pomyślałam o tym, co wiąże ze sobą ludzi, o przysięgach, które składają, a potem łamią. Skoro Jane oddała swoją rękę Stephenowi i nadal kochała innego, równie dobrze Elliot mógł obiecać małżeństwo mnie i nadal marzyć o innej. W książce wydawało mi się to poetyckie - miłość Jane do Andre, do Jimmyego, miłość w średnim wieku. Lecz teraz, gdy ta scena rozgrywała się na moich oczach, poczułam się bardzo nieszczęśliwa. Czy wieczna miłość jest zupełną mrzonką? Czy wszystkie przysięgi zostaną kiedyś złamane? Elliot mógł zdobyć

każdą kobietę, której zapragnął, ale do tej pory wierzyłam, że chciał tylko mnie. Nigdy tak bardzo się nie myliłam.

List. Przypomniałam sobie o tym zadziwiającym liście, który Jane otrzymała od Andre kilka lat po tym, jak przysięgali sobie miłość. W powieści został zacytowany w całości, ze wszystkim tragicznymi szczegółami. Złamał jej serce decyzją o wyjeździe do Włoch zamiast powrotu do Chicago, o co go prosiła. Dlatego zgodziła się wyjść za Stephena, co na zawsze zmieniło losy ich wszystkich. Dlatego tuż przed wybuchem wojny napisała do niego ten zimny, okrutny list, którym na zawsze zaprzepaściła ich szansę na miłość, choć kochała go w głębi serca jeszcze przez wiele lat.

„Kiedy zabiłeś naszą miłość, zrobiłeś to szybko” - z całą stanowczością odparła Jane w odpowiedzi na czyny Andre. Wiedziałam już, co powinnam zrobić.

Rose i Frances stały obok mnie w milczeniu, trzymając mnie pod rękę, żebym nie upadła albo nie rzuciła się w poprzek ulicy, ale wyrwałam się z ich uścisku i przebiegłam na drugą stronę, nie dbając o to, czy wpadnę pod samochód, do Elliota stojącego przy automacie z gazetami.

Gwałtownie ściągnęłam z lewej dłoni pierścionek, który dostałam od Elliota zaledwie miesiąc wcześniej - z ogromnym diamentem w kształcie łyzy otoczonej dwoma rubinami. Powiedziałam mu, że pierścionek jest zbyt wyszukany, ale stwierdził, że chciał mi dać to, co najlepsze, nawet jeśli musiałby się zadłużyć, co pewnie zrobił. Jednak po tym jak zobaczyłam go z inną kobietą i na własne uszy słyszałam, co do niej mówił, nie miało to już żadnego znaczenia.

- Witaj, Eliocie - przywitałam go chłodno, stając na chodniku po drugiej stronie ulicy Marion.

Wyglądał na zaskoczonego i jednocześnie spokojnego, tak jakby chciał coś ukryć przede mną, a jednocześnie nie miał czego. Krew napłynęła mi do twarzy.

- Jak mogłeś?

Nie bardzo wiedział, co się dzieje, a potem potrząsnął głową.

- Nie, to nie tak jak myślisz - odparł. - To tylko przyjaciółka.

- Przyjaciółka? - wykrzyczałam. - To dlaczego skłamałeś, że masz do załatwienia interes? Ta rozmowa wyglądała na prywatną.

Elliot spuścił wzrok.

- To stara przyjaciółka, Esther. Przysięgam - powiedział.

Mocno chwyciłam za swój naszyjnik - małą złotą rozgwiadę wiszącą na prostym łańcuszku. Kilka lat wcześniej wygrałam go na ulicznym jarmarku i stał się moim talizmanem. Szczęście było mi teraz bardzo potrzebne, bo wiedziałam, że kłamię. Widziałam, jak na niego patrzyła, jak go kokietowała, jak się obejmowali. Trzymał ręce nisko na jej talii. Była więcej niż przyjaciółką, każdy głupi by to zauważył.

Żałowałam, że muszę to zrobić, ale żal mnie nie powstrzymał. Ścisnęłam pierścionek w dłoni i rzuciłam go tak daleko, jak byłam w stanie. Oboje patrzyliśmy, jak uderza o płyty chodnika, toczy się i wpada prosto do studzienki kanalizacyjnej.

- Koniec z nami - powiedziałam. - Nigdy więcej się do mnie nie odzywaj. Nie zniosłabym tego.

Dostrzegłam, że Rose i Frances patrzą na nas z przerażeniem. Zebrałam w sobie wszystkie siły i przeszłam do nich na drugą stronę ulicy, odchodząc tym samym od Elliota. Wiedziałam, że rezygnuję z naszego wspólnego życia, i to na zawsze.

- Esther, poczekaj! Daj mi wyjaśnić! Nie zostawiaj mnie! - słyszałam, jak jego głos rozplywa się w ulicznym zgiełku.

Powiedziałam sobie, że nie mogę się zatrzymać. Nie mogę. Po prostu nie mogę.

ROZDZIAŁ 7

Czytałam jeszcze przez godzinę i nic nie było w stanie oderwać mnie od pamiętnika - ani dźwięk syreny dobiegający z promu ani szczekające psy, które towarzyszyły zbieraczom muszelek. Trwając w swoim postanowieniu, Esther nie przebaczyła Elliotowi. Pisał do niej miesiącami, ale' wszystkie jego listy, co do jednego, wyrzuciła do śmieci bez czytania. Rose wyszła za Willa i przeniosła się do Seattle. Francés została na wyspie i ku niezadowoleniu Esther nawiązała zupełnie niespodziewaną przyjaźń z Elliotem.

Spojrzałam na zegarek i stwierdziłam, że wyszłam na dłużej, niż zamierzałam. Wrzuciłam pamiętnik do torby i szybkim krokiem ruszyłam w stronę domu.

Otworzyłam drzwi do przedsionka i usłyszałam zbliżającą się Bee.

- O, dobrze, że wróciłaś. - przywitała mnie, ukradkiem wyglądając za drzwi. Ściągnęłam ubrudzone piaskiem buty. - Nie wiem, jakim cudem zapomniałam o dzisiejszym wieczorze - ciągnęła. - Od roku mam to zapisane w kalendarzu.

- Co takiego, Bee?

- Clambake - powiedziała, nie oferując mi dalszych wyjaśnień. Po chwili przytomnie dodała: - Czy to możliwe, że nigdy nie uczestniczyłaś w wyspiarskim pieczeniu małży?

Z wyjątkiem przyjazdów na święta bywałam u Bee tylko w okresie letnich wakacji. Wezbrała we mnie tęsknota za tą magiczną nocą. Nie brała się jednak z własnych wspomnień, ale z opowieści Esther.

- Nie, ale ktoś mi o tym opowiadał - odparłam.

Bee była dziś trochę rozkojarzona. Położyła obie ręce na biodrach.

- Zastanówmy się. Będzie ci potrzebny ciepły płaszcz. Spakujemy też koce i wino. Koniecznie wino.

Evelyn przyjdzie po nas o szóstej.

Plaża wyglądała dokładnie tak, jak opisała to Esther. Były ogniska, migoczące lampki, koce rozpostarte na piasku i podest do tańca, a nad nami wisiał baldachim gwiazdzistego nieba.

Evelyn pomachała do nas z plaży. Sweter, który miała na sobie, wydał mi się zbyt lekki, by ochronić jej delikatną skórę przed zimnym wiatrem, więc wyciągnęłam z koszyka Bee koc i owinęłam nim jej drobną postać.

- Dziękuję. - Zdawała się nieco oszołomiona. - Odżyły moje wspomnienia.

Bee spojrzała na mnie znacząco.

- Lata temu w noc clambake i na tej plaży jej mąż się jej oświadczył.

Położyłam koszyk na piasku.

- Usiądźcie wygodnie, a ja przyniosę wasze zamówienie.

- Dla mnie małże z dodatkowym masłem i chleb kukurydziany - powiedziała Bee.

- Dla mnie szparagi i małże, tylko z sokiem z cytryny, kochanie - dodała Evelyn.

Zostawiłam je tam z ich wspomnieniami i poszłam w stronę kolejki do bufetu. Przechodząc obok parkietu, zobaczyłam kilka nieśmiałych nastolatków stłoczonych w rogu i patrzących w kierunku grupy chłopców zgromadzonych po przeciwnej stronie. Rozpoczęła się gra w wymianę spojrzeń. Wtem z głośników zaczęła się wydobywać melodia *When I Fall in Love* Nat King Cole'a, która zagłuszyła wieczorne fale kołyszące się przy brzegu.

Ja również zaczęłam się kołysać w rytm muzyki, pozwalając, by muzyka kierowała moimi krokami, aż usłyszałam za plecami głos.

- Cześć.

Odwróciłam się i zobaczyłam Jacka.

- Cześć.

- Czy to twój pierwszy clambake?

- Tak, ja...

Przerwał nam DJ stojący na podwyższeniu zbudowanym obok parkietu.

- Kogo my tu mamy? - Jego asystent skierował na nas światło reflektora, które tak mnie oślepiło, że musiałam zakryć oczy rękami. - Chętnych do rozpoczęcia naszych dzisiejszych tańców!

Spojrzałam na Jacka, on spojrzał na mnie. Z każdej strony dochodziły do nas brawa na zachętę.

- Chyba nie mamy wyboru - stwierdził, sięgając po moją rękę.

- Chyba nie - odpowiedziałam, uśmiechając się nerwowo, gdy przyciągnął mnie do siebie.

- Spodziewałeś się czegoś takiego? - spytałam zdziwiona. Jack zakręcił mną na parkiecie niczym zawodowy tancerz.

- Nie, ale skoro mamy okazję, możemy się popisać.

W odpowiedzi uśmiechnęłam się do niego. Czułam się swobodnie w jego objęciach. Kiedy tak wirowaliśmy po parkiecie, przed oczami przewijały mi się twarze różnych osób. W tłumie stali starsi państwo, dzieci, nastolatki. Stał i Henry, tyle że z boku. Patrzył na nas z nieskrywanym zadowoleniem. Chciałam mu pomachać, ale Jack poprowadził mnie do obrotu, a gdy z niego wyszłam, Henry'ego już nie było.

Muzyka się skończyła i znów usłyszeliśmy oklaski, a ja chciałam tańczyć dalej. Jednak Jack wskazał ręką na plażę i skierował swoją uwagę na coś innego.

- Czekają tam na mnie znajomi - powiedział. - Przyłącz się do nas.

Zrobiło mi się głupio, że uznałam ten taniec za bardzo romantyczny.

- O, to miłe, ale nie mogę. Przyszłam z Bee i naszą przyjaciółką Evelyn. Obiecałam, że przyniosę im jedzenie, więc chyba powinnam już wracać. Ale przecież widzimy się jutro u ciebie.

Zamyślił się na chwilę tak, jakby zapomniał o zaproszeniu.

- Tak, rzeczywiście, na kolacji. Do zobaczenia. - Po czym szybko odszedł.

Dziesięć minut później, uginając się pod ciężarem tacy pełnej jedzenia, wróciłam do opatulonych kocem Bee i Evelyn. Piłyśmy wino i zajadałyśmy przysmaki do ostatniego kęsa, aż poczułyśmy w kończynach przenikliwe zimno. W drodze do domu myślałam o Jacku i o naszym wspólnym tańcu. Nie doszłam do żadnych wniosków, ale samo myślenie sprawiało mi przyjemność.

- A więc? - zapytała mnie Bee tuż przed spaniem.

- Było cudownie - odparłam.

- Pięknie razem tańczyliście.

Nie sądziłam, że mogła nas dostrzec z miejsca, gdzie siedziała. Uśmiechnęłam się.

- Prawda? Też mi się podobało.

- Dobrej nocy - pożegnała mnie czułym klepnięciem w policzek.

- Śpij dobrze, Bee.

5 MARCA

Kolacja z Jackiem. Tylko o tym mogłam myśleć przez cały następny dzień. Zmywając naczynia po śniadaniu, zanurzyłam ręce w spienioną wodę i zastanawiałam się, czy on także rozmyślał nad naszym wczorajszym tańcem. Czy on też poczuł, jak zaiskrzyło między nami? Duża bańka mydlana rozprysnęła się na talerzu, który splukałam, a następnie odłożyłam na

suszarce. A może doszukuję się w tym czegoś, co tak naprawdę nie istnieje? Wycierając do sucha sztucce, uświadomiłam sobie, że dopiero niedawno pożegnałam się z Joelem i być może stan cywilny zaburza moje postrzeganie Jacka.

Wieczorem przeszukałam całą walizkę w poszukiwaniu odpowiedniego ubrania. Kolacja z Gregiem to było coś zwyczajnego - ot, spotkanie ze starym przyjacielem w miejscu publicznym. Choć nasze spotkanie na plaży zaliczyłam do bardzo przyjemnych, Jack był na tyle intrygującym mężczyzną, bym czuła się teraz zdenerwowana. Poza tym zaprosił rnie nie do restauracji, ale do domu, więc zrobiłam to, co robię zawsze w obliczu kryzysu ubraniowego. Włożyłam kopertowy sweter, duże kolczyki i ulubioną parę spodni. Koszulkę na ramiączkach, którą miałam pod spodem, pociągnęłam trochę na dół, tylko trochę, po czym wstrząsnęłam głową i ściągnęłam włosy do tyłu.

Czesalam je szczotką, myśląc o tym, że desperacko potrzebują wizyty u fryzjera. Przygotowania zakończyłam, nakładając na rzęsy odrobinę tuszu, a na policzki nieco różu. Z dezaprobatą spojrzałam na swoje odbicie w lustrze i wyłączyłam światło. Cóż, lepiej nie będzie.

- Pięknie wyglądasz - skwitowała Bee, zaglądając do pokoju.

Nie zauważyłam, kiedy przyszła, i miałam nadzieję, że pamiętałam o schowaniu pamiętnika.

Zerknęłam na łóżko i poczułam ulgę, że go tam nie było.

- Dziękuję - odparłam.

Chwyciłam do ręki torebkę i włożyłam baleriny, które świetnie nadawały się na przechadzkę po plaży do domu Jacka.

Bee wyglądała tak, jakby chciała mi się z czegoś zwierzyć, ale kiedy otworzyła usta, stwierdziłam, że to ostrzeżenie.

- Nie zostawaj do późna, kochanie. Dziś w nocy będzie przyptyw. Możesz mieć problem z powrotem do domu. Uważaj na siebie.

Obie wiedziałyśmy, że jej słowa miały drugie dno.

Pokonałam wzdłuż brzegu spory dystans, kiedy stwierdziłam, że powinnam była założyć kurtkę, a może nawet płaszcz zimowy. Marcowa bryza do złudzenia przypominała arktyczny wiatr i miałam głęboką nadzieję, że dom Jacka nie był już daleko. W torebce zabręczał mój telefon. Na wyświetlaczu pojawił się nowojorski numer, którego nie poznałam.

- Halo - powiedziałam.

Usłyszałam szelest i dźwięki samochodów, jakby ktoś szedł chodnikiem obok ruchliwej ulicy.

Przełknęłam ślinę.

- Halo - powiedziałam po raz drugi.

Nikt nie odpowiadał, więc się wyłączyłam i wrzuciłam telefon z powrotem do torebki, wzruszając ramionami.

Sierp księżycyca świecił jasno. Spojrzałam w tył, oceniając odległość, jaką przeszłam do tej pory. Mogę zawrócić. Mogę wrócić do domu. Wtedy znów zerwał się wiatr, który zaskoczył mnie niczym szklanka lodowatej wody wylana na twarz. Zmusiło mnie to do dalszego marszu. Nie wiem, czy wiodły mnie podszepty wiatru czy nagle obudzone przeczucie, ale krok za krokiem doszłam w końcu do domu Jacka. Był dokładnie taki, jak go opisywał - kryty szarym gontem i z ogromną werandą z przodu.

Jak wszystkie domy w tej części plaży był bardzo stary i wiązały się z nim pewnie ciekawe opowieści.

Pomyślałam o parach, które oglądały na tej werandzie zachody słońca przez ostatnie sto pięćdziesiąt lat, i zrobiło mi się ciepło wokół serca. Zaczęło bić gwałtownie, gdy dostrzegłam na dachu

wiatrowskaz w kształcie kaczki kręcący się na wietrze. Czy to dom z obrazu Bee?

Światło w oknach zachęcało do wstąpienia na ścieżkę prowadzącą do domu. Zobaczyłam opartą o schody wędkę leżącą tuż obok butów do brodenia. Zbliżyłam się do otwartych drzwi wejściowych.

- Halo? - zapytałam powściągliwie.

Usłyszałam jazz i skwierczenie potraw na patelni.

- Cześć. Wejdz, proszę - zawołał Jack z innego pomieszczenia, prawdopodobnie z kuchni. - Zaraz skończę.

W powietrzu wyczułam czosnek, masło i wino - najbardziej smakowitą kombinację zapachów na świecie. Dzięki temu zrobiło mi się ciepło, jak zawsze po pierwszych łykach wina. Przyniosłam butelkę pinot noir wykradzioną z zasobów Bee. Postawiłam ją na stoliku w hallu obok pęku kluczy i dużej białej muszli wypełnionej drobnymi.

Hall był dobrym punktem obserwacyjnym, więc rozejrzałam się dokoła. Spodobały mi się bordowe ściany i duży dębowy stół w jadalni. Zastanawiałam się, czy Jack prowadzi ożywione życie towarzyskie, bo zmieściłoby się tam wiele osób. Kilka kroków na lewo był salon, w którym stały obita tkaniną sofa i stolik kawowy zrobiony z drewna wyrzuconego przez morze. Meble były solidne i surowe, jednak zebrane razem, wyglądały elegancko, jak na zdjęciach w katalogu Pottery Barn. Nawet przekrzywiony stos magazynów na bocznym stoliku był przykładem artystycznego nieładu.

Podeszłam do kominka i przeglądałam wystawione na półce zdjęcia. Zwróciłam uwagę na portret kobiety w okularach, czerwonym bikini i delikatnym lnianym sarongu owiniętym wokół szczupłej talii. Była na plaży i patrzyła na swojego fotografa - Jacka? - z uwielbieniem. Nagle poczułam się jak bezczelny intruz, choć to głupie, bo przecież mogła być jego siostrą.

- Cześć - rzekł Jack, wchodząc do salonu. - Wybacz, że kazałem ci czekać, ale dla beszamelu najwyraźniej zatrzymał się czas.

Podał mi jeden z napełnionych kieliszków, które trzymał w dłoniach.

- Mam nadzieję, że lubisz chardonnay.

- Wprost uwielbiam.

- Świetnie - odparł. Wydał mi się spokojny i pewny, jak stary prom, co tylko wzmogło moje zakłopotanie. Miałam nadzieję, że tego nie zauważy.

- Może usiądziemy? - Gestem wskazał na sofę stojącą przed kominkiem. - Cieszę się, że mogłaś przyjść dzisiaj. - powiedział. Był przystojniejszy, niż zapamiętałam. Ze swoimi ciemnymi, falującymi włosami i oczami, które przyprawiały mnie o zawrót głowy, wydał mi się nawet niebezpiecznie przystojny. - Dobrze się wczoraj bawiłaś? - zapytał.

- Tak. To była piękna noc. - Miałam złudną nadzieję, że nie oblewam się właśnie rumieńcem.

- Przykro mi, że musiałem pójść tak szybko - powiedział dość zaniepokojony.

- Nic się nie stało - odparłam, rozglądając się po pokoju. Chętnie zmieniałabym temat. Na ścianie dostrzegłam serię starych, czarno-białych fotografii. Spodobała mi się zwłaszcza jedna - był na niej prom. - Masz piękny dom.

Jak mogłam powiedzieć coś tak banalnego?

- Jak tam twoja historia?

- Moja historia? - Od razu pomyślałam o Esther i zaczęłam się zastanawiać, skąd Jack o niej wie.

- Twoja książka - odpowiedział. - Ta, do której zbierasz materiały.

- Ach, no tak. Cóż, jakoś idzie. Powoli, ale zawsze.

- Bainbridge to idealne miejsce dla pisarza, w ogóle dla artysty - mówił. - Trzeba tylko złapać za pióro albo pędzel, a tematy same do ciebie przychodzą.

Skinęłam głową.

- Rzeczywiście, tak to tutaj wygląda - odrzekłam, myśląc raczej o historii z pamiętnika niż o własnym akcie twórczym.

Jack uśmiechnął się szeroko i powoli dopił swoje wino.

- Jesteś głodna?

- Bardzo.

Poszłam za nim do jadalni i usiadłam za stołem, a on przyniósł rukolę, koper włoski, sałatkę z tartym parmezanem, półmisek halibuta, szparagi skropione beszamelem i bułeczki obiadowe świeżo wyjęte z piekarnika.

- Wcinaj śmiało - zachęcał, dolewając mi wina.

- Mężczyzna, który potrafi tak gotować. Jestem pod ogromnym wrażeniem - pochwaliłam go i sięgnęłam po serwetkę.

Posłał mi przebiegły uśmiech.

- Właśnie to chciałem osiągnąć.

Na stole migotały świece, a my rozmawialiśmy nieprzerwanie o przeróżnych rzeczach. Opowiedział mi, jak lunatykował na wakacyjnym wyjeździe i obudził się okropnie zażenowany w chwili, gdy próbował się wgramolić do łóżka swojego opiekuna obozowego. Ja wspominałam, jak w gimnazjum przeżuwałam końcówkę pióra i nie zauważyłam, że tusz zaplamił mi pół twarzy, i przez kolejne dwa dni nie mogłam go zmyć z górnej wargi.

Powiedziałam mu też o Joelu, ale nie byłam sentymentalna i nie użalałam się nad sobą.

- Po prostu nie rozumiem - powiedział, kręcąc głową z niedowierzaniem, kiedy podzieliłam się z nim opowieścią o tej drugiej. Nie doszłoby do tego, gdybym nie wypila tyle wina -zwłaszcza białe sprawia, że jestem zbyt rozmowna. - Nie rozumiem, jak mógł pozwolić ci odejść.

Znów poczułam, że się rumienię.

- A ty? Nigdy nie byłeś żonaty?

Jack wydawał się przez chwilę skrepowany.

- Nie - odparł. - Mam tylko Russa. Przypomniałam sobie o golden retrieverze z plaży.

- Russ! - zawołał. W ciągu kilku sekund dał się słyszeć łomot, a potem cztery łapy wlokące się po schodach.

Pies ruszył prosto w moim kierunku, obwąchał moje nogi, potem ręce i usiadł z impetem na moją prawą stopę.

- Lubi cię - skomentował Jack.

- Skąd wiesz?

- No, przecież siedzi na twojej stopie.

- No tak. - Nie byłam pewna, czy wszystkie psy tak mają czy to tylko wyjątkowa cecha Russa.

- Robi tak, tylko jeśli kogoś lubi.

- Cóż, cieszę się, że zyskałam jego aprobatę. - Zaśmiałam się, gdy psiak wcisnął głowę w moje kolana i zostawił mi na swetrze tysiące psich włosów. W ogóle się tym nie przejęłam.

Jack odrzucił moją ofertę pomocy i sam sprzątnął ze stołu, po czym poprowadził mnie do tylnych drzwi.

- Bardzo bym chciał coś ci pokazać - powiedział.

Wyszliśmy na podwórko - mały, kwadratowy trawnik przecięty kamienną ścieżką prowadzącą do budynku gospodarczego, który przypominał szopę.

- To moja pracownia - wyjaśnił Jack. - Kiedy rozmawialiśmy na plaży, wspomniałaś, że chciałabyś obejrzeć moje obrazy.

Skwapliwie potwierdziłam. Wchodząc do pracowni, poczułam się jak w świątyni sztuki. Jack chciał się ze mną podzielić swoją największą życiową pasją. To tak, jakbym dała mu do przeczytania niedopracowane fragmenty mojej powieści. Nigdy nikomu ich nie pokazywałam, ani jednego zdania. Wnętrze pracowni wypełnione było płótnami ustawionymi na sztalugach lub opartymi o ściany. Przeważały obraz marynistyczne, ale moją uwagę zwrócił jedyny portret. Przedstawiał uderzająco piękną blondynkę z włosami do ramion wpatrującą się w morze. Jej twarz wyrażała niepewność, a może smutek. Portret różnił się od wszystkich innych wystawionych w pracowni. Przyglądając się jej z bliska, dostrzegłam mgliste podobieństwo do kobiety ze zdjęcia, które widziałam u Henrygo, choć nie było w niej niczego retro. Kim ona jest? Chciałam poznać jej historię i okoliczności, w których pozowała Jackowi, ale nie zamierzałam być wścibska. Wydała mi się w tym momencie zupełnie nieuchwytna. Skupiłam się teraz na innych obrazach - były cudowne.

- Faktura, gra światła... są po prostu zachwycające - w końcu wyraziłam swoją opinię. Cały czas próbowałam powstrzymać się przed zerkaniem na kobietę z portretu. - Podobają mi się wszystkie. Masz niesamowity talent.

- Dziękuję - odparł Jack.

Na dworze było już ciemno, ale światło księżyca wpadało do pracowni przez liczne świetliki. Jack wyciągnął szkicownik i podszedł do mnie z zagadkowym wyrazem twarzy.

- Bądź tak miła i usiądź tutaj - powiedział, wskazując na stołek w kącie.

Chętnie spełniłam jego prośbę.

Jack wyciągnął drugi stołek, usiadł na nim, a potem wstał i w wielkim skupieniu zaczął krążyć wokół mnie. Kiedy zaczęłam nerwowo poprawiać włosy i naciągać sweter, odłożył szkicownik i powolnym korkiem podszedł do mnie tak blisko, że poczułam zapach jego skóry.

Delikatnie ujął dłonią mój podbródek i zaczął go ustawiać tak, żeby światło księżyca padało na mój profil. Przesunął rękami wzdłuż mojej szyi i zatrzymał się na granicy swetra, ale dreszcze przebiegły przez moją skórę aż po czubki palców. Rozciągał dekolt swetra, dopóki nie pokazały się obojczyki wraz ze skrawkiem mojej koszulki. Poczułam chłodne muśnięcie wiatru na odsłoniętej skórze, ale nie drżałam z zimna. Być może tym zręcznym zagranem - kolacją, psem, obrazami - Jack zdobywał każdą kobietę, którą zapraszał do domu, ale tym razem postanowiłam zignorować swojego wewnętrznego cynika.

- Doskonale - skwitował. - Nie ruszaj się przez chwilę. Poczułam się bezwładna i ciężko mi było trwać bez ruchu,

lecz udało mi się pozostać w pozycji przez cały czas, gdy Jack siedział naprzeciwko mnie i szkicował jak szalony. Potem wstał i pokazał mi rysunek.

- Ooo. - Byłam naprawdę zdziwiona. - To naprawdę dobry szkic, jest taki... realistyczny.

Gdy byłam mała, mój portret namalował uliczny artysta z Portland. Mój nos był krzywy, a usta zbyt duże. Jack natomiast namalował mnie.

Ostrożnie wyrwał rysunek ze szkicownika i położył go na sztaludze.

Wróciliśmy do domu. Zauważyłam, że płomienie w kominku mają kolor umbry. Jack włączył muzykę.

- Ponieważ wczoraj musiałem iść tak wcześnie, pomyślałem, że moglibyśmy dokończyć nasz taniec - powiedział, sięgając po moją rękę.

Zauroczył mnie tym staromodnym gestem. Nie licząc balu maturalnego, ostatnie zaproszenie do tańca otrzymałam, gdy jako siedemnastolatka chodziłam z dwa lata starszym gitarzystą zespołu punkrockowego. Tańczyliśmy przytulańca do muzyki The Ramones przez niewiarygodnie romantyczne pięć minut, po czym przerwał nam jego ojciec wracający z pracy.

Jack odsunął na bok stolik kawowy i poprowadził mnie na środek salonu, a big-band zaczął grać przepiękną melodię.

- To stare nagranie jednej z moich ulubionych piosenek jazzowych - mówiąc to, przyciągnął mnie blisko siebie. - Znasz ją?

Zawahałam się.

- *Body and Soul* - odpowiedział. - Jedna z najpiękniejszych piosenek o miłości, jakie kiedykolwiek powstały.

Przeniknął mnie dreszcz podniecenia.

- Znasz ją? - spytał, wyczuwając mój stan.

Kiwnęłam głową. *Body and Soul*. Ulubiona piosenka Esther i Elliota? Nie byłam pewna, czy słyszałam ją już wcześniej, ale natychmiast poczułam, że słowa i melodia są mi znajome. Wiedziałam już, dlaczego była to ich piosenka. Mówiła o udręce i nadziei jednocześnie. Zupełnie, jakby została dla nich stworzona.

Jack trzymał mnie w objęciach mocno. Na tyle mocno, że czułam na szyi jego oddech, a pod palcami napięte mięśnie na jego plecach. Gdy tak kołysaliśmy się w rytm muzyki, muskał ustami moje czoło.

- Morze nie wyrzuca na brzeg zbyt często dziewczyn takich jak ty - wyszeptał przy końcu piosenki.

Oboje spojrzeliśmy w stronę plaży, gdzie fale z impetem rozbijały się o brzeg.

- Zaczyna się przyływ - powiedział Jack z niepokojem w głosie. - Lepiej odprowadzę cię do domu. Zgodziłam się, choć ciężko mi było ukryć rozczarowanie. Nie chciałam wracać. Jeszcze nie teraz. Gdy dotarliśmy do domu Bee, stanęliśmy przed drzwiami, a Jack powiedział z uśmiechem:

- Muszę jechać do Seattle, ale wrócę za kilka dni i wtedy zadzwonię. - Starłam się nie doszukiwać w tych słowach drugiego dna.

- Dobrej nocy - odparłam. I tyle.

Kładąc się do łóżka, byłam nieco nadąsana, choć powtarzałam sobie, że przecież nie dał mi do tego powodu. To był wspaniały wieczór. Powiedział, że jestem wyjątkowa. Wyjątkowa. Czego się spodziewałam? Wyznania miłości? Marzenie ściętej głowy. Wyciągnęłam z szuflady pamiętnik, ale byłam tak wyczerpana, że wsunęłam go tam z powrotem. Kiedy zasypiałam, ogarnęło mnie dziwne uczucie, że opuszczam Esther, zostawiam ją samą na pastwę tylu problemów, zmuszam, by radziła sobie sama. jednak, wrzucona w sam środek swojej nowej historii, ja również musiałam jakoś sobie radzić.

ROZDZIAŁ 8

6 MARCA

Chcesz dziś pojechać do Seattle? - zapytałam mnie Bee przy śniadaniu. W taki właśnie sposób mieszkańcy wyspy Bainbridge mówili o Seattle - jak o wyższym stopniu wtajemniczenia.

- Może spytasz Evelyn, czy nie chciałaby pojechać z nami? - zasugerowałam.

Choć Bee nie zdawała sobie z tego sprawy, zostało niewiele czasu.

Bee wykręciła numer Evelyn.

- Może spędzimy dzisiejszy dzień w Seattle? Chciałyśmy zdążyć na prom o dziesiątej i wybrać się na zakupy. Byłoby cudownie, gdybyś mogła jechać z nami.

Evelyn zgodziła się od razu. Spotkałyśmy się przy terminalu portowym, który przypominał mi stację kolejową. Roztaczała się z niego panorama na zatokę, a w barze kawowym można było zaspokoić pragnienie kubkiem americano, co też uczyniłam. Mieszkańcy wyspy często zostawiają swoje samochody na parkingu przed terminalem i płyną promem bez nich. Nie są im potrzebne, ponieważ w Seattle pasażerowie wysadzani

są w samym centrum miasta, a to oznacza co najwyżej przechadzkę po okolicznych wzniesieniach. Nawet osiemdziesięciolatki przedkładały spacer po mieście nad jazdę taksówką.

Evelyn ubrana była w rybaczkę koloru khaki, czarny sweter z łódkowym dekoltem i proste baleriny.
- Dziękuję, że uratowałyście mnie przed kolejnym nudnym dniem spędzonym z moimi kotami - powiedziała.

Odpowiedziałam jej uśmiechem. Pomyślałam, że nie wygląda jak osoba, która cierpi na śmiertelny chorobę. Nadal miała na głowie włosy - czy to peruka? Policzki miała zaróżowione, choć mogła im pomóc makijażem. Chyba chodziło głównie o to, że nie zachowywała się jak chora. Rak mógł poczynić spustoszenie w jej ciele, ale nie złamał jej ducha.

- To jaki mamy plan na dzisiaj? - spytałam, gdy weszłyśmy na pokład promu.

Ponieważ byłyśmy jednymi z pierwszych, zajęłyśmy miejsca przy dziobie, skąd roztaczał się najlepszy widok na wybrzeże Seattle.

- A więc - zaczęła Bee, sadowiac się na miękkim siedzeniu ławeczki - pójdziemy oczywiście do domu handlowego Westlake Center i może do tego uroczego bistro na ulicy Marion. To dobre miejsce na lunch.

Ulica Marion. Czy nie na tej ulicy Esther zerwała zaręczyny z Elliotem? Przypomniał mi się ten olśniewający pierścionek, który wrzuciła do studzienki kanalizacyjnej. Pokręciłam głową.

Zareagowała impulsywnie i zmarnowała taki piękny przedmiot. Ale cóż, miała swoje powody.

Zapamiętałam nazwę hotelu Landon Park, przed którym rozegrała się ta scena. Może autor - czy była nim Bee? - umieścił wydarzenia z książki w rzeczywistych lokalizacjach. Chciałam się dowiedzieć, czy stary hotel nadal stoi lub czy w ogóle istniał.

- Macie ochotę na chowder z małży? - zapytała Bee, wstając z miejsca.

Zawsze zamawiała chowder z małży na pokładzie promu niezależnie od pory dnia, mimo że przeprawa trwała zaledwie pół godziny. - Ja dziękuję - odparła Evelyn.

- Ja poproszę, jeśli wybierasz się do bufetu.

Swoją odpowiedzią wzbudziłam aprobatę Bee, która poszła zrealizować zamówienie.

Gdy tylko znalazła się poza zasięgiem głosu, zwróciłam się do Evelyn:

- Jak się dzisiaj czujesz? - Miewałam lepsze dni.

- Przykro mi. - Ukłuło mnie poczucie winy, że nalegając na zaproszenie jej, pozbawiłam Evelyn należytego odpoczynku.

- Nie martw się. Wolę cierpieć w waszym towarzystwie w Seattle, niż samotnie leżeć w łóżku.

Rozumiałam ją.

- Kiedy zamierzasz jej powiedzieć? Evelyn wyglądała na zmartwioną.

- Już niedługo.

- Obawiam się, jak przyjmie tę wiadomość - odparłam. Evelyn spuściła wzrok na swoje dłonie, które ścisnęła tak

kurczowo, że na grzbietach pojawiły się małe niebieskie żyłki.

- Też się tego boję, kochanie.

Wyjrzałam przez okno, po czym znów zwróciłam twarz w stronę Evelyn.

- Z tego, co wiem, jesteś jej jedyną przyjaciółką. Evelyn skinęła głową.

- Nadal czytasz pamiętnik?

- Tak. Z trudem udaje mi się od niego oderwać. Spojrzała na przejście, sprawdzając, czy Bee już wraca.

- Nie mamy zbyt wiele czasu - zaczęła. - Nie zostanę tu zbyt długo. Musisz jednak coś wiedzieć.

Historia, którą czytasz, jest kluczem do rozwiązania wielu zagadek. Jeśli ci się uda, zmieni się nie tylko twoje życie, ale też życie twojej ciotki i innych.

- Dlaczego po prostu mi nie powiesz, o co w tym wszystkim chodzi? - odparłam z niecierpliwością, choć miałam nadzieję, że tego nie zauważyła.
 - Przykro mi, moja droga, ale to twoje zadanie.
- Gdy wypłynęliśmy na otwarte wody zatoki, czas jakby się zatrzymał.
- Evelyn - spytałam, patrząc przez okno - znałaś moją babcię? Przez chwilę patrzyła na mnie intensywnie, po czym odpowiedziała.
 - Tak, kochanie, znałam ją.
 - To może wiesz, co takiego Bee powiedziała o niej mojej mamie, że nastąpił rozłam w rodzinie?
 - Powiedziała jej prawdę, choć była szokująca.
 - Szokująca?
 - Tak - odparła Evelyn - chociaż możesz to zmienić.
 - Evelyn, co masz na myśli?
 - Możesz wszystko naprawić. Dopisać do tej historii zakończenie, którego potrzebuje.
- Przezesłam włosy palcami i westchnęłam głęboko. - To jak układanie puzzli, z tym że wszyscy chowają przede mną swoje kawałki.
- Cierpliwości - powiedziała cicho Evelyn. - Z czasem poznasz wszystkie odpowiedzi. Na wyspie tak to już jest.
- Spostrzegłam wracającą Bee.
- Bardzo proszę - rzekła, siadając na swoim miejscu. - Chowder z małży raz.
 - Dzięki - odparłam, otwierając paczkę słonych krakersów i maczając jednego z nich w gorącej kremowej zupie.
 - Evelyn, co z twoim apetytem? - zapytała Bee. - Zawsze lubiłaś jeść chowder na promie.
- Spojrzałam na Evelyn z niemą podpowiedzią „To jest odpowiedni moment. Powiedz jej teraz”.
Odparła jednak z kamienną twarzą:
- Zjadłam dziś duże śniadanie. Mój stary żołądek nie jest już taki jak kiedyś.

- Cóż, za kilka godzin zjemy lunch, więc raczej nie umrzesz z głodu - podsumowała Bee, po czym zwróciła się do mnie. - Jak ci minął wieczór u Jacka?

Twarz Evelyn pojaśniała uśmiechem.

- Jacka Evanstona?

- Tak, u Jacka Evanstona - odparłam. Evelyn i Bee wymieniły znaczące spojrzenia.

- Masz przed sobą dwie stare kobiety, które na randce ostatni raz były kilka dekad temu - powiedziała Evelyn. - Uchyl przed nami rąbka tajemnicy.

- A więc przygotował dla mnie kolację - ciągnęłam. - Aż trudno mi uwierzyć, że facet umie tak gotować. Pokazał mi też swoje obrazy.

Bee skrzywiła się i odwróciła w stronę okna, ale Evelyn nie zwracała na nią uwagi.

- Brzmi bajecznie. Dobrze się bawiłaś?

- Tak, choć zastanawiam się, jakim cudem nigdy nie poznałam Jacka, skoro w dzieciństwie tyle czasu spędziłam na wyspie. Nigdy nie widziałam go na plaży.

Evelyn już otwierała usta, żeby mi to wytłumaczyć, ale Bee ją ubiegła.

- A co słyszeć u Grega?

- Wielkie nieba - zdziwiła się Evelyn - czyli dwaj mężczyźni uganiają się za tobą?

- Zgadza się - odparła Bee. Evelyn westchnęła.

- Ach, żeby tak znów być młodą dziewczyną.

Dźwięk syreny oznajmił nam, że dopłynęliśmy do Seattle. Pociągnął nas za sobą tłum pasażerów zmierzających prędko do wyjścia. Przeszliśmy trapem i zeszliśmy schodami na chodnik, przy którym zobaczyliśmy taksówki, żebraków i gołębie szukające okruchów.

Gdy doszliśmy do przejścia dla pieszych, Evelyn zrobiła głęboki wdech.

- Ach, jak bardzo mi brakowało tego zapachu.

Po tej stronie zatoki również dało się wyczuć tak uwielbiany przeze mnie zapach silnika promu, morza i miasta, ale w Seattle pojawiała się dodatkowa nuta - ryby smażone w restauracjach na przystani.

- Czy kiedykolwiek żałowałaś, że wróciłaś na wyspę, Evelyn? - spytała nagle Bee.

Zamiast na Bee Evelyn spojrzała na mnie i podała fakty, których nie znałam.

- Przeprowadziłam się z powrotem do Bainbridge dziesięć lat temu, kiedy zmarł mój mąż. Przez wszystkie lata naszego małżeństwa mieszkaliśmy w Seattle. Niedaleko stąd, w dzielnicy Capitol Hill.

- Rozumiem. Z tym miejscem wiąże się pewnie wiele waszych wspomnień.

- Tak, mnóstwo - odparła. - Ale to wyspa była zawsze moim domem.

Idąc w milczeniu, pokonałyśmy trzy wzgórza i doszłyśmy do ulicy Marion. Przez całą drogę trzymałam Evelyn pod rękę, żeby nieco ją wesprzeć. Gdyby tylko Bee wiedziała o jej chorobie, jestem pewna, że zrobiłaby to samo.

- No, to jesteśmy na miejscu - powiedziała Bee. Wskazała na restaurację Talulah's po drugiej stronie ulicy. - Może usiadzimy? Zmęczyłam się i chętnie bym odpoczęła.

Obie skwapliwie przytaknęłyśmy.

Wnętrze restauracji było wesołe i jasne. Ściany pomalowano na intensywny odcień żółci, a na każdym stole w małych kryształowych wazonach umieszczono żonkile. Z wyjątkiem mężczyzny siedzącego przy odległym stoliku, który jadł kanapkę i popijał ją kawą, lokal był zupełnie pusty.

Była dopiero jedenasta, czyli trochę za wcześnie na lunch. Była to jednak idealna pora na mimozę.

Evelyn zamówiła dla nas pierwszą kolejkę. Przy końcu drugiej byłyśmy już bardzo zadowolone z tego pomysłu i powoli dopadał nas głód. Mimo

chowdera z małży zjedzonego na statku zamówiłam hamburgera i nie czułam z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Kiedy kelnerka sprzątnęła nasze talerze, Bee zapytała:

- To gdzie teraz idziemy? Spojrzałam przez okno na ulicę Marion.
- Czy mogłybyśmy się trochę przejść tą ulicą, a potem skręcić do Westlake Center?
- Myślę, że tak - odrzekła Bee.

Zapłaciła rachunek, po czym wyszłyśmy na zewnątrz. Przechodząc obok kolejnych budynków, szukałam wzrokiem hotelu, przed którym Esther zobaczyła Elliota z inną kobietą. Na ulicy było ze czterdzieści pięć starbucksów, ale żadnego hotelu Landon Park. Nagle dostrzegłam coś intrygującego - budynek z czerwonej cegły z kolumnami przy wejściu. Nie dość, że zgadzał się z opisem Esther, to jeszcze stał przed nim automat z gazetami. Zbieg okoliczności? Niekoniecznie, zwłaszcza że w odległości piętnastu metrów od tego miejsca dostrzegłam studzienkę kanalizacyjną. Zamarłam na moment. To musiało być to miejsce. Musiałam przyjrzeć mu się z bliska, nawet jeśli wydarzenia z pamiętnika okazałyby się fikcją.

- Emily? - Bee zobaczyła, że stoję bez ruchu na chodniku. - Dlaczego się zatrzymałaś? Chciałabyś wejść do któregoś z tych sklepów, kochanie?

Nie patrząc na nią, zaprzeczyłam.

- Nie, nie. Chciałam tylko zerknąć na nagłówki gazet - skłamałam i przebiegłam na drugą stronę ulicy, prawie wpadając pod koła szarego sedana.

Wściekły kierowca pogonił mnie klaksonem. Stałam przed budynkiem. To musiał być ten hotel.

- Przepraszam, czy to hotel Landon Park? - spytałam starego portiera.

Spojrzał na mnie wyraźnie zdziwiony.

- Hotel Landon Park? Nie, to siedziba Waszyngtońskiego Klubu Sportowego.

- No tak. Mogłam się tego spodziewać - odparłam. Odwróciłam się i już chciałam odejść, kiedy przywołał mnie portier.

- Proszę zaczekać. To był hotel Landon Park, ale spłonął w latach pięćdziesiątych.

- Naprawdę? - Nie mogłam ukryć radości.

- Tak. Pożar strawił większość pomieszczeń. Podziękowałam mu serdecznie. Evelyn i Bee stojące naprzeciwko wyglądały na zupełnie zdezorientowane, zwłaszcza Bee.

- Zaraz wracam - krzyknęłam w ich stronę.

Udawałam, że przeglądam gazety w automacie, ale tak naprawdę rozglądałam się po miejscu, w którym zaczęły się problemy Elliota i Esther. Gdy tam stałam, ich historia wydawała mi się prawdziwa, nawet jeśli byli tylko wytworem czyjejs wyobraźni.

Dałyśmy sobie spokój z zakupami i wróciłyśmy promem o czternastej. Udawałam, że boli mnie głowa, bo Evelyn już nie dawała rady. Była błada i wyraźnie zmęczona. Wiedziałam, że musi odpocząć, ale za nic by się do tego nie przyznała.

W domu Bee poszła się zdrzemnąć. Ja również zamknęłam się w swojej sypialni, ale nie zamierzałam spać.

Słyszałam, że w kuchni dzwoni telefon. Uznałam, że to może poczekać, bo byłam zajęta kąpaniem dziecka w łazience. Jednak ktoś dzwonił do mnie długo i uparcie, więc odwiesiłam myjkę i zawinęłam dziecko w bładoniebieski ręcznik frotte, który dostaliśmy od matki Bobbyego. Miała nadzieję, że będziemy mieli chłopca.

- Halo. - Gdy w końcu odebrałam, nie ukrywałam zirygowania.

Dzwoniła Frances.

- Esther, nie uwierzysz. - W jej głosie usłyszałam jednocześnie wzruszenie, panikę i podniecenie.

- Uspokój się trochę i mi powiedz - powiedziałam i chwyciłam inaczej dziecko, żeby móc wygodnie rozmawiać.
 - Chodzi o Elliota. - Kiedy wypowiedziała jego imię, czułam, jak miękną mi kolana.
 - Nie mów mi o tym, nie chcę wiedzieć. Nie zniosłabym tego.
 - Nie o to mi chodzi - odparła pośpiesznie Frances. - On żyje. Ma się dobrze. I wrócił do domu! Wrócił z wojny.
- Łzy stanęły mi w oczach.
- Skąd wiesz?
- Zamilkła na chwilę, jakby zastanawiała się, czy powiedzieć mi całą prawdę czy tylko jej część.
- No cóż - rzekła w końcu. - Wiem, bo przed chwilą tu był.
 - To znaczy gdzie?
 - U mnie w domu. Właśnie wyszedł.
 - Po jaką cholere przyszedł do ciebie?
- Wyczułam, że Frances zeszywniała, a we mnie zaczęło narastać napięcie. Niepokoiła mnie ta ich przyjaźń i nie byłam w stanie tego ukryć.
- Frances - ciągnęłam. - Dlaczego przyszedł do ciebie?
 - Esther, nie wiem, co chciałaś zasugerować - odparła urażona. - Wie, że pasjonuję się fotografią, więc przyniósł mi album ze zdjęciami, które zrobił na południowym Pacyfiku. Są piękne, powinnaś je zobaczyć - są na nich drzewa kokosowe, plaże, ludzie, których spotkał. Zacisnęłam pięści.
 - Dlaczego miałby ci dawać prezenty?
 - A cóż to znowu za pytanie? - Tym razem naprawdę sprawiłam jej przykrość. - Przecież jesteśmy starymi przyjaciółmi, Esther. To był miły gest z jego strony.
 - A ja? Czy ja nie jestem twoją przyjaciółką? - zapytałam.
 - Esther, masz męża i dziecko - stwierdziła nieco bardziej bezpośrednio, niż się spodziewałam. - Nie spodziewa się u ciebie ciepłego przyjęcia.

Oczy zapłonęły mi gniewem i poczułam, jak budzą się we mnie emocje, które przez lata próbowałam zignorować.

- Zawsze był dla ciebie ważniejszy niż nasza przyjaźń - stwierdziłam z goryczą. - Zawsze chciałaś go mieć dla siebie.

Frances milczała.

- Wybacz mi. Nie to chciałam powiedzieć - próbowałam ją przeprosić.

- Ależ chciałaś - odparła Frances.

- Nie, nie chciałam. Źle to ubrałam w słowa. Wybaczysz mi?

- Muszę już kończyć, Esther. - Odłożyła słuchawkę i nie usłyszałam już nic prócz sygnału skończonej rozmowy.

Następnego ranka przetrząsnęłam całą szafę i w końcu wybrałam obcisłą niebieską sukienkę, którą kupiłam rok wcześniej w Seattle. Miała czarny pasek i dekolt w serek, a przy kołnierzu białą piwonie, zupełnie jak w magazynach o modzie. Zadzwoiłam do Rose.

- Cześć. Słyszałaś już? - zapytałam.

- O Elliocie? Tak - odparła. Westchnęłam ciężko.

- Jestem zupełnie rozbita.

- Dlaczego? Przecież żyje.

- Wiem, ale ta wyspa jest za mała na nas dwoje. Rose wiedziała o tym równie dobrze jak ja.

- Chcesz, żebym do ciebie wpadła? Mogę złapać następny prom.

- Chcę. Zjemy razem lunch? Muszę jeszcze zrobić zakupy. Mogę być w Ray's o dwunastej. Wezmę ze sobą małą, ale jeśli mi się poszczęści, będzie spała w wózku.

- Wspaniale - odpowiedziała Rose.

Od kiedy przeprowadziła się do Seattle, czułam się na wyspie samotna. Wiadomo, że była jeszcze Frances, ale

w ciągu ostatniego roku oddaliłyśmy się od siebie z przyczyn, które instynktownie rozumiałam, ale o których nie chciałam rozmawiać. Do tej pory.

- Rose, czy Frances zakochała się w Eliocie? - Podejrzanie, że moja przyjaciółka kocha tego samego mężczyznę co ja, wydało mi się absurdalne, ale musiałam zapytać. Musiałam się dowiedzieć. Byłam pewna, że Rose zna odpowiedź.

- Sama musisz ją o to zapytać - powiedziała tak po prostu. Ale nie musiałam już pytać. W głębi serca wiedziałam, że to prawda.

W supermarkecie zaglądałam nerwowo w każdą alejkę, żeby sprawdzić, czy nie stoi tam przypadkiem Elliot. Zamiast niego wpadłam na sąsiadkę z domu obok, Janice Stevens, która obserwowała mnie z działu przetworów. Była wdową, więc starałam się nie denerwować tym, w jaki sposób na mnie patrzy, ani tym, co do mnie mówi. Piekła przeróżne ciasta, ciasteczka i placki, przy czym stale podkreślała, że ja tego nie robię. Frances powiedziała mi kiedyś, że Janice podko-chiwała się w Bobbym, co było całkiem możliwe. Przynosiła do nas swoje słodkości i podawała Bobby'emu ze stwierdzeniem w rodzaju: „Biedactwo. Esther nigdy dla ciebie nie piecze, więc jako dobra sąsiadka muszę się o ciebie zatroszczyć”. Zawsze dbała o to, by mieć na ustach czerwoną szminkę i stała w naszych drzwiach najdłużej, jak się tylko dało.

Już w szkole średniej odnosiłam wrażenie, że pragnęła mojej porażki. Jak sęp czekała w pogotowiu, żeby wykorzystać każdą moją słabość.

Ze względu na to, jak tylko ją zobaczyłam tego ranka, zebrałam w sobie wszystkie siły. Spojrzała na mnie z przesłodzonym uśmiechem i spytała:

- Słyszałam, że Elliot wrócił. Widziałaś się z nim?

Janice doskonale wiedziała, że wystarczy wspomnieć jego imię, by mnie zdenerwować.

- Spotkałam go dziś rano - dodała.

Udawałam, że zainteresowała mnie etykieta puszek pomidorów. -Tak?

- Wrócił z południowego Pacyfiku mocno opalony -ciągnęła. - Nadal jest niewiarygodnie przystojny.

- Gdzie go spotkałaś? - złamałam się i zapytałam w końcu, choć wiedziałam, że nie powinnam.

- Jadł śniadanie z Frances, w Rays - odparła. - Nie powiedziała ci o tym?

Upuściłam puszkę pomidorów.

Janice pochyliła się, żeby ją podnieść, i posłała mi chytry uśmieszek.

- Nie sądzisz, że Frances i Elliot byliby dobraną parą?

- Bardzo dobraną - potwierdziłam, zabierając puszkę z jej rąk, po czym odjechałam wózkami w inną część sklepu.

- Esther, proszę cię, przestań - nalegała Rose, gdy usiadłyśmy przy stoliku w Ray's. - To twoja nadinterpretacja.

- A chcesz faktów? - odparłam. - Mówią same za siebie! Od kiedy Elliot wrócił do domu, są nierozłączni.

Z wyrazu twarzy Rose wyczytałam, że również była rozczarowana zachowaniem Frances, ale nie chciała stawać po niczyjej stronie. Rose z zasady unikała konfliktów.

- Możecie o tym ze sobą porozmawiać - zasugerowała. Przytaknęłam, choć w tym momencie zastanawiałam się,

o czym ONI rozmawiali dziś rano. Dlaczego Elliot tuż po powrocie z wojny tak się zainteresował moją przyjaciółką? Przecież istniała niepisana zasada, że byli narzeczeni nie łączą się w pary z przyjaciółkami narzeczonej.

Wtem podszedł do nas kelner, ale nie po to by przynieść nasze zamówienie. Spojrzał prosto na mnie.

- Czy to pani jest Esther?

- Tak - potwierdziłam zdezorientowana.

- To dobrze - odparł. - Domyśliłem się po tym, jak panią opisał. Powiedział, że będzie pani najpiękniejszą dziewczyną w restauracji. - Kelner posłał przepaszające spojrzenie w stronę Rose. - Pani wybaczy. Pani również jest niczego sobie. - Ale Rose uśmiechnęła się tak, jakby nie miało to dla niej najmniejszego znaczenia, co było zgodne z prawdą.

Zza pleców wyciągnął tulipana, mój ulubiony kwiat. Był śnieżnobiały z czerwonymi końcówkami płatków. Nigdy przedtem takiego nie widziałam i prawie zamarłam z zachwytu.

- To dla pani - powiedział, podając mi tulipana wraz z białą kopertą.

Było na niej moje imię napisane ręką Elliota. Wszędzie rozpoznałabym jego „e” i ten ozdobnik przy każdym „s”.

- Idź, przeczytaj go na osobności - rzekła Rose. - Zostanę z małą.

- Dziękuję - odparłam.

Wiedziała, że muszę się nacieszyć każdym słowem. Wybiegłam na ulicę i usiadłam na ławce, po czym pospiesznie rozerwałam kopertę.

Najdroższa Esther

Wiem, że nie powinienem pisać do Ciebie w ten sposób. Wyszłaś za mąż i słyszałem, że masz dziecko. Ale chcę Ci coś wytłumaczyć; chcę, byś mnie dobrze zrozumiała. Czy możemy się spotkać dziś w nocy na plaży pod moim domem? Będę tam na Ciebie czekał z nadzieją, że przyjdiesz, jeśli tak, będę wiedział, że pisane nam jest być razem. Jeśli nie, będę wiedział, że koniec z nami, że muszę usunąć się w cień,

wyjechać z wyspy i poukładać sobie życie. Proszę, powiedz, że przyjdiesz. Proszę, powiedz, że bez względu na wszystko i tak przyjdiesz. Wiem, że proszę o wiele, ale modłę się w duchu, by ten ogień, który nadal we mnie plonie, był również w Tobie. Będę czekał.

Twój Elliot

Przycisnęłam list do piersi i poczułam, jak po policzku spływa mi pojedyncza łza. Kiedy ją ścierałam, kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. Ale ktokolwiek tam był, zniknął, zanim zdążyłam się obrócić.

ROZDZIAŁ 9

7 MARCA

Większą część następnego ranka spędziłam, pisząc albo przynajmniej próbując pisać. Historia z pamiętnika zainspirowała mnie do ułożenia własnej, choć słowa, które przelewałam na papier, nie tworzyły żadnej spójnej całości. Po godzinie i dwudziestu minutach udało mi się wypocić dwa akapity pierwszego rozdziału nowej powieści, które, mówiąc szczerze, były zupełnie do niczego.

Tak więc kiedy Bee zapukała do moich drzwi, miałam wielką ochotę zrobić sobie przerwę.

- Masz ochotę na spacer? - spytała, zaglądając do mojego pokoju. - Och, przepraszam, kochanie. Nie wiedziałam, że jesteś zajęta pisaniem. Nie będę ci przeszkadzać.

Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, że słońce przedarło się przez chmury, a plaża migotała w jego świetle.

- Wcale mi nie przeszkadzasz. Z chęcią się przejdę - odparłam, odstawiając kubek na biurko.

Złapałam sweter, wskoczyłam w buty i już mogłyśmy spacerować brzegiem morza. Od kiedy pamiętam, Bee zawsze szła w lewą stronę. Teraz już wiedziałam dlaczego - nie chciała przechodzić obok domu Jacka, żeby zapomnieć o tym, co ich poróżniło.

- Cieszysz się, że przyjechałaś? - spytała.

- Bardzo - odparłam, łapiąc ją za rękę i ściskając lekko.

- Ja też się cieszę - powiedziała, po czym schyliła się, żeby obejrzeć z bliska małą pomarańczową rozgwiazdę rzuconą w sam środek walki żywiołów - morza i lądu. Delikatnie ją podniosła i z wielką ostrożnością pomogła wrócić do zatoki. - No, maluszk. - zachęcała. - Płyn do domu.

Spacerowałyśmy razem już jakiś czas, gdy zatrzymała się i powiedziała:

- Czuję się samotna.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby tak mówiła. Wujek Bill nie żył już od przeszło dwudziestu lat. Zawsze mi się wydawało, że lubiła być sama.

- Może odwiedzisz mnie w Nowym Jorku? - zasugerowałam. - Spędzisz ze mną cały kwiecień.

Pokręciła głową.

- Moje miejsce jest tutaj.

Poczułam się nieco urażona. Skoro jest taka samotna, to dlaczego odrzuca moje zaproszenie?

- Wybacz, kochanie - ciągnęła. - Starzeję się i... sama zobaczysz, gdy będziesz w moim wieku. Wyjazd z domu wyda ci się podróżą na koniec świata. Obawiam się, że brakuje mi do tego energii.

Pokiwałam głową, choć nie rozumiałam, o czym mówi. Miałam nadzieję, że na starość nie będę tak związana z moim domem, choć może nie da się tego uniknąć.

- Emily, muszę cię o coś poprosić. Myślałam o tym, w jakim momencie życia obie teraz jesteśmy, i, no cóż, chciałam cię spytać, czy rozważyłabyś zamieszkanie tutaj, na wyspie, ze mną.

Otworzyłam usta ze zdziwienia. Przez większą część życia wyspa była dla mnie tajemną kryjówką, miejscem ucieczki przed światem, ale domem?

- Zaskoczyłaś mnie. Czuję się zaszczycona, że mi to proponujesz...

- Emily - przerwała mi, zanim zdążyłam odrzucić jej propozycję. - W testamencie zapisałam ci mój dom. Dom, cały majątek, wszystko.

Nie wierzyłam własnym uszom. Nagle poczułam zaniepokojenie.

- Bee, czy z tobą wszystko w porządku?

- Tak, staram się tylko zawczasu uporządkować swoje sprawy - odparła. - Chciałam, żebyś wiedziała, że dom przypadnie tobie, na wypadek gdybyś zastanawiała się nad przeprowadzką tutaj. Może nawet niedługo.

Miałam wiele spraw do przemyślenia.

- Bee, ja...

- Nie musisz nic mówić. Decyzję zostawiam tobie. Tylko ty kochasz to miejsce. Twoja matka pozamykałaby ten dom na głucho. Twoja siostra sprzedałaby go tak szybko, jak tylko ten jej mąż znalazłby nabywców. Wiadomo, że ty też możesz go sprzedać, ale wiem, że zostawiam go w dobrych rękach. - Zamilkła, obserwując orła, który przeleciał nad naszymi głowami. - Tak, ten dom należy do ciebie. Ja jestem tylko starszą panią, która zajmuje jedną z sypialni. Możesz przyjeżdżać, kiedy tylko masz ochotę, i zostawać na tak długo, jak chcesz. I pamiętaj o mojej propozycji zamieszkania razem.

- Przemyślę to - powiedziałam, znów ściskając jej dłoń.

W kieszeni swetra zadzwonił mój telefon, a na ekranie wyświetlił się miejscowy numer.

- Halo.

- Emily? Cześć, tu Greg.

Nie miałam pojęcia, skąd znał numer mojej komórki, ale potem przypomniałam sobie, że w restauracji, gdy wypiliśmy odpowiednią ilość wina, zapisałam mu go na serwetce, którą schował w kieszeni. Zadałam szyku, bez dwóch zdań.

- Cześć - odparłam, mając przed oczami Sercowy Głaz

i nasz pocałunek. Niewątpliwie mieliśmy jeszcze parę spraw do omówienia.

- Zastanawiałem się, czy masz wolny któryś wieczór. Chciałbym cię zaprosić do siebie na drinka.

Koszmary ze mnie kucharz, więc moglibyśmy zamówić coś na wynos. Ty wybierasz.

- Hm, no dobrze - zgodziłam się, bo wziął mnie z zaskoczenia.

- Wspaniale - odparł. W tym momencie byłam w stanie wyobrazić sobie jego uśmiech. - Co powiesz na jutrzejszy wieczór, o siódmej?

- Pewnie. Byłoby... świetnie.

- Cieszę się. Po drodze możemy zajechać po chińszczyznę. Do zobaczenia.

Bee i ja jednocześnie zauważyłyśmy, że ze swojej werandy macha do nas Henry. Dym ulatujący z jego komina mieszał się z lekką parą unoszącą się z dna, tworząc mgłę tak gęstą, że można w niej było całkiem zniknąć.

- Witajcie, miłe panie - zawołał w naszą stronę. Bee skinęła mu na powitanie.

- Właśnie wracałyśmy do domu - zełgała bez zająknięcia.

- Więc z pewnością znajdziecie chwilkę na wypicie ze mną kawy - odparował.

W noc przyjazdu na wyspę spytałam Bee o Henry'ego. Odpowiedziała wprost, jednak nie udzieliła mi bliższych informacji: „To tylko bardzo stary przyjaciel”. Ton, z jakim to powiedziała, rozwiał co do tego wszelkie moje wątpliwości.

Bee najwyraźniej przyznała mu rację, gdyż razem ze mną podążyła w stronę jego domu. Przyszła mi do głowy myśl, że tworzyliby dziwną parę. W swoim towarzystwie czuli się nieswojo, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że nigdy nie byli ze sobą związani uczuciowo. Nie oznacza to wcale, że niski mężczyzna i wysoka kobieta nie mogą mieć płomiennego romansu.

Uśmiechnęłam się i powiedziałam:

- Ta kawa to wspaniały pomysł.

Wewnątrz usiadłam w miejscu, gdzie w ubiegłym tygodniu po raz pierwszy zobaczyłam Jacka. Nagle przypomniałam sobie o wazonie.

- Henry, muszę ci się do czegoś przyznać. Twój biały wazon, to znaczy ja...

Mrugnął do mnie porozumiewawczo.

- Wiem, wiem - odparł, wskazując na idealnie posklejany wazon. Stał teraz na półce nad kominkiem z pojedynczym żonkilem w środku. - Wygląda jak nowy - oświadczył. - Jack przywiózł mi go dziś rano. Uśmiechnęłam się szeroko, ale po chwili zwątpiłam.

- Dziś rano?

Henry wyglądał na zdziwionego.

- Tak - zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Czy coś jest nie tak?

- Nie, nie - odparłam. - W sumie nic takiego. Myślałam, że Jack jest w Seattle. Powiedział, że spędzi tam parę dni.

Czy nie tak właśnie powiedział? Skąd ta nagła zmiana planów? Nie dawało mi to spokoju.

Henry poszedł nalać nam kawy. Usiadłam, podczas gdy Bee niczym detektyw niestrudzenie przeczesała pokój, badając z bliska każdy przedmiot.

- Przydałaby mu się gospoia - oceniła.

- Podejrzewam, że to marzenie każdego kawalera - odparłam. Przypomniałam sobie jednak dom Jacka, gdzie wszystko

miało swoje miejsce i panował ogólny porządek - podejrzany porządek.

Przyznała mi rację i usiadła na krześle w pobliżu okna.

- Czy kiedykolwiek był żonaty? - spytałam szeptem, pamiętając o kobiecie ze zdjęcia, które u niego widziałam.

Spojrzała na mnie, jakby sam pomysł, że Henry mógł się ożenić, był jakimś zupełnym szaleństwem.

- Nie, nigdy.

Rozejrzałam się po niewielkim salonie z angielską boazerią i starą drewnianą podłogą. Zatrzymałam wzrok na kominku. Wśród kolekcji kamieni i ramek chciałam odszukać to jedno zdjęcie, ale zniknęło.

- Wiesz, w zeszłym tygodniu widziałam tu zdjęcie kobiety, może byłej narzeczonej - ciągnęłam konspiracyjnym szeptem nieco zdezorientowana. - Czy wiesz, o które zdjęcie mi chodzi?
- Nie wiem - odparła chłodnym tonem. - Nie byłam u niego od bardzo dawna.
- Myślę, że gdybyś tylko ją zobaczyła, poznałabyś ją od razu. Piękna blondynka, na zdjęciu stoi przed domem Henryego.

Bee wyglądała przez okno na zatokę i wydawała się zatopiona w myślach.

- To było tak dawno temu - powiedziała w końcu. - Wielu rzeczy już nie pamiętam.

Kilka minut później wrócił Henry z naszą kawą. Bee popijała ze swojej filiżanki skrepowana i wyraźnie poruszona. Zastanawiałam się, co ją tak zmartwiło.

Przejęłam na siebie ciężar rozmowy i skłoniłam Henry ego, by szczegółowo opowiedział mi o swoim ogrodzie. Przez cały ten czas Bee nie spjrzała na niego ani razu. Gdy tylko wypła ostatni łyk kawy, gwałtownie odstawiła filiżankę na spodek i wstała.

- Emily, trochę dokucza mi głowa. Pójdę już chyba do domu - powiedziała.

Henry energicznie zaprotestował.

- Jeszcze nie teraz. Musicie najpierw zobaczyć ogród. Chciałem wam pokazać coś wyjątkowego.

Bee niechętnie przystała na tę propozycję i w trójkę wyszliśmy przez kuchnię na podwórko schowane za domem. Uszliśmy niecały metr, gdy Bee stłumiła okrzyk zdziwienia i wskazała na prawą stronę ogrodu.

- Henry! - zawołała, wpatrując się w setki delikatnych jasnozielonych liści tworzących na ziemi gęsty dywan przetykany gdzieś tam maleńkimi kwiatkami w kolorze lawendy z ciemniejszym fioletowym wnętrzem.

Zszokowana Bee zapytała:

- Jakim cudem... skąd one się tu wzięły? Henry pokręcił głową.

- Zauważyłem je dwa tygodnie temu. Po prostu się pojawiły. Widząc, że jestem zdezorientowana, Bee pospieszyła z wyjaśnieniem.

- To leśne fiołki. Nie widziałam ich na wyspie od...

- Są bardzo rzadkie - ciągnął Henry, po tym jak Bee przerwała myśl w środku zdania. - Nie można ich tak po prostu posiać, bo nie wyrosną. Muszą cię wybrać.

Bee spojrzała na Henry ego i posłała mu łagodny uśmiech. Ucieszyłam się na ten widok.

- Evelyn stworzyła teorię na ich temat - rzekła, jakby z trudem próbując odkurzyć wspomnienie, które kiedyś odłożyła na półkę. Gdy jej się udało, mówiła dalej: - Twierdziła, że rosną tam, gdzie są potrzebne, że pomagają leczyć rany i dają nadzieję.

- Czy to nie zabawne, Henry? Wierzyć w to, że fiołki mogą wiedzieć takie rzeczy - ciągnęła Bee.

- Idiotyczny pomysł - potwierdził Henry. Bee nadal nie mogła w to uwierzyć.

- Zobacz, jak kwitną, i to w marcu...

Henry skinął głową na znak, że doskonale rozumie, co miała na myśli.

Stali tak, wpatrując się w rosnące tuż przed nimi kwiaty, które pojedynczo wydawały się kruche i delikatne, ale w tak dużej ilości sprawiały wrażenie niezłomnych i zdeterminowanych. Cofnęłam się w kierunku domu i patrzyłam, jak stoją obok siebie, zastanawiając się nad rzeczami, których nie byłam w stanie zrozumieć. Wiedziałam tylko, że w tym momencie zaprzatają ich sprawy ważniejsze niż kwiaty.

Wróciłyśmy do domu w milczeniu, gdyż każda z nas miała swoje sekrety. Kiedy Bee uciniała sobie drzemkę, otworzyłam laptopa i obiecałam sobie, że nie ruszę się z miejsca, dopóki nie napiszę kolejnych dwóch akapitów. Byłam jednak w stanie tylko wpatrywać się w zegar na górze ekranu. Po spędzeniu ośmiu minut bez twórczej weny zadzwoniłam do Annabelle.

- Cześć - powitała mnie nieco niemrawo.
- Coś się stało?
- Nic takiego - odparła.

Znałam ją zbyt dobrze, żeby w to uwierzyć.

- Opowiadaj. Przecież słyszę w twoim głosie, że coś nie gra.
- Obiecałam sobie, że ci o tym nie powiem - westchnęła.
- O czym?

W słuchawce zapadła głucha cisza.

- Annie?
- No dobra, spotkałam Joela. Serce zaczęło mi bić szybciej.
- Gdzie?
- W kawiarni przy Piątej ulicy. -I?
- Pytał o ciebie. Dosłownie zabrakło mi tchu.
- Coś mówił?
- To ja ci mówiłam, że nie powinniśmy o tym rozmawiać.
- Rzeczywiście, wspomniałaś o tym, ale teraz dokończ to, co zaczęłaś.
- Pytał, co u ciebie słyszeć.
- Powiedziałaś mu, że jestem na wyspie?
- Oczywiście, że nie. Ale powiedziałam mu, że się z kimś spotykasz.
- Annie, nie zrobiłaś tego!
- A właśnie, że zrobiłam. Skoro on może się bawić w dom z inną kobietą, powinien się dowiedzieć, że układasz sobie życie. - Jak zareagował?
- Jeśli spodziewasz się, że zawył z bólu, to muszę cię rozczarować. Ale też nie był szczególnie zachwycony. Zdradziła go jego twarz. - Co na niej wypatrzyłaś, Annie?
- Zraniła go wiadomość, że spotykasz się z kimś innym, głuptasie.

Moje serce biło teraz bardzo mocno. Usiadłam. Musiałam usiąść. Zrobiło mi się słabo i poczułam lekkie mdłości.

- Em, jesteś tam?

- Jestem.

- Widzisz? Nie powinnam ci była o tym mówić. Jeszcze nie doszłaś do siebie. Pamiętaj, że to Joel cię zostawił. To dość zdradziecki typ, jeśli mogę się tak wyrazić.

Wiedziałam o tym równie dobrze jak o piegach na swoim nosie, ale nieprzyjemnie było słuchać tego z ust Annabelle po raz kolejny. - Wiem, wiem. Masz rację. - Wyprostowałam się nieco. - Dobrze na tym wyszłam. Dobrze sobie radzę. - Czy możesz chwilowo zaprzestać używania słowa „dobrze”?

Uśmiechnęłam się szeroko. - Dobrze. Czy chcesz jeszcze zrzucić jakiś ciężar z serca?

- Tyle z mojej strony. Ale w twoim mieszkaniu przeżyłam prawdziwy dramat.

- Co się stało? - Zabrakło lodów.

Zanim wyjechałam z Nowego Jorku, urządziłam sobie miłą schadzka z lodami wiśniowymi o obniżonej zawartości tłuszczu.

- To musiało być ciężkie przeżycie.

- Do usłyszenia, kochana - pożegnała mnie.

Gdy tylko położyłam komórkę na stole, usłyszałam, że dzwoni telefon Bee. Odebrałam po czterech sygnałach. - Słucham.

- Emily, czy to ty?

- Mama?

- Witaj, skarbie. Czy doszły już do ciebie radosne wieści?

- Jakie wieści?

- Danielle jest w ciąży! - zawołała piskliwym głosem.

- Znowu? - Powinnam była powiedzieć „To wspaniale!” albo „Ach, jak wspaniale jest dać komuś życie!”, ale tylko wzruszyłam

ramionami. To było ich trzecie dziecko, ale równie dobrze mogłoby być trzynaste.

- Tak, termin ma na listopad - ciągnęła. - Czy to nie cudowne?

Tak powiedziała, ale ja usłyszałam: „Czemu nie możesz być taka jak twoja siostra?” Wyczułam, że zaraz zaczniesz wygłaszać peany na cześć Danielle, więc szybko zmieniłam temat.

- Bee przekazała mi, że dzwoniłaś. Czy o tym chciałaś mi powiedzieć?

- Tak, ale, skarbie, dowiedziałam się o Joelu. Martwię się o ciebie. Jak się trzymasz?

Zignorowałam jej pytanie.

- A skąd się o tym dowiedziałas?

- Och, skarbie. To nieważne.

- Dla mnie ważne, mamó.

- No cóż, twoja siostra mi powiedziała.

- A skąd ona wiedziała? Przecież nie rozmawialiśmy z sobą od miesiący.

- Chyba przeczytała o twoim rozwodzie w ogólnościowej sieci komputerowej - odparła. Moja mama była chyba jedyną osobą na świecie, która w ten sposób nazywała internet. Miało to swój urok. Facebook, no tak. Rzeczywiście, zmieniłam status swojego związku tuż po tym, jak zrobił to Joel. Było w tym coś bardzo, bardzo niestosownego, że własna matka dowiaduje się o rozwodzie córki ze strony na Facebooku.

- Nawet nie wiedziałam, że Danielle ma konto na Facebooku - powiedziałam nadal nieco zaskoczona.

- Hm, może to sobie zgooglowała. Westchnęłam ciężko.

- Chodzi mi o to, że Danielle wie. Ty wiesz. Wszyscy wiedzą. Chciałam ci powiedzieć, mamó. Kiedyś bym ci powiedziała. Chyba nie byłam gotowa, żeby mówić o tym rodzinie. Nie chciałam martwić ciebie i taty.

- Och, skarbie. Przykro mi, że musisz przez to przechodzić. Dajesz sobie jakoś radę?

- Daję sobie świetnie radę.

- To dobrze - odparła. - Skarbie, czy chodziło o inną kobietę?

Wszyscy, którzy słyszeli o końcu mojego małżeństwa, zadawali to właśnie pytanie, więc nie czułam do mamy żalu, że chciała zaspokoić swoją ciekawość.

- Nie - powiedziałam. - To znaczy tak, ale nie, nie chcę o tym teraz rozmawiać.

Spojrzałam w dół na skręcony kabel od telefonu, który tak ciasno nawinęłam na swój palec, że krew prawie do niego nie dopływała. Nie byłam pewna, czy jestem zła na to, że mama zadaje wścibskie pytania, czy na to, że Joel dostarczył jej ku temu powodu. Czułam jednak, że boli mnie palec, więc skupiłam się na nim, a mama trąkotała dalej. Wyobraziłam ją sobie, jak stoi w kuchni obok tej okropnej kuchenki elektrycznej w kolorze awokado, a rękawice kuchenne uszyte z bawełny we wszystkich kolorach tęczy wiszą zaczepione o uchwyt piekarnika.

- Martwię się, że będziesz teraz sama, skarbie. Nie chcę, żebyś skończyła jak twoja ciotka.

- Mamo - powiedziałam nieco ostrzejszym tonem, niż zamierzałam. - Nie chcę o tym teraz rozmawiać.

- W porządku, skarbie - odparła nieco urażona. - Chciałam ci tylko pomóc.

Myślę, że taki właśnie miała zamiar.

- Wiem. A skąd wiedziałaś, że jestem tutaj?

- Zadzwoiłam na numer twojego mieszkania. Annabelle powiedziała mi, że wyjechałaś do swojej ciotki.

Mama nigdy nie zwracała się do Bee po imieniu. Zawsze była tylko „moją ciotką”.

- Tak, zaprosiła mnie na cały miesiąc. Zostanę u niej do końca marca.

- Cały miesiąc? - Była poirytowana, a może odrobinę zazdrosna.

Wiedziała, że też chciałaby tu przyjechać, ale była zbyt dumna, by się do tego przyznać. Nie była na wyspie, od kiedy poszliśmy z Danielle do koledżu, czyli od kiedy ustały nasze wakacyjne wizyty.

- Mamo, chciałam cię jeszcze o coś zapytać. - O co?

- Rozmawialiśmy o tym z Bee. - Zamilkłam na chwilę.

- O czym, skarbie?

Wzięłam głęboki oddech, przygotowując się na silne emocje, które właśnie miałam zamiar wyzwolić.

- Powiedziała mi, że wiele lat temu miałaś jakieś zadanie do wykonania i że to zmieniło twój stosunek do niej.

Po drugiej stronie panowała przenikliwa cisza, więc kontynuowałam.

- Powiedziała, że dowiedziałaś się od niej prawdy o babci. Chciałabym wiedzieć, co miała na myśli.

Ucichły też dźwięki w tle - bawienia się łąpatką kuchenną i przesuwania garnków.

- Mamo, jesteś tam?

- Emily, co takiego powiedziała ci twoja ciotka? - spytała w końcu.

- Nic. Nie powiedziała mi nic prócz tego, że nie chciałaś już być częścią rodziny. Powiedziała, że to zmieniło wasze stosunki. - Spojrzałam przez ramię, by upewnić się, że Bee nie wisi nade mną. Nie było jej w pobliżu. - Powiedziała, że dlatego przestałaś do niej przyjeżdżać. Dlaczego, mamo? Co się wydarzyło?

- Cóż, obawiam się, że nie pamiętam szczegółów. Jeśli Bee powie ci coś jeszcze, na twoim miejscu bym jej nie wierzyła. Starzeje się i pamięć ją zawodzi.

- Mamo, ale...

- Wybacz Emily, ale nie chcę rozmawiać na ten temat.

- Mamo, zasługuję na to, żeby się dowiedzieć.

- Nie zasługujesz - odpowiedziała wprost.

Zmarszczyłam brwi.

- Skarbie, nie złość się. - Wyczuła zmianę mojego nastroju, jak tylko matki potrafią.

- Nie jestem zła.

- To się wydarzyło tak dawno, skarbie - ciągnęła. - Niektóre rzeczy warto zostawić w spokoju.

Z tonu jej głosu wywnioskowałam, że nic więcej z niej nie wycisnę. Bee, Evelyn i teraz moja mama dały mi wyraźnie do zrozumienia, że nie dopuszczą mnie do swojego sekretu. Jeśli chciałam zgłębić ich tajemnicę, musiałam znaleźć jakiś inny sposób.

Po drzemce Bee nalala sobie ginu z tonikiem i spytała, czy również miałabym ochotę.

- Jasne - odparłam.

Usiadłam wygodnie na kanapie i rozkoszowałam się pierwszym łykiem, który w smaku zawsze przypominał mi igły sosnowe.

- Czy oddzwoniłaś do swojej mamy? - zapytała Bee.

- Sama zadzwoniła jakąś godzinę temu. Chciała mi oznajmić, że Danielle spodziewa się kolejnego dziecka.

- Jeszcze jednego?

Ucieszyłam się, że reakcja Bee była tak podobna do mojej. Może dlatego że obie nie mamy dzieci, zgadzałyśmy się co do tego, że każdy, kto dobrowolnie decyduje się na więcej niż dwoje, musi być niespełna rozumu.

Wypiłam kolejny łyk drinka i zapadłam się głębiej w miękką poduchę z niebieskiego aksamitu.

- Bee, czy uważasz, że Joel zostawił mnie, bo nigdy dla niego nie gotowałam?

- Nonsens, kochanie - rzekła, odkładając swoją krzyżówkę. Siedząc na kanapie, podciągnęłam kolana aż po brodę i objęłam je ciasno rękami.

- Moja mama jest taka...

- Miała ciężko w życiu, ciężej niż przypuszczasz, Emily -przerwała mi.

Zaskoczyła mnie tym stwierdzeniem.

- Co masz na myśli?

- Chodź, coś ci pokażę.

Wstała i poszła w stronę korytarza, więc podążyłam za nią. Stała przed drzwiami trzeciego pokoju za moją sypialnią. Złapała za klamkę i sięgnęła do kieszeni, żeby wyciągnąć stamtąd pęk kluczy.

Wybrała mały złoty klucz i włożyła go do zanika.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i wkroczyliśmy do środka. Weszłam w pajęczynę i musiałam ją ściągnąć z twarzy.

- Wybacz, nie wchodziłam do tego pokoju od dłuższego czasu - powiedziała Bee.

Obok białej komódki stał dziecięcy stolik, na którym leżały na spodeczkach dwie różowe filiżanki, a tuż przy nim wiktoriański domek dla lalek. Przykucnęłam, żeby podnieść z podłogi porcelanową lalkę. Miała brudną twarz i zmierzwione włosy. Wyglądała, jakby dopiero co zostawiła ją tam jakaś mała dziewczynka.

- Czyj to pokój? - spytałam zdezorientowana.

- Należał do twojej mamy. Mieszkała ze mną jakiś czas, gdy była bardzo mała - odparła.

- Dlaczego? A co z babcią i dziadkiem?

- Coś się wydarzyło. Oni... próbowali ratować swoje małżeństwo, więc zaproponowałam im, żeby twoja mama przyjechała do mnie na jakiś czas. - Bee westchnęła cicho i uśmiechnęła się do siebie. - Była najśłodszą dziewczynką na świecie. Urządzałyśmy sobie wspaniałe zabawy.

Gdy otwierała drzwi szafy i przetrząsała jej zawartość, zastanawiałam się, co mogło skłonić moich dziadków do tego, by zostawić swoje dziecko u Bee. W końcu na górnej półce znalazła pudełko po butach. Wyciągnęła je i zdmuchnęła z pokrywki warstwę kurzu.

- To dla ciebie - powiedziała, podając mi swoją zdobycz. - Mam nadzieję, że dzięki temu lepiej poznasz swoją mamę.

Bee wyciągnęła z kieszeni pęk kluczy i zaczęła nimi potrząsać, co było sygnałem do odwrotu.

Wyszliśmy na korytarz.

- Dziękuję - powiedziałam, patrząc z niecierpliwością na pudełko w moich rękach

Bee odwróciła się w stronę swojego pokoju i odparła:

- Do zobaczenia przy kolacji.

Położyłam pudełko na łóżku w swojej sypialni. Co mogło być w środku? Czy mama pozwoliłaby mi grzebać w swoich rzeczach?

Podniosłam pokrywkę i zajrzałam do środka. Na wierzchu leżały trzy wysuszone róże związane błyszczącą czerwoną wstążką. Gdy podniosłam ten mały bukiet, trzy delikatne płatki spadły na podłogę. Następne w kolejności były: dziecięca książeczka z obrazkami; długie szare pióro, prawdopodobnie mewy; spinka do włosów; para maleńkich białych rękawiczek i wreszcie mały album oprawiony w skórę. Dopiero gdy podeszłam z nim do okna, zobaczyłam, że były w nim wycinki. Otworzyłam go i z uczuciem zaczęłam przeglądać. Na pierwszej stronie w otoczeniu maleńkich kwiatków napisane było słowo „Matka”. Z trudem powstrzymując łzy, przewróciłam stronę i znalazłam kolaż wycinków prasowych, z których patrzyły na mnie ufryzowane kobiety w starannie wyprasowanych sukienkach. Były tam też suszone kwiaty i czarno-białe zdjęcia. Na jednym zobaczyłam dziecko, na drugim mały i prosty dom ze starym samochodem zaparkowanym na podjeździe. Co to wszystko znaczy? Dlaczego moja mama stworzyła ten album i dlaczego Bee chciała, bym go zobaczyła?

Milczenie Bee przy kolacji oznaczało, że nie chce ze mną rozmawiać na temat tajemniczego pokoju i pudełka pełnego skarbów,

więc postanowiłam nie kusić losu. Sprzątnęłam ze stołu i zanim zdążyłam włożyć naczynia do zmywarki, zadzwonił telefon.

- Kochanie, odbierz proszę - odezwała się Bee z korytarza.
 - Chyba pójdę już spać. jestem wykończona.
 - Dobrze - krzyknęłam i podniosłam słuchawkę. - Słucham.
 - Emily?
 - Przy telefonie.
 - Tu Evelyn.
 - O, witaj Ev.
 - Nie, nie, Bee nie może się dowiedzieć, że dzwonię.
 - W porządku - odparłam, ostrożnie dobierając słowa.
 - Co słychać?
 - Potrzebuję twojej pomocy.
 - W czym? Dobrze się czujesz?
 - Tak, to znaczy, nie. Muszę z tobą porozmawiać. W cztery oczy.
 - Chcesz, żebym do ciebie przyszła?
 - Tak - odparła. - Mój dom jest tuż przy plaży, skarbie. Duży dom z altaną porośniętą wisterią, jakieś sześć domów za Henrym. Jest trochę chłodno, więc weź ze sobą płaszcz.
- Nie powiedziałam Bee, że wychodzę z domu. Pożałowałam tej decyzji, jak tylko znalazłam się na plaży. Nadchodził przypływ, przez co woda wydała mi się groźna. Była jak prześladowca, który wyciąga swoje spienione macki na brzeg i robi słodkie oczy na widok moich stóp. Wyobraziłam sobie, że to nietoperze przelatują nad moją głową, choć były to najprawdopodobniej mewy moszczące się na noc w koronach drzew. Zapięłam płaszcz i kazałam sobie patrzeć wyłącznie przed siebie. Minęłam dom Henry ego, gdzie światła były już pogaszone, i zaczęłam liczyć. Raz, dwa, trzy. Na zboczu

przycupnęły przytulne domy. Cztery, pięć, sześć, siedem. Zastanawiałam się, czy dobrze zrozumiałam instrukcje Evelyn. Osiem, dziewięć.

Wreszcie w oddali zobaczyłam jej dom. Wisteria porastająca altanę była wiotka i ogołocona z liści, ale gdzieś głęboko wśród jej gałęzi czaiła się zapowiedź wiosny. Kiedy przyjrzałam się jej z bliska, zobaczyłam, że z pnia wyrasta kilka bladozielonych pędów. Gdy odnalazłam ścieżkę prowadzącą do domu, na jej końcu zobaczyłam Evelyn siedzącą na werandzie na fotelu bujanym. Miała na sobie koszulę nocną, a jej włosy, zazwyczaj starannie ułożone, były w nieładzie.

- Dziękuję, że przyszedłaś - przywitała mnie uściskiem dłoni.

- Nie ma za co - odparłam.

Z poszarzałą twarzą wydawała się słabsza niż jeszcze parę dni temu.

-To przez tego raka jesteś...

- Mamy dziś taki piękny wieczór - przerwała mi. Przytaknęłam.

Wskazała na drugi fotel bujany stojący obok, więc usiadłyśmy.

- Będzie mi brakować wyspy - powiedziała bardziej do siebie niż do mnie.

Przełknęłam ślinę. Spojrzała na wybrzeże.

- Wiedziałaś, że przychodziłyśmy tutaj z twoją ciotką, żeby kąpać się nago? Po prostu zrzucałyśmy z siebie ubranie i dawałyśmy nura w wodę. - Odwróciła się w moją stronę. - Powinnaś spróbować. To wspaniałe uczucie, kiedy stary Puget omywa twoje ciało cal po calu.

W odpowiedzi powinnam się serdecznie zaśmiać, ale mogłam się zdobyć tylko na półśmiech. Co można powiedzieć osobie, która wspomina wydarzenia ze swojego życia być może po raz ostatni?

- Zaopiekujesz się nią, prawda?

- Oczywiście, że tak - odparłam, patrząc jej prosto w oczy. - Obiecuję.

- Wiesz, że Bee nie ma najłatwiejszego charakteru, ale kocham ją tak samo mocno jak tę wyspę.

Łzy zakręciły się jej w oczach. - Po śmierci mojego męża powiedziała mi, że nie jestem sama, że nigdy nie będę sama. Od kiedy pojawiła się w moim życiu, nigdy nie czułam się samotna.

Kiwnęłam głową.

- To nie w porządku, że ją zostawiam. Nie tak powinno być.

Wstała i podeszła do krawędzi werandy. Choć była słaba, wymachiwała zaciśniętymi pięściami, jakby grożąc wyspie, wyzywając ją na pojedynek.

Podeszłam do niej i przytuliłam ją, a ona wtuliła głowę w moje ramię.

Otarła łzy i ponownie usiadła.

- Nie mogę znieść myśli, że ją zostawiam. Przysunęłam się do niej tak, aby z bliska zobaczyła moją twarz.

- Nie martw się. Zadbam o nią najlepiej, jak potrafię. Odetchnęła z ulgą.

- Cieszę się. Wejdiesz na chwilę do środka? Mam coś dla ciebie.

Weszliśmy do środka przed frontowe drzwi. Poczułam na twarzy przyjemne, ciepłe powietrze.

Stan zdrowia Evelyn sprawiał, że jej salon wyglądał na pokój chorego. Na stoliku leżały porozrzucane magazyny, książki, poczta i inne papiery. Obok nich stała kolekcja brudnych szklanek i naczyń z resztkami jedzenia.

- Wybacz, że taki tu bałagan - powiedziała cicho.

- Proszę, nie przepraszać.

- Chyba zostawiłam to w drugim pokoju. Zaraz wracam. Nie wiedziałam, czym to jest, ale widać było, że Evelyn bardzo zależało na znalezieniu tego.

- Dobrze, poczekam - odparłam.

Wiedziałam, że nie mam zbyt wiele czasu, więc szybko zebrałam brudne naczynia i włożyłam je do zmywarki. Wyrzuciłam stertę zużytych chusteczek, przeniosłam pocztę do kuchni, żeby łatwiej ją było posortować, i wytarłam do czysta stolik

w salonie. Gotowe. Potem usiadłam na kanapie przy oknie. Moją uwagę zwrócił stojący w pobliżu regał. Na półkach Evelyn wystawiła pamiątkowe drobiazgi i ramki ze zdjęciami.

Tuż obok wazonu wypełnionego morskimi skorupiakami stało zdjęcie ślubne Evelyn. Stojąc u boku swojego wysokiego męża, wyglądała pięknie i elegancko. Zastanawiałam się, jakim był człowiekiem i dlaczego nigdy nie mieli dzieci. Były też zdjęcia psów - Jack Russell terrier i jamnik miały wygląd tak dorodny, jakby dostawały na kolację same ciastka. Wtem zobaczyłam portret kobiety i natychmiast ją rozpoznałam, bo widziałam ją na zdjęciu w domu Henry'ego. Tym razem uśmiechała się, stojąc obok kogoś. Zmrużyłam oczy, żeby lepiej się przyjrzeć. Stała obok Bee.

Usłyszałam dźwięk za moimi plecami, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam przed sobą Evelyn. Nie słyszałam, kiedy weszła do pokoju.

- Kim ona jest, Evelyn? - spytałam, wskazując na zdjęcie. - Widziałam ją u Henry'ego, a Bee nie chce mi powiedzieć. Muszę to wiedzieć.

Evelyn usiadła, ściskając coś w dłoniach.

- Była kiedyś narzeczoną Henry'ego - odparła.

- I twoją przyjaciółką?

- Tak. Kochałam ją bardzo.

Westchnęła i podeszła do mnie ociężałym krokiem. W jej twarzy dostrzegłam znużenie - i bliskość końca.

- Proszę - powiedziała, podając mi kopertę starannie złożoną na pół. - Chcę, żebyś przekazała to Bee.

- Od razu?

- Nie, gdy odejdę. Przytaknęłam.

- Dziękuję, Emily. - Ścisnęła moją dłoń. - Wiesz, że jesteś absolutnie wyjątkowa? To wszystko - zamilkła, wskazując na zatokę. - To wszystko jest częścią większego planu. Pisane ci było się tu zjawić. Jesteś teraz bardzo potrzebna, kochanie. Bardzo potrzebna.

Przytuliłam ją, zastanawiając się, czy nie robię tego po raz ostatni.

- Naprawdę zamierzasz to zrobić? - zapytała Rose, gdy wróciłam do stolika i powiedziałam jej, co w swoim liście zaproponował mi Elliot: albo spotkam się z nim dziś wieczorem i zaczniemy razem nowe życie, albo pożegnam się z nim na zawsze.

Gra toczyła się o wysoką stawkę. Zacisnęłam rękę na kopercie tak kurczowo, jakby była to jego dłoń. Moje kłykcie zbieleły, gdy wbijałam paznokcie w skórę. Wydawało mi się, że jeśli puszczę jego list, odpuszczę sobie Elliota, a nie mogłam pozwolić mu odejść. Ani teraz, ani już nigdy.

- Nie wiem - odparłam i rzeczywiście nie miałam pojęcia.

Czy uda mi się wymknąć niepostrzeżenie? Mała zasypiała dopiero po dwudziestej. Co powiem Bobby'emu, gdy spyta, dokąd wychodzę? Sklepy nie były czynne do tak późna, więc nie mogłam skłamać, że potrzebuję jajek albo mleka. Nawet jeśli znajdę jakiś sposób, żeby się spotkać z Elliotem, co takiego mam mu powiedzieć? Co mam zrobić? To właśnie przerażało mnie najbardziej. Co, do jasnej anielki, mam zrobić?

- Esther - zaczęła spokojnym tonem Rose. - Chcę, żebyś wiedziała, że cokolwiek postanowisz, będę zawsze stała po twojej stronie.

Bobby wrócił do domu wcześniejszym promem, już o siedemnastej, i zaskoczył mnie bukietem żonkili z hali targowej Pike Place.

- Wybrałem takie, żeby ci się spodobały - powiedział. - Pamiętałem, że żonkile to twoje ulubione kwiaty.

Nie wyjaśniłam mu, że się pomylił, bo najbardziej lubiłam tulipany. Zamiast tego przytuliłam go i podziękowałam za prezent.

- Zajmujesz się dzieckiem i tyloma rzeczami, że pewnie zapomniałaś - ciągnął - ale ja pamiętałem. Spojrzałam na niego zdziwiona. Dziś nie były ani moje urodziny, ani Dzień Matki.

- O czym zapomniałam, Bobby?

- Wszystkiego najlepszego z okazji naszej rocznicy! - wykrzyknął radośnie. - Postanowiłem złożyć ci życzenia dzień wcześniej, bo już nie mogłem się doczekać. Chciałbym cię gdzieś zabrać dziś wieczorem, żeby uczcić nasz wspólny rok.

Było tyle innych wieczorów, w które mógł mnie zaskakiwać, więc dlaczego musiał wybrać akurat ten? Los lubi płatać figle, ale tym razem poczułam, jakby zdzielił mnie po twarzy zimną, okrutną ręką.

- A co z dzieckiem? - spytałam z nadzieją, że znajdzie lukę w jego planie.

Mała sięgnęła swoją miniaturową rączką do mojego naszyjnika i złapała za rozgwiążdę, gaworząc przy tym słodko. Nagrodziłam ją za ten wyczyn całusem w policzek.

- Zająłem się tym. Moja mama przyjedzie się nią zająć.

Nie mógł wybrać bardziej nieodpowiedniego momentu. Będę dziś wieczorem z Bobbym, choć chciałabym być z Elliotem.

Bobby zabrał mnie do Crow's Nest, pięknej restauracji z widokiem na zatokę położonej na wzgórzu tuż przy skalnym urwisku. Z Elliotem byliśmy tam wiele razy, ale z Bobbym po raz pierwszy.

Wynikało to z tego, że Bobby był dość oszczędny. Wydawanie pieniędzy na kolacje poza domem

nie było w jego stylu. Nic więc dziwnego, że otworzywszy przede mną sękate sosnowe drzwi restauracji, wszedł do środka dumnym krokiem.

- Wszystko, co najlepsze, dla mojej Esther - powiedział, gdy zajmowaliśmy miejsca przy stoliku. Przyniesiono nam nie wcześniej niż o dziewiętnastej trzydzieści. Bez względu na to, jak szybko wystukiwałam rytm stopą, jak mocno zaciskałam zęby i jak często patrzyłam na zegarek, wieczór niemiłosiernie się przedłużał.

Bobby nie zauważył, że jestem w złym nastroju, bo był zbyt zajęty przepytywaniem kelnera: „Czy kaczka podawana jest z sosem winnym?”, „Czy ostrygi są świeże?”, „Czy ziemniaki są puree czy z wody?”, „Czy zamiast sałatki możemy dostać zupę?”.

Stukając palcami po udzie ukrytym pod stołem, próbowałam dać upust rosnącej frustracji. Kątem oka dostrzegłam, że ktoś patrzy w moją stronę, więc zerknęłam na bar. Siedział przy nim Billy, mój licealny chłopak, w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Obaj byli w garniturach. Billy trzymał w ręku drinka i miał trochę zapuchnięte oczy. Oświadczył mi się tuż przed Homecoming, kiedy byliśmy w przedostatniej klasie. Dał mi pierścionek, a ja powiedziałam „tak”. Nie, powiedziałam „może”.

Kochałam Billy'ego i świetnie się razem bawiliśmy, ale to było, zanim poznałam Elliota. Frances twierdziła, że nigdy nie doszedł do siebie po rozstaniu ze mną. Zobaczyłam dziś w jego oczach coś, co kazało mi przypuszczać, że miała rację. Myślałam, że mnie znienawidzi za zerwanie, ale nie zrobił tego nawet na ułamek sekundy. Tego wieczoru odniosłam wrażenie, że nawet mi współczuje.

Pomachał do mnie znad baru, a ja z uśmiechem mu odmachałam.

- Kto to? - zapytał Bobby.

- Billy, mój kolega - odparłam, wskazując na bar. Bobby również odwrócił się w jego stronę, choć miał ku temu inny powód. Chciał podkreślić, że należę do niego. Czasami odnosiłam wrażenie, że Bobby nie kochał mnie, tylko swoje wyobrażenie o mnie. Byłam jego trofeum, które lubił polerować i od czasu do czasu obnosić się z nim na zewnątrz.
 - Esther - zaczął, po tym jak przyniesiono naszą kolację i wypił jednym haustem dwa piwa. - Tak sobie pomyślałem, że może - ściszył głos - może powinniśmy się postarać o drugie dziecko. Rozlałam wodę na kolana, gdy tylko usłyszałam słowo „dziecko”.
 - Co ty na to, skarbie?
 - No cóż, czy to nie trochę za wcześnie? Przecież mała ma dopiero cztery miesiące.
 - Pomyśl o tym. Kiwnęłam głową.
- Skończyliśmy kolację i Bobby zaproponował, żebyśmy zjedli deser.
- Mam ochotę na baklavę od czasu, gdy Janice przyniosła mi kawałek do biura w zeszłym tygodniu - powiedział.
 - Dlaczego przyszła do twojego biura?
 - Była z kimś umówiona piętro niżej - odparł, ścierając z ust kilka okruszków. - Zaszła, żeby się przywitać. - Wziął do ręki menu i zniżył okulary na swoim nosie. - Dasz się namówić na deser, skarbie?
- Nie, nie dam się namówić na nic, prócz wyjścia stąd. Spojrzałam na zegarek: dochodziła dwudziesta pierwsza trzydzieści. Elliot nie umówił się ze mną na konkretną godzinę, ale robiło się późno, prawie za późno. Jeśli miałam się z nim spotkać, musiałam się zebrać już niedługo.
- Nie, dziękuję - odpowiedziałam. - Jestem już zmęczona. Może skończymy na dzisiaj?

Bobby zapłacił rachunek, a kiedy mieliśmy wychodzić, umyślnie upuściłam torebkę tak, żeby wpadła pod stół. To będzie dobry pretekst.

W domu Bobby podziękował swojej mamie i odprowadził ją do drzwi, a ja zaszłam do małej, która spała smacznie w swoim łóżeczku. Z niecierpliwością liczyłam mijające minuty. W końcu Bobby przebrał się i położył do łóżka, oczekując, że pójde w jego ślady.

- A niech to. - Udałam wzburzenie. - Zostawiłam torebkę w restauracji.

- Ojej - odparł, sięgając po spodnie, które przed chwilą zawiesił na krześle. - Już po nią jadę.

- Nie musisz, ja pojedę. Ty wcześniej rano wstajesz do pracy. Poza tym w drodze powrotnej chciałam zajechać do Frances, bo zapomniałam jej coś zostawić. - Serce waliło mi jak oszalałe. Cóż za genialny pomysł. Tym sposobem zyskałam dodatkowe trzydzieści minut.

- Ale już tak późno, Esther. Kobieta nie powinna być sama poza domem o tej porze.

- Nic mi się nie stanie - odparłam. Ziewnął przeciągle i wrócił do łóżka.

- W porządku, ale nie siedź za długo. Obudź mnie, kiedy wrócisz, żebym się nie martwił.

- Dobrze - obiecałam.

Ale wiedziałam, że go nie obudzę. Wrócę zbyt późno. Gdy zamykałam drzwi wejściowe, z końca korytarza dobiegało głośnie chrapanie.

Tej nocy jechałam buickiem szybko - za szybko. Minęłam restaurację i dom Frances, po czym skręciłam w długą drogę prowadzącą do domu Elliota. Kilka razy patrzyłam w lusterko wsteczne, żeby sprawdzić, czy nikt mnie nie śledzi.

Było już po jedenastej, gdy zaparkowałam samochód na ulicy przed jego domem. Wygładziłam ręką wełniany bliźniak i palcami przeczesalam włosy. Byłam zła na siebie, że nie ułożyłam ich szczotką przed wyjściem ani nawet nie spojrzalam w lustro. Ścieżka wiodąca na plażę nie była oświetlona, ale pamiętałam każdy jej kamień.

Była pełnia. Księżyc rozświetlał niebo i fragment plaży, który znałam tak dobrze. Kochaliśmy się na niej po raz pierwszy i po raz ostatni. Rozejrzałam się dookoła. Spodziewałam się, że zobaczę go siedzącego na pniu drzewa albo leżącego na kocu pośród piasku. Czekał tak na mnie wiele lat temu. Podawał mi na powitanie kawałek szkiełka wygładzonego przez morze albo znalezionej przez siebie piękną muszlę do mojej kolekcji, a potem padaliśmy sobie w objęcia.

Ale nigdzie go nie było. Spóźniłam się.

W domu było ciemno. Czy już wyjechał? Przestraszyłam się na samą myśl o tym. Od dawna prześladowało nas złe wyczucie czasu, więc jak mogłam oczekiwać, że tym razem będzie inaczej? Mimo to poczułam w sercu przeszywający ból - zupełnie, jakby ktoś przebił je nożem. Wróciłam na ścieżkę i pobiegłabym wałem w kierunku samochodu, gdybym tuż pod stopami nie zobaczyła błysku jasnioletowych płatków. Z niedowierzaniem potrząsnęłam głową. Leśne fiołki? Nie widziałam ich, od kiedy byłam małą dziewczynką i pojawiły się któregoś lata w ogródku mojej babci. Nigdy nie widziałam ich przy domu Elliota. Jakim cudem się tu znalazły?

Wiele osób na wyspie, włączając w to mnie, wierzyło, że te kwiaty posiadają magiczne zdolności, potrafią leczyć rany serca i ciała, uratować przyjaźń, a nawet przynieść szczęście. Przysiadłam przy nich i dotknęłam dłonią burofioletowego dywanu przetykanego bladozielonymi liśćmi.

Wstałam gwałtownie, gdy nocne powietrze przywiodło do mnie odległą muzykę. Od razu rozpoznałam melodię;

głosu Billy Holiday nie można pomylić z żadnym innym. To była piosenka *Body and Soul*. Szukałam Elliota wzrokiem na werandzie z przodu domu, ale zobaczyłam tylko wędkę opartą na ogrodzeniu. Wszystko wyglądało tak, jak zapamiętałam. Zupełnie jakby czas się zatrzymał. Wtem, zupełnie niespodziewanie, otulił mnie swoimi ramionami. Nie obruszyłam się ani nie próbowałam się uwolnić z jego uścisku. Znałam jego dotyk, znałam zapach jego skóry, znałam rytm jego oddechu - od dawna znałam je na pamięć.

- Jednak przyszedłeś - wyszeptał w moją szyję.

- Jak mogłam nie przyjść? - odparłam, odwracając się przodem do niego.

- Myślałeś o mnie?

- W każdej sekundzie każdego dnia - odpowiedziałam, pozwalając, żeby przytulił się do mnie całym ciałem.

Zniewalał mnie swoim dotykiem.

W jego pocałunku odnalazłam wszystko to, co pamiętałam tak dobrze. Był pełen ognia, gwałtowny i zachłanny. Oboje wiedzieliśmy, że nasze uczucie powróciło i było jak zawsze silne. Jak zawsze prawdziwe.

Usłyszałam szelest między drzewami przy drodze, nie zatrzymałam się jednak, żeby sprawdzić, skąd pochodzi. Nie chciałam się martwić - nie dziś, kiedy Elliot trzymał mnie za rękę i prowadził do swojego domu.

Weszliśmy do salonu. Odepchnął na bok krzesło, a potem stolik kawowy i położył mnie na skórze niedźwiedzia leżącej przed kominkiem.

Kiedy rozpinał guziki mojej sukienki, nie myślałam o Bobbym, mężczyźnie, z którym powinnam była spędzać rocznicę ślubu, ani o moim dziecku śpiącym w łóżeczku, ani o kłamstwie, dzięki któremu znalazłam się tutaj. Na twarzy czułam ciepło ognia, a na skórze oddech Elliota. I tylko to chciałam wtedy czuć.

8 MARCA

Staralam się nie analizować tego, co powiedział Jack. Ale czy nie mówił, że wróci z Seattle dzisiaj? Następnego ranka, jeszcze przed śniadaniem, spoglądałam na zegarek setki razy i błądziłam myślami gdzieś daleko. Rozmyślałam nad pocałunkiem Elliota i Esther. Chciałam, żeby ktoś pokochał mnie tak samo namiętnie, żeby obudził we mnie pożądanie tak samo naturalne i doskonałe.

Nie zadzwonił o jedenastej ani nie zadzwonił w południe. Dlaczego nie zadzwonił?

O czternastej wybrałam się na spacer po plaży, a jedynym dźwiękiem, jaki wydał mój telefon, było powiadomienie o SMS-ie wysłanym przez Annabelle.

O siedemnastej Bee spytała, czy przyrządzić mi drinka, bo sama chętnie by wypić. Odłożyłam telefon i powiedziałam:

- Zrób mi, proszę, podwójny.

Po godzinie Bee znów poszła do lanai, żeby uprawiać swoje czary na mocnych trunkach, ale tym razem nie zaproponowała mi kolejki.

- Musisz się przebrać, kochanie - przypomniała mi. - Greg zaraz tu będzie.

Prawie zapomniałam o moim spotkaniu z Gregiem. Prędko przeszłam do sypialni, żeby znaleźć coś odpowiedniego. Wybrałam niebieską dzianinową sukienkę z długim rękawem i dekoltem w serek.

Leżała doskonale i była przyjemna w dotyku.

Greg przyjechał punktualnie o dziewiętnastej i wyglądał, jakby dopiero co się wyszorował. Miał na sobie czyste dżinsy i świeżą białą koszulę, która wspaniale kontrastowała z jego opaloną skórą.

- Cześć - przywitał mnie, gdy podeszłam do jego samochodu. - Gotowa na chińszczyznę?

- Brzmi świetnie - odparłam. - Umieram z głodu.

Jadąc w stronę centrum, minęliśmy supermarket Town and Country i zaparkowaliśmy na głównej ulicy tuż przy skupisku restauracji i kawiarni. Wieczór był ciepły, przynajmniej jak na wyspę Bainbridge, więc garstka osób jadła kolację na świeżym powietrzu.

W restauracji Greg odszukał kierowniczkę. Z dyndającymi kolczykami i trwałą ondulacją wyglądała jak Mindy Alnwig, moja koleżanka z liceum.

- Jakies czterdzieści pięć minut temu złożyłem zamówienie przez telefon.

- Zgadza się - potwierdziła, przeżuwając gumę. - Już gotowe. W lokalu pachniało bardzo smakowicie: sosem syczańskim

i świeżo smażonymi sajgonkami.

Zapłacił i odebrał ogromne papierowe pudełko z zamówieniem. Kiedy szliśmy do samochodu, zauważyłam w pobliżu małą restaurację. Goście siedzieli na zewnątrz przy promiennikach. Wśród nich zobaczyłam Jacka.

Widziałam wyraźnie, że siedzi przy stoliku z kobietą, choć z miejsca, gdzie stałam, nie dostrzegłam jej twarzy. Mogłam za to podziwiać jej nogi wyeksponowane w krótkiej czarnej, która opinała jej uda. Pili wino i śmiali się, a kiedy Jack spojrział w stronę naszego samochodu, opuściłam daszek przeciwsłoneczny i odwróciłam głowę w drugą stronę.

Kim ona jest? Dlaczego nie wspomniał, że się z kimś spotyka? Może to tylko koleżanka. Ale skoro tak, to dlaczego o niej nie wspominał?

Greg przejechał niecałe dwa kilometry i skręcił na podjazd wysypany żwirem. Mówiąc szczerze, jego dom - żółty, w wiejskim stylu, z białym drewnianym płotkiem - był dla mnie sporym zaskoczeniem.

Greg i drewniany płotek?

- Jesteśmy na miejscu - odparł.

- Nie spodziewałam się tego - wyrwało mi się.

- Zaskoczona?

- Tak, bo wiesz, twój dom wygląda tak uroczo. Zupełnie, jakby Martha Stewart urządzała dom na farmie. Nigdy nie sądziłam, że będziesz chciał zamieszkać w takim miejscu.

Uśmiechnął się i wyciągnął kluczyk ze stacyjki. Podciągnięty brzeg rękawa ukazał fragment tatuażu, którego wcześniej nie zauważyłam.

Wnętrze domu było zbyt dopieszczane, by Greg mógł je dekorować samodzielnie. Wszystko do siebie pasowało - poduszki, sofa, dywan i kolory ścian. Na drzwiach wejściowych wisiał świąteczny wieniec. Wieniec. To musiała być sprawka kobiety. Który mężczyzna wybrałby pułą obitą tkaniną w zielone ornamenty?

Jednak po przyjrzeniu się z bliska stwierdziłam, że jeśli w jego życiu była jakaś kobieta, zniknęła jakiś czas temu. W zlewie piętrzyły się brudne naczynia, nikt nie wycierał szafek, a przy schodach stał ogromny kosz z rzeczami do prania.

- Tak to wygląda - powiedział Greg z lekkim zażenowaniem, jakby z powodu mojej wizyty zaczął postrzegać swój dom w nowym świetle.

Drzwi do łazienki były otwarte, więc rzuciłam na nią okiem. Deska sedesowa nie była opuszczona, a rolka papieru toaletowego wałała się po podłodze. Był to ostateczny dowód na to, że mieszkający tu mężczyzna jest singlem.

Greg położył na stoliku kawowym dwie serwetki, talerze i komplet pałeczek, po czym nalał nam wina.

- Podano do stołu - zaanonsował.

Nie była to kolacja porównywalna z tą przyrządzoną przez Jacka: brakowało lnianych serwetek i wyszukanych potraw. Ale gdy zobaczyłam Jacka w restauracyjnym ogródku, zaczęłam doceniać Grega nieco bardziej niż do tej pory. Ta kolacja była bardzo w jego stylu. Przynajmniej niczego nie udawał.

- Od jak dawna tu mieszkasz? - Chciałam szybko zaspokoić swoją ciekawość w kwestii mieszkającej tu, teraz lub dawniej, kobiety.

Spojrzał w sufit, jakby próbował zliczyć kolejne lata spędzone w tym miejscu.

- Od mniej więcej dziewięciu lat - odparł wreszcie.
- Ojej, od tak dawna? Przez cały czas mieszkałeś sam?
- Nie, miałem przez kilka lat towarzystwo - odpowiedział, ale nie sprecyzował, jakiej płci było.
- Doskonale sobie poradziłeś z urządzaniem wnętrza. Ślicznie to wygląda.

Greg wziął sobie dokładkę chow mein.

- Nadal nie mogę się nadziwić, że tamtego dnia tak po prostu na siebie wpadliśmy w supermarkecie.

Przełknęłam kęs dim sum.

- Ja też. Byłeś ostatnią osobą, którą spodziewałam się wtedy spotkać.

Spojrzał na mnie.

- Zawsze miałem nadzieję, że się jeszcze spotkamy.
- Ja też - odparłam. - Robiłam o to małe zakłady z samą sobą. Gdy tylko zobaczyłam jakąś kulę decyzyjną, potrząsałam nią, pytając: „Czy będę się znów całowała z Gregiem?” I wiesz co? Ani razu nie wypadło mi „nie”.

Greg popatrzył na mnie z przekorą w oczach.

- W jakich innych sprawach radzisz się kuli decyzyjnej? Uśmiechnęłam się i zatopiłam zęby w kolejnej sajgonce. Stwierdziłam, że mu nie powiem o potrząsaniu kulą w mieszkaniu Annabelle dzień przed złożeniem pozwu rozwodowego. Skończyliśmy kolację, a Greg dolewał mi wina w takim tempie, że straciłam rachubę co do ilości wypitych kieliszków.

Na zewnątrz było już ciemno, ale przez drzwi ogrodowe zobaczyłam skąpaną w świetle księżyca grządkę kwiatów.

- Chciałabym zobaczyć twój ogród. Mógłbyś mnie oprowadzić? - zapytałam.
- No pewnie - odparł Greg. - To mój mały raj na ziemi. Gdy wstałam, zakręciło mi się nieco w głowie. Greg pewnie to zauważył, bo wziął mnie pod rękę i wyprowadził na wyłożoną kamiennymi płytkami werandę.

- Tam rosną hortensje. - Wskazał odległy kąt ogrodu po lewej stronie. - A z tej grządki ścinam kwiaty do domu. W tym roku wzejdą tu liliowce, piwonie i dalje.

Straciłam jednak zainteresowanie tym, co mi pokazywał, bo tuż pod kuchennym oknem zauważyłam rząd tulipanów, białych z intensywnie czerwonymi końcówkami. Wyglądały przepięknie na tle żółtej ściany domu i podeszłam bliżej, żeby im się przyjrzeć. Nigdy wcześniej takich nie widziałam, ale wydawało mi się, że znam je dobrze. Takie same dostała kiedyś Esther od Elliota.

- Te tulipany są zachwycające - stwierdziłam nadal dość zaskoczona.

- Prawda? - Greg podzielał moje zdanie.

- Sam je zasadziłeś? - spytałam nieco oskarżycielskim tonem, jakbym spodziewała się, że w sypialni na piętrze jego domu, w zamkniętej szafie, siedzi związany i zakneblowany Elliot.

- Żałuję, ale nie. Odziedziczyłem je po poprzednim właścicielu. Co roku jest ich więcej, w tym będzie pewnie ponad czterdzieści.

Powtarzałam w myśli, że pamiętnik, który czytam, należy do świata fikcji, a nie rzeczywistości. Nie mogłam się jednak powstrzymać przed gdybaniem, czy Elliot i Esther choć raz spacerowali po tej wyspie. Może byli właśnie w tym miejscu.

- Od kogo kupiłeś ten dom? Zastanawiał się chwilę.

- Nie pamiętam jej nazwiska. To była starsza pani, którą dzieci przenieśli do domu w dzielnicy seniorów.

- Gdzie to jest? Gdzieś na wyspie?

- Nie, chyba w Seattle.

Kiwnęłam głową i znów spojrzałam na tulipany. Ich widok zapierał dech w piersiach.

- A czemu chcesz wiedzieć?

- Nie mam pojęcia - odparłam, sięgając po jeden z kwiatów. - Chyba po prostu lubię historie z przeszłości.

Greg przesłał mi to spojrzenie. Kiedyś padłabym po nim do jego stóp.

- Szkoda, że nasza historia nie zakończyła się inaczej. Poczułam na skórze jego oddech, który zapraszał do czegoś więcej, ale głos rozsądku mi to odradzał.

- Otwórzmy nasze ciasteczka z wróżbą - zaproponowałam, z trudem odrywając od niego wzrok.

- Nie, nie znoszę ciasteczek z wróżbą.

- Nie marudź, tylko chodź - pociągnęłam go za rękę. Kiedy usiedliśmy na kanapie, podałam mu jedno z ciasteczek, a drugie zostawiłam dla siebie.

- No otwórz.

Rozkruszył pół ciasteczka i wyciągnął mały kawałek papieru z napisem: „Znajdziesz odpowiedź na swoje pytanie”.

- Widzisz? Zupełnie bez sensu. Pasuje do miliona różnych sytuacji.

Otworzyłam swoje ciasteczko i w osłupieniu spojrzałam na słowa: „Znajdziesz prawdziwą miłość, spoglądając w przeszłość”.

- Co masz? - zapytał Greg.

- To bez znaczenia - odparłam. - Miałaś rację, same głupoty. - Ostrożnie wsunęłam wróżbę do kieszeni.

Greg przysunął się do mnie.

- A jeśli to prawda? Może to jakaś wskazówka? Może to o nas?

Siedziałam bez ruchu, gdy dotykał mojej twarzy. Zamknęłam oczy, gdy gładził mnie wzdłuż szyi, ramion i pleców.

- Wybacz. - Otworzyłam oczy i wysunęłam się z jego objęcia. - Nie mogę.

- Co się stało? - Wyglądał na zranionego.

- Sama nie wiem. Chyba brakuje mi do tego serca.

Nie powiedziałam mu jednak, że zanim zdążyłam się zorientować, oddałam je Jackowi.

- W porządku - odrzekł, patrząc na swoje buty.

- Powinnam już iść. - Przerwałam niezręczne milczenie a on wstał, żeby znaleźć kluczyki.

Zanim odjechaliśmy, zaszłam do ogrodu, żeby zabrać stamtąd tulipana.

Gdy wysiadałam pod domem Bee, Greg powiedział:

- Kimkolwiek jest, szczęściarz z niego.

- Kto taki?

- Facet, którego wybrałaś.

ROZDZIAŁ 10

9 MARCA

Następnego ranka w salonie rozległ się dźwięk telefonu. Był tak nachalny i przenikliwy, że wybudził mnie z całkiem przyjemnego snu. Czemu Bee nie odbiera? Przy dziesiątym dzwonku zupełnie nieprzytomna wstałam z łóżka i zdecydowałam, że sama się tym zajmę.

- Halo - tonem głosu chciałam zasugerować rozmówcy, co myślę o zrywaniu kogoś na równe nogi o siódmej czterdzieści pięć.

- Cześć, Emily. Mówi Jack.

Z miejsca oprzytomniałam. Przecież zapisałam mu numer swojej komórki na kawałku papieru, kiedy przyszedłam do niego na kolację. Dlaczego dzwoni na stacjonarny?

- Wybacz, że zrywam cię o takiej porze. Próbowałem dzwonić na komórkę, ale ciągle włączała się poczta głosowa. Więc jeśli nie jest za wcześnie...

- Nie, nie jest za wcześnie - wyjąkałam. Nie spodziewałam się, że jego telefon tak bardzo mnie ucieszy.

- To dobrze, bo pomyślałem, że moglibyśmy pójść na poranny spacer po plaży.

- Teraz?

- Teraz. Musisz zobaczyć, co się dzieje przy brzegu. Będiesz gotowa za dziesięć minut?

Powlokłam się na plażę. Chwilę potem zobaczyłam Jacka, a właściwie zarys jego sylwetki na horyzoncie. Z daleka pomachał mi na powitanie.

- Dzień dobry! - krzyknął z odległości około stu metrów.

- Cześć! - wykrzyknęłam w odpowiedzi.

Gdy się wreszcie spotkaliśmy, wskazał na miejsce przed nami.

- To, co chcę ci pokazać, pływa za tym cyplem.

- Pływa? Uśmiechnął się.

- Sama zobaczysz. Skinęłam głową.

- Jak ci się udał wyjazd do Seattle?

- Bardzo.

Dowiedziałam się tylko tyle.

- Wybacz, że wcześniej nie zadzwoniłem - dodał, ale nie wdawał się w szczegóły.

Minęliśmy cypel i poszliśmy dalej wzdłuż brzegu, który zakręcał łukiem obok zbocza. W końcu Jack zatrzymał się i zaczął się wpatrywać w zatokę.

- O tam - powiedział miękko.

- W którym miejscu? - spytałam, ale w tym momencie sama zauważyłam tryskający w powietrze strumień wody, a potem zarys ogromnego cielska tuż pod powierzchnią morza.

Zaśmiałam się jak dziecko, które zachwycił pajac wyskakujący z pudełka.

- Co to było?

- Orka - odparł z dumą Jack.

Bee często wspominała, że w okolicy pokazały się orki, ale mimo tych wszystkich wakacji spędzonych na wyspie nigdy nie udało mi się żadnej zobaczyć.

- Zobacz! - zakrzyknął Jack.

Już dwie orki płynęły obok siebie.

- Przepływają tędy co roku o tej samej porze - opowiadał. - Zawsze uwielbiałem je oglądać. Kiedy byłem małym chłopcem, siadałem tutaj - wskazał na kamień wielkości sporego pniaka wystający z piasku. - Zawsze w tym miejscu. Patrzyłem za nimi dopóty, dopóki nie odpłynęły.

Nie mogłam oderwać wzroku od morza.

- Co za widowisko. Spójrz, jak płyną, mają tyle siły, tyle determinacji. Bez jakiegokolwiek mapy potrafią określić cel swojej podróży - przerwałam, bo uderzyła mnie nagła myśl. - Jack?

-Tak?

- Powiedziałeś, że przychodziłeś tutaj jako mały chłopiec. Bywałeś też na wyspie w czasie wakacji?

- Owszem - uśmiechnął się do siebie. - Każdego lata. Dom, w którym teraz mieszkam, od dawna służył mojej rodzinie jako domek letniskowy.

- To dlaczego nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy?

- Nie wolno mi było chodzić plażą w tamtą stronę - odparł w zamyśleniu. - W stronę domu twojej ciotki.

Posłałam mu szeroki uśmiech.

- Ja nie mogłam chodzić w tę stronę. Inaczej pewnie byśmy na siebie wpadli chociaż raz.

Nasze spojrzenia się spotkały.

- Nie pamiętasz, prawda?

- Ale czego?

Żartobliwie pokręcił głową.

- Wybacz, ale nie pamiętam - odparłam, zastanawiając się, kiedy mogliśmy się spotkać.

- Miałaś czternaście lat i mogę dodać, byłaś prześliczna. Mój pies uciekł ze smyczy i pobiegł plażą aż pod dom twojej ciotki. Leżałaś razem z koleżanką na ręczniku plażowym i miałaś na sobie bikini.

Różowe. Max, bo tak się nazywał tamten pies, podbiegł do ciebie i polizał cię po twarzy.

- To byłeś ty?

- Jak najbardziej.
- Nie wierzę.
- Lepiej uwierz.
- O rety. Rzeczywiście pamiętam, że polizał mnie jakiś pies.
- Nie wyglądałaś na zachwyconą.
- O, a potem uciekł z moim sandałem w pysku - powiedziałam i natychmiast to wspomnienie zaczęło do mnie wracać.
- Niezły sposób, żeby zaimponować dziewczynie, co? Przekrzywiłam głowę i zaczęłam mu się intensywnie przyglądać.
- O rany, to niemożliwe, żebym nie pamiętała też ciebie. Byłeś chudzielcem?
- Byłem. - Miałeś aparat na zębach?
- Miałem.
- Czyli to jednak byłeś ty.
- We własnej osobie.

Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

- A to co? - zapytał Jack, udając, że mocno go tym zraniłam. - Chcesz przez to powiedzieć, że zupełnie ci się nie spodobał wysoki, niezgrabny wyrostek z aparatem na zębach i trądzikiem?
- Nie, nie o to mi chodzi - odparłam. - Po prostu, no cóż, teraz wyglądasz zupełnie inaczej.
- Nieprawda. Wyglądam dokładnie tak samo. No, może nie mam już trądziku. Ty też się za bardzo nie zmieniłaś. Chociaż, jak ci się teraz przyjrzeć, wyrosłaś na o wiele piękniejszą kobietę, niż kiedykolwiek mogłem przypuszczać.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Na mojej twarzy pojawił się radosny, pochodzący z głębi serca uśmiech. Został na niej już do końca naszego spotkania.

- Chcesz wpaść do mnie? - zaproponował. - Zrobię ci śniadanie.
- Chętnie - odparłam i bez zastanowienia podałam mu swoją dłoń.

Spletliśmy palce w sposób tak naturalny, jakbyśmy chodzili we dwoje za rękę setki razy. Co z tego, że wczoraj widziałam go na randce? Miałam wtedy swoją, więc jesteśmy kwita. Ważne, że teraz jesteśmy razem.

Siedząc na stołku, obserwowałam, jak Jack mieli ziarna kawy i kroi na pół pięć pomarańczy, żeby wycisnąć z nich sok. Potem wyciągnął miskę i po kolei wbijał do niej jajka. Byłam zafascynowana tym, jak poruszał się w kuchni - szybko, ale z wielką precyzją. Zastanawiałam się, czy Elliot kiedykolwiek przygotował Esther śniadanie.

- Mam nadzieję, że lubisz tosty po francusku?

- Lubie? To za mało powiedziane. Uwielbiam tosty po francusku.

Uśmiechnął się i zaczął bełtać jajka.

- I jak? Słyszałaś od ciotki jakieś przerażające historie na temat mojej rodziny?

- Niestety, nie. Nie chce mi zdradzić szczegółów. A może ty coś wiesz?

- Jestem ostatnią osobą, która mogłaby coś wiedzieć na temat trupa w rodzinnej szafie - odparł. -

Pamiętam tylko, że kiedy byłem mały, mój ojciec ostrzegł mnie, że nie jesteśmy mile widziani w domu Bee Larson. Przeraziłem się nie na żarty. Sądziłem, że Bee jest jak czarownica z bajki o Jasiu i Małgosi. Byliśmy z siostrą przekonani, że jak tylko pojawimy się w okolicy jej domu, to złapie nas i zamknie w lochu.

Na samą myśl o tym zachichotałam cicho.

- Byliśmy też pewni, że jej dom jest nawiedzony.

- Cóż, wcale się nie dziwię, że wam to przyszło do głowy - odpowiedziałam, myśląc o pokojach na piętrze, które w większości stały zamknięte na klucz, i o starych, skrzypiących podłogach. - Nawet ja czasami podejrzewam, że tam straszy.

Jack przytaknął, odmierzając łyżeczkę cynamonu, którą następnie wymieszał z rozbełtanymi jajkami.

- Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego nasze rodziny są skłócone. Powinienem być o to spytać mojego dziadka.

- O, widziałeś się z nim?

- Tak, mieszka w Seattle. Byłem u niego wczoraj. Odwiedzam go przynajmniej raz w miesiącu i spędzamy razem kilka dni.

- Może spytasz go o to następnym razem? - zasugerowałam. - Bóg raczy wiedzieć, kiedy zdołam coś wycisnąć z Bee.

- Dobrze, zapytam go - odparł.

Rozmowa o dziadku Jacka sprawiła, że zaczęłam myśleć o swoim. Jako dziecko uwielbiałam zaszywać się z nim na długie godziny w jego gabinecie. Siedziałam przy prowizorycznym biurku z tekturowego pudła i wpatrywałam się z zachwytem, jak dziadek pracuje przy dębowym sekretarzyku. On wypełniał blankiety, a ja udawałam, że piszę listy. Zawsze pozwalał mi lizać i przyklejać znaczki, zanim wrzucił swoją korespondencję do skrzynki.

W przeciwieństwie do niego, babcia Jane zmarła szybko i nagle, na zawał serca. Mama pytała, czy chciałabym wyjść w kościele na ambonę i podzielić się z ludźmi zgromadzonymi na pogrzebie jakimś wspomnieniem z nią związanym, ale wymówiłam się tremą przed publicznymi wystąpieniami.

Prawdziwa przyczyna była nieco bardziej skomplikowana. Stojąc nad jej trumną, rozejrzałam się dookoła. Mama płakała, tak samo Danielle. Dlaczego ja niczego nie czułam? Dlaczego nie mogłam wykrzesać z siebie choć odrobiny smutku, na jaki przecież zasługiwało to wydarzenie?

- Szczęściarz z ciebie - powiedziałałam Jackowi. - Tak myślisz?

- Masz dobry kontakt z dziadkiem.

- To prawda - potwierdził, zatapiając grube kromki chleba w rozbełtanych jajkach. Kiedy rzucał każdą z nich na rozgrzaną żeliwną patelnię, dało się słyszeć skwierczenie rozgrzanego masła. - Też byś go polubiła. Niezły z niego numer. Może miałabyś kiedyś ochotę go odwiedzić? Oszalałby na twoim punkcie.

- Skąd wiesz? - zapytałam z uśmiechem.

- Po prostu wiem.

Jack podał mi świeżo zrobioną kawę z parującego ekspresu.

- Chcesz mleko albo cukier?

- Samo mleko, dzięki - odparłam, patrząc, czy sobie też naleje, ale zamiast kawy sięgnął po szklanke soku pomarańczowego.

Annabelle prowadziła pseudonaukowe badania również na temat związków i preferencji kawowych. Wstępne wyniki, o ile można je nazwać wynikami, wykazały, że pary, które lubią tak samo przyrządzoną kawę, stworzą trwalsze małżeństwo.

Popijając kawę, weszłam do salonu, gdzie zastałam zwiniętego przed kominkiem Russa. Było mu wyraźnie błogo i jak wszystkie golden retrievery przypominał pluszową maskotkę. Usiadłam przy nim, żeby go pogłaskać, i zauważyłam, że z boku pyska przyczepił mu się mały kawałek zielonego papieru. Reszta zielonej, zupełnie przeżutej teczki leżała po jego prawej stronie. Obok niej walały się luzem jakieś dokumenty.

- Russ, ty łobuzie. Co tym razem dorwałeś? - skarciłam go. W odpowiedzi przewrócił się na bok i ziewnął. Pod jego brzuchem dostrzegłam kolejne wymięte dokumenty, które prawdopodobnie zostawił sobie na później. Podniosłam zaślinioną kartkę i przyjrzałam się jej z bliska. Większość tekstu była zamazana albo naderwana, ale dało się odczytać nagłówek „Komenda Policji w Seattle. Wydział osób zaginionych”. Nieco zaskoczona, odłożyłam kartkę i podniosłam kolejną - ksero wycinka prasowego z miejscowej gazety. Artykuł wyglądał na stary - poznałam po kroju czcionki - i również nie nadawał się już do niczego. - Emily? - zawołał z kuchni Jack.

Nerwowo wstałam i wypuściłam dokument z ręki.

- Jestem tutaj, z Russem. Chyba zjadł wczesny obiad. Jack wszedł od pokoju z talerzem tostów po francusku, ale szybko odłożył go na bok.

- Russ, wynocha stąd!

- Pomogę ci - zaproponowałam.

- Zostaw! - Od krzyku dzielił go jeden decybel. - Ja, wybacz, sam to zrobię. Zaraz to ogarnę.

Cofnęłam się nieco. Zastanawiałam się, czy zobaczyłam coś, czego nie powinnam była oglądać. Jack zebrał podarte i zaśli-nione kartki do teczki, po czym wcisnął ją w stos magazynów leżących na stoliku kawowym.

- Przepraszam cię za to. Chciałem, żebyś miała doskonałe śniadanie.

- Nic się przecież nie stało - odparłam. - Takie są uroki posiadania psa.

Patrzyłam, jak Jack układa na sobie kolejne tosty i posypuje całość cukrem pudrem.

- Gotowe - powiedział, podając mi talerz. - Oto twoje śniadanie.

Gdy sięgałam po widelec, w kuchni rozdzwonił się telefon.

- Niech się nagra na sekretarce - stwierdził.

Ugryzłam kęs i prawie omdlałam z zachwytu, ale wtedy rozproszył mnie głos kobiety, która nagrywała swoją wiadomość.

- Jack, mówi Lana. Chciałam ci podziękować za wspaniałą kolację wczoraj i...

Jack pognął do kuchni, żeby wyłączyć nagrywanie, zanim kobieta skończyła mówić.

- Wybacz - powiedział wyraźnie zażenowany. - To moja klientka. Spotkaliśmy się wczoraj, żeby omówić obraz, który u mnie zamówiła.

Nie spodobał mi się ton jej głosu - był stanowczo zbyt poufały. Chciałam mu zadać dwadzieścia pytań. Albo lepiej dwieście. Zamiast tego uśmiechnęłam się uprzejmie i jadłam dalej. Nie wątpiłam, że jest jego klientką, ale jeśli nic między nimi nie było, to czemu zareagował tak gwałtownie? Co próbował przede mną ukryć?

Gdy tylko usiadł i przeżuł pierwszy kęs, znów zadzwonił telefon.

- Co u licha? - powiedział.

Posłałam mu spojrzenie, które mówiło: „Po prostu idź i odbierz”, choć tak naprawdę chciałam wyrwać przewód ze ściany, żeby ta kobieta, kimkolwiek była, nie mogła już więcej zatelefonować.

- Przepraszam na chwilę - rzucił i pobiegł do telefonu.

- Słucham.

Przez chwilę milczał.

- To straszne - powiedział w końcu i znów zamilkł na dłużej. - Oczywiście. Zaraz ją poproszę.

Jack pojawił się w drzwiach salonu i ruchem ręki przywołał mnie do siebie.

- Dzwoni twoja ciotka.

Kiedy sięgałam po słuchawkę, serce prawie podskoczyło mi do gardła.

- Emily? - głos Bee zdradzał, że jest zrozpaczona i kompletnie zagubiona.

- Tak, to ja, Bee. Powiedz, co się stało.

- Wybacz, że ci przeszkadzam, kochanie, ale spotkałam na plaży Henry ego, który mi powiedział, że poszłście w stronę domu Jacka, więc ja, no cóż... - mówiła drżącym głosem.

- Bee, powiedz, o co chodzi.

- O Evelyn - prawie płakała z bezsilności. - Przyszła dziś do mnie na śniadanie i... i straciła przytomność. Zadzwoiłam na pogotowie, właśnie zabierają ją do szpitala.

Nie zawahałam się ani przez moment.

- Już do ciebie idę.

- Nie, nie - odparła. - Nie ma na to czasu, muszę z nią jechać już teraz.

- Rozumiem. W takim razie jedź, a ja was potem znajdę.

Nie spytałam jej, czy Evelyn zostały godziny czy może tylko minuty, bo przecież wiedziałam. Bee też to instynktownie wyczuwała - w końcu przyjaciółki od serca były jak bliźnięta, jak bratnie dusze.

Odwiesiłam słuchawkę.

- Zabrali Evelyn do szpitala. - Z niedowierzaniem potrząsałam głową.

- Zawiozę cię - odparł Jack.

Zerknęłam na stół z talerzami pełnymi najdoskonalszych tostów po francusku, które nagle straciły dla mnie cały swój urok.

- Zostawmy je - powiedział. - Jeśli wyruszymy od razu, będziemy w szpitalu za pół godziny.

ROZDZIAŁ 11

Najbliższy szpital, odległy o trzydzieści minut drogi, znajdował się w Bremerton, małym mieście na zachód od wyspy. Przejechaliśmy przez most na półwysep i od razu poczułam, jak znika niepowtarzalna aura Bainbridge. Zupełnie, jakbym spadła na ziemię z wysokości stratosfery.

Gdy dotarliśmy z Jackiem na miejsce, pobiegliśmy do recepcji, żeby spytać o numer sali Evelyn. Siedząca po drugiej stronie siwowłosa kobieta tak się guz-drała, że chciałam zrzucić ją z krzesła, przejąć kontrolę nad komputerem i samodzielnie wyszukać informację. Stukałam palcem o blat, więc pewnie domyśliła się reszty.

- O proszę, znalazła się. Szóste piętro - powiedziała wreszcie.

Odszukaliśmy salę, w której leżała Evelyn, ale Jack cofnął się w głąb korytarza.

- Zaczekam tu na ciebie.

- Nie wygłupiaj się, chodź - odparłam na to.

Nie chciałam, żeby czuł się jak osoba z zewnątrz, jak jakiś intruz. Już nigdy na to nie pozwolę.

Zdecydowałam, że opory Bee w stosunku do jego rodziny zostaną przełamane przez nowe pokolenie.

- Nie, lepiej idź sama. Będę tutaj, gdybyś mnie potrzebowała.

Nie naciskałam na niego, tylko skinęłam głową i otworzyłam drzwi sali. W środku tuż przy łóżku siedziała Bee i trzymała Evelyn za rękę.

- Emily, zostało nam mało czasu - powiedziała na powitanie.

- Och, przestań już, Bee - wtrąciła się Evelyn. Ucieszyłam się, że w jej głosie nadal słychać było wolę walki. - Nie pozwolę ci rozczulać się nade mną, płaczesz jak dziecko. Niech mnie ktoś wyciągnie z tej okropnej koszuli i da coś porządnego do ubrania. I na miłość boską, niech mi ktoś przyniesie drinka. Rozumiałam doskonale, dlaczego Bee tak ją kocha. Ja też ją kochałam.

- Cześć, Evelyn - przywitałam ją.

Gdy się uśmiechnęła, w jej oczach zobaczyłam zmęczenie.

- Cześć, kochanie - odparła. - Przykro mi, że moja stetryczka przyjaciółka wyciągnęła cię z ekscytującej randki.

Posłałam jej uśmiech.

- W sumie przeniosłam ją tutaj.

Bee spojrzała na mnie z przejęciem. Widać było, że bliska obecność Jacka wprawia ją w zakłopotanie. Evelyn zignorowała jej stan.

- Cała się rozpromieniasz, kiedy o nim mówisz.

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek usłyszała, że rozpromieniam się przy Joelu. Tak naprawdę było zupełnie odwrotnie. Znajomi twierdzili, że wyglądam w jego towarzystwie na zmęczoną i steraną życiem. - Dość już o mnie - przerwałam. - Jak się czujesz?

- Jak staruszka z rakiem - odparła. - Choć martini mogłoby mi nieco pomóc.

Bee wstała, jakby była to dla niej wystarczająca podpowiedź.

- No to dostaniesz swoje martini. Emily, zostaniesz tu z Evelyn? Zaraz wracam.

- Nigdzie się nie wybieram - zapewniłam ją.

To wspaniałe z jej strony, że próbowała spełnić ostatnie życzenie umierającej przyjaciółki, ale nie byłam pewna, jak

zamierzała tego dokonać. Pojedzie do sklepu monopolowego? Kupi shaker do drinków? No i musiała jakoś przemyścić to wszystko na oddział. Gdy tylko Bee wyszła, Evelyn nachyliła się w moją stronę.

- Jak ci idzie czytanie? - zapytała.

Podczepiona była do tak wielu kabli i monitorów, że dziwnie mi było rozmawiać z nią o czymkolwiek prócz jej choroby. Wyczułam jednak, że potrzebowała innego tematu.

- Nie mogę się oderwać.

- W którym momencie jesteś?

- Esther spotkała się z Elliotem w jego domu.

Evelyn mocno zacisnęła powieki, po czym znów je otworzyła.

- No tak.

Do sali weszła pielęgniarka i zaczęła majstrować przy kroplówce.

- Czas na kolejną dawkę morfiny - poinformowała. Evelyn zignorowała ją i nadal przyglądała mi się uważnie.

- I co o tym myślisz?

- O czym?

- O tej historii, kochanie. Historii ich miłości.

- Skąd znasz ich historię, Evelyn?

Zamilkła na chwilę i popatrzyła z uśmiechem w sufit, zanim zaciążyły jej powieki.

- Zawsze była dla mnie zagadką. Westchnęłam głęboko.

- Evelyn, kto?

Oddychała wolno i z trudem. Dotarło do mnie, że pewnie jej kroplówka zaczęła działać.

- Esther - rzekła miękko. - Och, jak bardzo ją kochaliśmy. Wszyscy ją kochaliśmy.

Evelyn przymknęła powieki, a ja ledwo powstrzymałam się przed zadawaniem dalszych pytań.

- Naprawisz to wszystko, kochanie. Wiem, że ci się uda. - Była tak słaba, że zaczynała bełkotać niezrozumiale. - Naprawisz to wszystko dla Esther i dla nas.

Chwyciłam ją za rękę i położyłam głowę przy jej głowie. Cały czas obserwowałam, jak jej klatka piersiowa unosi się i opada z każdym wyczerpującym oddechem.

- Nie martw się o to, Evelyn. Już nie musisz się martwić. Odpocznij sobie.

Bee wróciła zupełnie wyczerpana pół godziny później. W rękę niosła szarą papierową torbę.

- Evelyn, zaraz przygotuję twoje martini.

- Pst, właśnie zasnęła - powiedziałam.

Zwolniłam Bee zaszczytne miejsce u boku Evelyn. Chciałam, żeby po raz ostatni napawała się każdą chwilą spędzoną z przyjaciółką.

Jack spędził w poczekalni co najmniej godzinę, zanim wyszłam się z nim zobaczyć. Zdenerwowany wstał z miejsca na mój widok. -Czy ona...?

- Nie - odparłam. - Jeszcze nie. Bee z nią teraz jest. To ich ostatnie chwile razem.

- Czy mogę jakoś pomóc?

Podszedł do mnie i próbował coś wyczytać z mojej twarzy. Na samym środku poczekalni wziął mnie w ramiona i przytulił do siebie tak mocno jak jeszcze nikt dotąd. Znad jego ramienia popatrzyłam przez okno, choć widok nie był zbyt ciekawy. Szeroki chodnik był miejscami upstrzony kępkami mleczy dzielnie wyrastającymi wprost z asfaltu. Moją uwagę zwróciło zabite deskami kino. Na markizie przeczytałam „E.T.” i zastanawiałam się, czy wisiała tam od lat osiemdziesiątych.

Tym razem nie uciekałam wzrokiem i spojrzałam głęboko w oczy Jacka. Przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Choć przyszłość była niepewna, a wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi, nie mogłam zaprzeczyć, że w tym momencie poczułam, jakby wszystko było na swoim miejscu.

Evelyn zmarła kilka godzin po tym, jak wyszłam z jej sali, ale Bee zdążyła jej przyrządzić martini. W kilka minut zmieszała gin z wermutem, dodała lód i nieparzystą ilość oliwek na szczęście. Evelyn na chwilę otworzyła oczy i wspólnie wypily ostatniego drinka. Pożegnały się w najlepszy dla siebie sposób. Gdy tego wieczoru wróciłyśmy do domu, Bee zaserwowała nową kolejkę i wychyliłyśmy toast za pamięć Evelyn.

Zaproponowałam Bee, że z nią zostanę, by mogła się wypłakać na moim ramieniu, ale stwierdziła, że musi się wyspać.

Też potrzebowałam snu, lecz w głowie nadal słyszałam głos Evelyn. Skąd znała Esther? Jakim cudem pamiętnik znalazł się tutaj, w sypialni domu Bee? Dlaczego Evelyn twierdziła, że pamiętnik był kluczem do rozwiązania wielu zagadek? I dlaczego właśnie moim zadaniem było je rozwiązać?

ROZDZIAŁ 12

10 MARCA

Następnego ranka przebudziłam się wcześniej, ale nie mogłam już zasnąć, więc znów zaczęłam czytać pamiętnik.

Gdy wróciłam od Elliota, Bobby spał. Byłam tego pewna od chwili, gdy przekroczyłam próg domu, bo chrapał tak głośno jak wtedy, gdy wychodziłam. Przebrałam się i próbowałam wejść do łóżka. By go nie obudzić, odciągałam kołdrę centymetr po centymetrze. Długo leżałam na wznak, wpatrując się w sufit. Myślałam o tym, co zrobiłam i jak mam teraz postąpić, ale nie podjęłam żadnej decyzji. Później Bobby przysunął się i objął mnie ramieniem, przyciągając w swoją stronę. Domyśliłam się co, mu chodzi po głowie po tym, jak wtulił nos w moją szyję, ale przewróciłam się na drugi bok i udawałam, że śpię.

Niecierpliwie czekałam, aż Bobby wyjdzie rano do pracy. Zamierzałam zadzwonić do Frances i powiedzieć jej o wszystkim, co się wydarzyło. Chciałam usłyszeć jej głos i zyskać jej aprobatę, jednak po namyśle zadzwoniłam do Rose w Seattle.

- Widziałam się z nim wczoraj wieczorem - wyznałam

- Och, Esther - odparła. Nie potępiała mnie, ale też nie starała się mnie zachęcać. Ton jej głosu doskonale odzwierciedlał mój stan. Konieczność podjęcia jakiejś decyzji sprawiała, że byłam zarazem podniecona i zagubiona, a nade wszystko przerażona. - Co zamierzasz zrobić?

- Nie wiem. Zamilkła na chwilę.

- A co podpowiada ci serce?

- Oddałam je Elliotowi. Zawsze będzie do niego należało

- To już wiesz, co powinnaś zrobić - powiedziała tak po prostu.

Tego wieczoru przygotowałam Bobby'emu jego ulubiony posiłek: p,eczeń rzymską, ziemniaki z wody i polaną masłem tasolkę szparagową z dodatkiem tymianku. Na zewnątrz nic się me zmieniło, byliśmy szczęśliwym małżeństwem świętującym swoją rocznicę. Jednak na barkach czułam ogromny ciężar - dręczyło mnie poczucie winy.

Każde spojrzenie i pytanie, każdy dotyk Bobby'ego sprawiała, że bolało mnie serce.

- Co się w tobie zmieniło? - spytał podczas kolacji.

- Nic - odparłam szybko, martwiąc się, że czyta we mnie jak w otwartej książce.

- Chodzi mi o to, że wydajesz się inna - ciągnął. - Piękniejsza niż zwykle. Marzec ci służy.

Doszłam do wniosku, że sama sobie z tym nie poradzę, i postanowiłam iść do księdza, żeby wyznać mu w konfesjonale swoje sekrety.

Odświętnie ubrałam córeczkę i razem pojechałyśmy do kościoła Świętej Marii. Stukając obcasami o drewnianą podłogę, przeszłam do konfesjonałów umieszczonych przy prawej ścianie kościoła.

Weszłam do pierwszego z nich. Usiadłam i zaczęłam kołysać dziecko na kolanach.

- Ojcze, zgrzeszyłam - powiedziałam.

- Wyznaj mi swoje grzechy, dziecko.

Spodziewał się pewnie, że plotkowałam albo patrzyłam z zazdrością na sąsiada, albo popełniłam inny grzech powszedni. Jednak ja przyznałam się do czegoś nieprawdopodobnego.

- Spałam z mężczyzną, który nie jest moim mężem. Po drugiej stronie kratki zaległo głucho milczenie.

Było kłopotliwe, więc powtórzyłam swoje wyznanie.

- Ojcze, kocham Elliota Hartleya, nie mojego męża Bobby ego, co czyni ze mnie okropną kobietę.

Czekałam na znak, że ksiądz nadal tam jest i mnie słucha. Chciałam, żeby odpuścił mi grzech, kazał odmówić tysiąc zdrowasiek i ulżył mojemu poczuciu winy, bo nie mogłam z nim dłużej wytrzymać.

Zamiast tego odchrząknął i powiedział:

- Dopuszczałeś się cudzołóstwa, a Kościół nie może ci odpuścić tego grzechu. Idź do domu i wyznaj swój czyn mężowi. Módl się, żeby ci wybaczył, bo jeśli on to zrobi, Bóg również ci przebaczy.

Czy wszystkie grzechy nie są równe w obliczu Boga? Czy nie tę nowinę głoszono w szkółce niedzielnej, od kiedy byłam dzieckiem? Poczulałam się jak poganka, przed którą zamknęły się wrota nieba.

Skinęłam głową i wstałam, biorąc małą na ręce. Palił mnie wstyd, a wyrzuty sumienia tylko się wzmogły. Kiedy

wychodziłam z kościoła, masywne mosiężne drzwi zatrzasnęły się za mną z hukiem.

- Witaj, Esther - odezwał się za mną kobiecy głos z parkingu.

Odwróciłam się i zobaczyłam Janice idącą w moją stronę z dziwnym uśmiechem na twarzy, ale nie zważając na nią, poszłam przed siebie.



Minął kolejny dzień. Bobby wrócił z pracy i chciałam mu wszystko wyznać. Nie mogłam jednak zmusić się do użycia tych ordynarnych słów, które były niezbędne do wytłumaczenia mu, co zrobiłam. Nie mogłam z siebie wydusić, że oddałam się innemu mężczyźnie. Bobby był zawsze pogodny i radosny, nawet gdy ja byłam w kiepskim nastroju. Był dla mnie zbyt dobry. Nie mogłam rujnować mu życia.

Następnego ranka, gdy Bobby wyszedł do pracy, zadzwonił telefon, który sprawił, że na nowo podałam w wątpliwość wszystkie swoje decyzje i uczucia.

- Pani Littleton? - spytała kobieta na drugim końcu linii.

- Tak, to ja - odparłam.

- Mówi Susan ze Szpitala imienia Harrisona. Dzwonię w sprawie pani męża. Właśnie go do nas przywieziono.

Powiedziała mi, że rano, tuż przed wejściem na prom, Bobby zasłabł i został przewieziony karetką do szpitala w Bremerton. Gdy tylko z jej ust padły słowa „zawał serca”, poczułam, że moje serce pęka z żalu, iż byłam tak okrutna w stosunku do człowieka, którego powinnam przecież była kochać. Bobby nie zasłużył sobie na to. Będę mu to musiała jakoś wynagrodzić.

Kto się zajmie dzieckiem? Nie mogłam zabrać córeczki do szpitala, zwłaszcza dziś, w takich okolicznościach. Zapukałam do Janice, mojej ostatniej deski ratunku, i podałam

jej małą zawiniętą w różowy kocyk. Niepokoił mnie sposób, w jaki Janice patrzyła na nią. Zaczęłam podejrzewać, że gdyby tylko nadarzyła się okazja, odebrałaby mi dziecko, dom i zajęłaby moje miejsce w łóżku Bobbyego.

- Dokąd się wybierasz? - zapytała z typową dla niej dezaprobatą w głosie.

- Mam coś ważnego do zrobienia - odparłam. - Nagły wypadek. - Nie powiedziałam jej, że chodzi o Bobby ego, bo w mgnieniu oka znalazłaby się u jego boku.

- Wiadomo. A kiedy wróci Bobby?

- Nie będzie go przed dłuższy czas - rzuciłam, pędząc do samochodu. - Dziękuję, że zajmiesz się dzieckiem. Jestem ci bardzo wdzięczna.

Na szpitalnym parkingu wjechałam w inny samochód, ale nie zatrzymałam się, by ocenić szkody. Nie miało to żadnego znaczenia. W tej chwili potrzebował mnie Bobby.

- Szukam Bobbyego Littletona - warknęłam do recepcjonistki.

Skierowała mnie na szóste piętro. Zjawiłam się w jego sali w samą porę, bo Bobby przygotowywał się do operacji.

- Och, Bobby! - załkałam. - Kiedy do mnie zadzwonili, byłam śmiertelnie przerażona.

- Mówią, że się z tego wyliżę - odpowiedział, puszczając do mnie oko.

Pochyliłam się nad łóżkiem i wzięłam go w ramiona. Leżeliśmy tak przytuleni aż do przyścia pielęgniarki, która klepnęła mnie w ramię i powiedziała, że już czas. Nie chciałam go zostawiać.

Patrzyłam, jak pielęgniarki wiozą go na wózku, i dręczyła mnie myśl, że to wszystko moja wina.

Cierpiałam katusze, czekając na koniec operacji. Niestrudzenie przemierzałam korytarz w obie strony.

Byłam pewna, że przeszłam przynajmniej pięć kilometrów. Co jakiś czas patrzyłam przez okno na kino, żeby zobaczyć, co teraz grają. Na markizie widniał napis „*Blue Skies* z udziałem

Binga Crosby'ego". Patrzyłam, jak pary, głównie nastolatków, idą ulicą, trzymając się za ręce. Chciałam być na ich miejscu, cofnąć czas i wszystko naprawić, niczego nie żałować i nie czuć bólu. Zapatrzyłam się w widok za oknem - kolejne pary ustawiały się w kolejce po bilety.

Wtedy zobaczyłam Elliota.

Był tak wysoki, że zawsze wyróżniał się na tle tłumu. Nie był sam. Obok niego szła Frances.

- Pani Littleton - zawołała stojąca w drzwiach pielęgniarka.

- Tak? - Wiele wysiłku kosztowało mnie odwrócenie się od okna. Wydawało mi się, że przegrałam na wszystkich frontach. - Udało się? Żyje?

Pielęgniarka uśmiechnęła się.

- Pani mąż był bardzo dzielny. Wspaniale zniósł operację, choć ciężko będzie mu wrócić do zdrowia.

Wymaga całodobowej opieki.

Tylko przytaknęłam.

- Tak przy okazji, chciałam panią prosić o dowód osobisty. Jest potrzebny do wypisu ze szpitala.

Sięgnęłam ręką po torebkę, która zawsze wisiała na moim ramieniu, ale jej tam nie było.

Przypomniałam sobie, że przecież nie pojechałam po nią do restauracji, tylko od razu na spotkanie z Elliotem. Niepojęte, jak bardzo można utrudnić sobie życie.

- Pani wybaczy, musiałam zostawić torebkę w domu -skłamałam.

- Nic nie szkodzi, jakoś sobie poradzimy - odparła z uśmiechem.

- Dziękuję. Czy mogę go teraz zobaczyć?

- Tak, ale proszę pamiętać, że nadal jest półprzytomny. Poszłam z nią na oddział pooperacyjny, gdzie Bobby leżał z zamkniętymi oczami.

- Cześć, Bobby - przywitałam go i pogładziłam jego rękę.

Otworzył oczy i posłał mi uśmiech.

- Mówiłem ci, że się z tego wyliżę - powiedział.

W przeciwieństwie do mnie, Bobby zawsze dotrzymywał obietnic.

Dopiero po dziesiątej zasiadliśmy z Bee do śniadania. Obie byłyśmy w ponurym nastroju.

- Dzień dobry - powiedziała słabo. Ubrana była nadal w koszulę nocną i podomkę. Nigdy jej nie widziałam w tak nieformalnym stroju, dlatego wydała mi się starsza niż zwykle.

- Przyniosę ci gazetę - zaoferowałam, wychodząc na werandę.

Tuż pod rosnącym przed domem krzakiem róży znalazłam umazane błotem wydanie „The Seattle Times”. Dzięki Bogu, było opakowane w plastikową folię.

- Pogrzeb odbędzie się pojutrze - mówiąc to, Bee nie patrzyła w moją stronę.

Przyszło mi do głowy, że nie chciała mnie powiadomić, ale wypowiedzieć te słowa na głos, przyzwyczaić się do myśli, że odejście Evelyn nie było tylko koszmarnym snem.

- Mogę w czymś pomóc? - spytałam.

- Nie ma w czym. Wszystkim zajmie się rodzina jej męża. Robiłam jajecznicę, a Bee wpatrywała się w wody zatoki.

Myślałam o Joelu i poranku, kiedy powiedział mi o Stephanie. Upuściłam wtedy talerz. Ot, drobny szczegół, o którym przypomniałam sobie dopiero teraz. Był częścią naszego ślubnego serwisu obiadowego. Biały Waterford z szerokim srebrnym brzegiem, tak drogi, że sprzedawczyni w Macy's zapiszczała z radości, gdy dodaliśmy dwanaście nakryć do naszej listy prezentów. Dawny skarb leżał potem na podłodze roztrzaskany w drobne kawałki.

- Zabawne - rzuciłam w kierunku Bee, mieszając łypatką jajka na patelni.
 - Co takiego, kochanie? - odparła cicho.
 - Stukłam talerz.
 - Stukłaś talerz?
 - Tak, w domu, gdy Joel powiedział mi, że odchodzi. Bee nadal siedziała bez ruchu i patrzyła w dal.
 - W ogóle się tym wtedy nie przejęłam. Za to teraz, gdy o tym myślę, bardziej przejmuję się losem talerza niż Joela.
- Kąciki ust Bee uniosły się nieco do góry w najmniejszym z uśmiechów.
- Robisz postępy.
- Uśmiechnęłam się do siebie i podałam Bee śniadanie.
- Jajecznicę i tosty.
 - Dziękuję - odparła Bee, ale tego ranka nic nie zjadła. Ani kęsa. - Wybacz, nie chodzi o twój talent kulinarny, ja po prostu...
 - Nie martw się, rozumiem - uspokoiliłam ją.
 - Wrócę do swojego pokoju, żeby się położyć. Skinęłam głową i z nagłym wzruszeniem patrzyłam, jak noga za nogą podąża w głąb korytarza.
- Stwierdziłam, że powinnam się ubrać i ogarnąć trochę dom. Nic nie działa tak depresyjnie jak sarta brudnych naczyń czy salon zawałony starymi gazetami. O jedenastej wszędzie panował ład i porządek. Telefon zadzwonił, gdy kończyłam pucować kuchnię. Zanim odebrałam, podziwiałam przez moment, jak cała lśni.
- Słucham.
 - Cześć, Emily. Mówi Jack.
 - Cześć - powiedziałam, upajając się dźwiękiem jego głosu.
 - Chciałem się tylko upewnić, że dajecie sobie radę. Jak się czuje twoja ciotka?

- Twarda z niej sztuka. - A ty?
- Nie najgorzej.
- Chciałbym się znów z tobą zobaczyć. O dowolnej porze, gdy tylko będziesz mogła wyrwać się na chwilę.
- Bee śpi w swoim pokoju, więc myślę, że teraz mógłbyś do mnie wpaść.
- Jesteś pewna?
- Jestem.

Jack przyszedł jakieś pół godziny później. Dom budził w nim jednocześnie strach i podziw.

- Pięknie tu - powiedział, rozglądając się wokoło. - Nigdy tu nie byłem. Zawsze zastanawiałem się, jak ten dom wygląda w środku.
- Pewnie wyobrażałaś sobie duchy i potwory? - spytałam.
- Nie zapominajmy o gremlinach - odparł.

Wyszliśmy na lanai. Zamknęłam drzwi, by nie przeszkadzać Bee, choć tak naprawdę, by nie była zaskoczona widokiem Jacka, gdy wyjdzie z sypialni.

- Powinniśmy się schować do jakiejś szafy - zaproponował z szelmowskim uśmiechem.
- Może powinniśmy - odparłam z przebiegłą miną, po czym usiedliśmy na małej sofie z widokiem na zatokę.

Trzymał mnie za rękę, a ja przytulałam się do jego ramienia. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, obserwując drozda z puszystym miedzianym brzuszkiem, który wyciągnął z trawy gałązkę i poleciał z nią na szczyt pobliskiego drzewa.

- Wyspa jest wspaniałym miejscem do pisania, prawda? - zaczął Jack.
- Na pewno krąży tu mnóstwo opowieści - przytaknęłam.
- Wspominałaś, że szukasz pomysłów do swojej następnej książki... Czy myślałaś o tym, żeby napisać opowieść o wyspie? Osadzić swoją historię w Bainbridge?

Wyprostowałam się i spojrzałam w jego twarz z namysłem, przenikliwie. Kochał wyspę tak samo jak ja - jego obrazy były na to wystarczającym dowodem. Jednak odniosłam wrażenie, że jego słowa miały jakieś ukryte, głębsze znaczenie. Próbowałam go dociec w jego oczach.

- Jest taka opowieść bliska mojemu sercu - odparłam, patrząc na starą czereśnię, która dzielnie opierała się porywom północnego wiatru. W dzieciństwie wspinałam się na jej gałęzie i siedziałam na nich godzinami, podjadając słodko-kwaśne owoce odmiany Rainier. Wymyślałam wtedy historie o innych małych dziewczynkach, które robiły na tym drzewie to samo co ja, tylko wiele lat wcześniej. Pokręciłam głową. - Ale chyba za bardzo się boję.

Z widoków za oknem Jack przeniósł wzrok prosto na mnie.

- Czego się boisz?

- Że choć opowieść na to zasługuje, nie dam rady przekonująco oddać jej piękna - ciągnęłam. - Moja pierwsza książka... była zupełnie inna. Nie chodzi o to, że nie jestem z niej dumna, bo jestem, ale... Jack patrzył na mnie, jakby rozumiał doskonale, co chciałam przez to powiedzieć.

- Nie była bliska twojemu sercu.

- Właśnie tak - potwierdziłam.

- Znalazłaś to, czego tu szukałaś? - spytał Jack, cały czas przyglądając się ptakom za oknem.

Pomyślałam o pamiętniku leżącym w szufladzie szafki nocnej. Uświadomiłam sobie, że być może nie znalazłam tego, czego się spodziewałam, ale za to coś o wiele lepszego - na kartach pamiętnika i w ramionach Jacka.

Spletliśmy dłonie.

- Myślę, że tak - powiedziałam łagodnie.

- Chciałbym, żebyś została na zawsze. - Mówił z przekonaniem i siłą w głosie.

- Też bym tego chciała.

Siedzieliśmy tak przez długi czas, wpatrując się w fale uderzające o brzeg.

Jack zaprosił mnie na kolację do kawiarni w mieście. Chciałam iść, lecz nie mogłam zostawić Bee samej, nie w tę noc. Zrozumiał.

- Wyręczyłabym cię w gotowaniu - powiedziałam Bee, gdy tylko wyłoniła się z sypialni - ale obawiam się, że natura nie obdarzyła mnie kulinarnym genem.

- Nonsens. Nauczyłam się gotować dopiero po sześćdziesiątce. Pewne rzeczy przychodzą z wiekiem. Skinęłam głową, ciesząc się w duchu, że późny wiek jednak ma swoje zalety.

- To może jedzenie na wynos? - zasugerowałam. - Mogę po coś podjechać samochodem.

- No cóż. Lubiliśmy z Evelyn to małe bistro naprzeciwko supermarketu. Zawsze zamawiała tam pieczonego kurczaka.

- Załatwione - odparłam.

Miło było zobaczyć, że powoli odzyskuje apetyt, a jeszcze milej pomóc jej, gdy tego potrzebowała.

Jadąc do miasta, opuściłam szybę, żeby nasycić się pięknem wyspy. Drzewa tworzyły nad drogą zielony baldachim, a wilgotne, rześkie powietrze pachniało morzem i jodłami. Zaparkowałam przed bistro i weszłam do środka.

Miejsce okazało się bardzo przytulne i urocze. Ściany miały odcień szmaragdowy i były wykończone mahoniem. Każdy stolik zachęcał do tego, by zamówić butelkę wina i wolno delektować się nią aż do zamknięcia lokalu. Zastanawiałam się, czy Esther również tu jadała.

- Chciałam zamówić coś na wynos - zaczęłam kierowniczkę sali, która podała mi menu.

Szybko dokonałam wyboru.

- To zajmie jakieś trzydzieści minut - powiedziała.

- Zaczekam na zewnątrz - odparłam.

Wyszłam z bistro na drugą stronę ulicy i usiadłam na ławce z widokiem na morze. Z tego miejsca można było obserwować nadpływające promy, na horyzoncie zaś widniały wieżowce Seattle.

Od razu poczułam, że to miejsce jest mi dziwnie znajome. Po chwili przypomniałam sobie dlaczego: już tu kiedyś siedziałam - z Gregiem. W czasie naszych ostatnich wspólnych wakacji, kiedy miałam szesnaście lat, zabrał mnie do meksykańskiej restauracji, a potem przyszedł tutaj i usiedliśmy na tej właśnie ławce. Zmierzchało się, byliśmy zupełnie sami i całowaliśmy się do utraty tchu, zanim odwiózł mnie z powrotem do domu Bee. Mama skrzyczała mnie za dziesięćminutowe spóźnienie, za to Bee tylko się uśmiechnęła i spytała, czy dobrze się bawiłam. Nie mogłam zaprzeczyć.

Po trzydziestu minutach czekania wróciłam do bistro, żeby odebrać swoje zamówienie.

- Bardzo proszę - rzekła kierowniczką sali, podając mi dużą papierową torbę.

Na palcu miała pierścionek zaręczynowy z pojedynczym kamieniem, nowiutki i błyszczący. Patrząc na niego, przypomniałam sobie o swoim ślubnym pierścionku, który należał do babci Joela. Rzuciłam mu go w twarz tydzień po tym, jak powiedział mi o swoim romansie, gdy przyszedł zabrać swoje rzeczy z mieszkania. Uświadomiłam sobie, że pierścionek pewnie nadal gdzieś leży na drewnianej podłodze, może pod komodą w sypialni. Nie byłam pewna, czy go znajdę, zresztą nie zależało mi na tym.

- Dziękuję - pożegnałam ją i wcisnęłam lewą rękę głęboko do kieszeni.

- Jack dzwonił, gdy cię nie było - powiedziała Bee, a w jej głosie nie wyczułam ani aprobaty, ani dezaprobaty.

Uśmiechnęłam się i wyłożyłam naszą kolację na talerze. Jadłyśmy w milczeniu, wsłuchując się w ogień trzaskający na kominku.

- Idę spać - oznajmiła Bee kilka minut przed dwudziestą pierwszą.

- Dobrze - odparłam.

Gdy poszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi, podniosłam słuchawkę telefonu.

- Cześć - przywitałam Jacka.

- Chcesz do mnie wpaść?

- Chcę - potwierdziłam.

Wyrwałam z zeszytu kawałek kartki i nagryzmołam krótką wiadomość dla Bee.

Idę do Jacka. Wrócę późno.

Całusy

Em

Dostrzegłam z plaży, jak opiera się o framugę drzwi wejściowych. Miał na sobie białą koszulkę i džinsy.

- Dzięki, że przyszedłeś - powiedział z uśmiechem, gdy wchodziłam po schodach na werandę.

Czułam się trochę onieśmielona. On chyba też.

Weszliśmy do środka, a Jack pomógł mi rozpiąć płaszcz. Każdy odpięty guzik sprawiał, że oddychałam coraz szybciej. Jego dotyk mnie rozpałał.

Skierował mnie do salonu, gdzie na stoliku kawowym czekały dwa kieliszki wina.

Usiedliśmy wygodnie na kanapie, tuż obok siebie.

- Emily - zaczął. Delikatnie przeczesywał moje włosy palcami. Czułam się jak w hipnotycznym transie. - Chciałbym ci o czymś powiedzieć.

Wyprostowałam się.

- O czym?

Jack rozejrzał się po pokoju, jakby potrzebował chwili na zebranie myśli.

- Cztery lata temu byłem żonaty. Moja żona miała na imię Allison.

Patrzyłam na niego badawczo.

- Zmarła trzy dni przed Gwiazdką. W wypadku samochodowym. Przejeżdżała obok supermarketu, więc zadzwoniła do mnie z pytaniem, czy czegoś nie potrzebuję. Powiedziałem, że nie. Przez długi czas zadreślałem się myślą, że gdybym tylko poprosił ją o kupienie jabłek, chleba, butelki wina, czegokolwiek, zmieniłbym bieg wydarzeń. Uratowałbym jej życie.

- Och, Jack, tak mi przykro! Położył dłoń na moich ustach.

- Nie musisz nic mówić. Pogodziłem się z tym. Pomyślałem tylko, że powinnaś wiedzieć, bo to ważna część mojego życia.

Zerknęłam na półkę nad kominkiem, gdzie widziałam ostatnio zdjęcie kobiety.

- Czy to ona? - Ścisnęło mnie w środku.

Czy jest już gotów, by pokochać kogoś na nowo? Skinął głową.

- Kiedy spotkaliśmy się u Henry ego, poczułem coś, czego nie czułem od...

- Ja też. - Chwyciłam mocniej jego dłoń.

11 MARCA

Obudziłam się następnego ranka z wyraźnym przeczuciem, że ktoś mnie obserwuje. Popatrzyłam do góry i trafiłam na oczy Jacka.

- Dzień dobry - przywitał mnie.

Rozejrzałam się po pokoju i stwierdziłam, że nadal jestem u niego. Pewnie zasnęłam mu na ramieniu.

- Mógłbym tak patrzeć na ciebie każdego dnia - powiedział, przytulając się do mojej szyi.

Przetarłam oczy, delikatnie go pocałowałam i w pośpiechu zaczęłam szukać oczami zegarka.

- Która godzina?

- Siódma trzydzieści - odparł.

Bee pewnie zamartwiała się o mnie, więc ze względu na nią nie mogłam zostać dłużej.

Jack sięgnął po swój płaszcz, ja znalazłam swój.

- Odprowadzę cię do domu - zaproponował i złapał mnie za rękę.

- Nie chcę wracać - powiedziałam, przyciągając go do siebie. Uśmiechnął się szeroko.

- To zostań.

Po raz pierwszy od bardzo dawna ogarnęła mnie radość tak wielka, że prawie rozsadziła moje serce.

Godzinę później wślizgnęłam się niepostrzeżenie do domu Bee. Drzwi jej sypialni były nadal zamknięte, a zostawiona przeze mnie wiadomość ciągle leżała na stole, więc schowałam ją do kieszeni. Wystukałam na klawiaturze kilka kolejnych akapitów, które były co najwyżej mierne. A kiedy odechciało mi się pisać, zaczęłam czytać.

Bobby nie chciał być dla mnie ciężarem, ale nie mógł nic na to poradzić. Dzień po dniu karmiłam go łyżką, myłam go gąbką i pomagałam mu korzystać z toalety. Któregoś ranka nie zdążył mnie obudzić na czas i nie dotarł do łazienki. Wszystko stało się bardzo szybko.

- Tak mi przykro! - prawie płakał z upokorzenia.

- Nic się nie stało - odparłam. - Chodźmy najpierw do łazienki, żeby cię wymyć, a potem zmienię pościel.

Uważałam, że to kara, na jaką zostałam skazana za swoje wybory. Wiedziałam, że zasłużyłam sobie na każdą wyczerpującą sekundę opieki nad nim.

Nadal nie wyznałam Bobby emu prawdy i postanowiłam, że zabiorę ją ze sobą do grobu. Moje serce należało do Elliota, ale nasza miłość nie mogła się spełnić w tym życiu.

Tego ranka usłyszałam w radiu piosenkę Very Lynn *We'll Meet Again*. Chodziły za mną jej słowa.

Byłam pewna, że spotkamy się z Elliotem znowu, że nadal będziemy się kochać. Ale kiedy to nastąpi? Za kilka miesięcy? Za kilka lat?

Więc kiedy któregoś popołudnia, kilka dni po powrocie Bobby ego ze szpitala, usłyszałam pukanie do drzwi, Elliot był ostatnią osobą, którą spodziewałam się ujrzeć. Stał na progu mojego domu - domu, który dzieliłam z Bob-bym. Marzyłam, by go znów zobaczyć, i cieszyłam się na myśl o naszym spotkaniu, lecz jego obecność tutaj wydała mi się niestosowna. Był nieogolony, blady i nerwowo rozglądał się dookoła.

- Słyszałem o chorobie Bobby ego - powiedział. - Przykro mi.

- Jak możesz tak mówić? - odparłam, sprawdzając, czy obserwują nas jacyś sąsiedzi. - Po tym, co zrobiłeś? - zniżyłam głos do szeptu. - Po tym, co my zrobiliśmy?

Dałam się ponieść emocjom. Czułam gniew, smutek, żal. Elliot nie ponosił żadnej winy za wypadek Bobby ego, ale zupełnie absurdalnie chciałam go nią obarczyć.

Elliot tylko patrzył na swoje stopy.

- Po co przyszedłeś? - wyszeptalam, załując tego, co przed chwilą powiedziałam. Przez moment zapragnęłam znów wziąć go w ramiona.

- Musiałem się z tobą zobaczyć. Nie widzieliśmy się od tak dawna.

- Elliot, nie możesz tu tak po prostu przychodzić. Wyglądał szczupło, szczuplej niż ostatnio, i był wyraźnie

zmęczony. W kącikach oczu zrobiły mu się małe zmarszczki, które sięgały aż do kości policzkowych.

- Esther, czy naprawdę myślisz, że to dla mnie łatwe? Nie przyszło mi do głowy, że mogło być inaczej. Zawsze

sądziłam, że to on jest wolny i że to ja znalazłam się w pułapce. Nagle usłyszałam z głębi domu głos Bobbyego.

- Emily, czy to listonosz przyszedł? Dałabyś mu listy, które leżą przy moim łóżku?

Odwrociłam się w stronę drzwi wejściowych.

- To tylko... sąsiad. Zaraz przyjdę. - Do Elliota powiedziałam prędko: - Muszę już wracać.

Był zrozpaczony.

- Kiedy znów się zobaczymy?

- Nie wiem, czy powinniśmy się znów spotkać - odparłam. To były najtrudniejsze słowa, jakie przyszło mi w życiu powiedzieć, ale jeszcze trudniej było patrzeć, jak je przyjął - jakby każdy wyraz był nożem, który wbiłam mu głęboko w serce.

- Nie mówisz tego serio, Esther. Ucieknijmy stąd. Możemy razem zacząć nowe życie. Możesz zabrać ze sobą małą, będę ją kochał jak własne dziecko. Powiedz, że wyjedziesz ze mną. Po prostu wyjedź ze mną.

Słyszałam, jak w domu obok Janice otwiera drzwi wejściowe. Zerknęłam w tamtą stronę i zobaczyłam, jak wystawia głowę, żeby nas podglądać.

Potrząsnęłam głową i dyskretnie wytarłam łzy.

- Nie mogę, Elliocie. Po prostu nie mogę.

Cofnął się i nagle zaczął mi się uważnie przyglądać, jakby raz na zawsze starał się zapamiętać moją twarz. Gdy odchodził, nie mogłam oderwać od niego wzroku.

Mijały dni i tygodnie. Bobby nadal leżał w łóżku, a ja o niego dbałam. Któregoś dnia obudziły mnie dreszcze i silne mdłości. Pobiełam do łazienki, żeby wymiotować. Dwa kolejne dni spędziłam w łóżku, a trzeciego dnia Bobby namówił mnie na wizytę u lekarza.

Po badaniu i paru testach doktor Larimere wrócił do mnie z uśmiechem na twarzy.

- Pani Littleton, wygląda na to, że nabawiła się pani grypy. Ostatnio mamy w mieście dużo zachorowań.

Skinęłam głową.

- Czyli to nic poważnego?

- Nie, ale jest coś jeszcze. - Sięgnął po zapisaną na maszynie stronę z mojej karty zdrowia. - Dostałem wyniki z laboratorium. Jest mi niezmiernie miło poinformować panią, że spodziewa się pani dziecka.

- Co takiego? - odparłam zaskoczona, bo nawet przez chwilę nie przyszło mi do głowy, że mogę być w ciąży. - To niemożliwe.

- A jednak.

- Od jak dawna?

- Dopiero kilka tygodni - odrzekł z uśmiechem. - Nie zmienia to jednak faktu, że jest pani w ciąży.

Niech się pani zbiera do domu i przekaże dobre wieści mężowi. Na pewno go to pocieszy, zwłaszcza w tym stanie.

Mogłam tylko wpatrywać się tępo w ścianę przed sobą.

- Pani Littleton, czy wszystko w porządku? - zapytał w końcu lekarz.

- Jak najbardziej - odparłam z wymuszonym uśmiechem i wyszłam z gabinetu.
Znów skłamałam. Nic już nie będzie w porządku z bardzo prostego powodu: to nie było dziecko Bobby ego, nie mogło być. Było Elliota.

ROZDZIAŁ 13

12 MARCA

Postanowiłam zadzwonić do Annabelle, zanim udałyśmy się z Bee na pogrzeb Evelyn. Tyle się tu wydarzyło, że zapomniałam o wszystkim, co zostawiłam w Nowym Jorku. Nawet o Annabelle.

- Annabelle?

- Cześć, Em!

- Stęskniłam się za tobą. Wybacz, że nie dzwoniłam, ale tyle się tu działo.

- Wszystko gra?

- W sumie tak. Ale powiedz najpierw, co u ciebie.

- Dobrze - powiedziała z nonszalancją w głosie, po czym ogłosiła absolutnie sensacyjną wiadomość. - Zdecydowałam się w końcu rozprawić ze swoją narcystyczno-romantyczną naturą. Przyznałam przed sobą, że znów zakochuję się w Evanie.

- Annabelle, naprawdę?

- Tak, byliśmy na kolacji i rozmawialiśmy. Chyba będzie między nami jak dawniej.

- Cieszy mnie to ogromnie - powiedziała jej, bo zasługiwała na miłość jak nikt inny, włączając w to mnie samą.

- Jak rozwiązaliście problem jazzu? Zaśmiała się.

- Nadal nad tym pracujemy. Opowiedziałam jej o Gregu, Jacku i Evelyn. Wyjątkowo zasmuciły ją wieści o Evelyn, lecz nie zdziwiło

mnie to, bo Annabelle należy do osób, które płaczą nawet na reklamach chusteczek do nosa.

Bee spojrzała nerwowo na zegarek. Musiałyśmy już wychodzić. Należała do części konduktu żałobnego, który niósł trumnę, więc nie chciała się spóźnić. Zdecydowała, że musimy wyjechać godzinę wcześniej na wypadek korków, choć na wyspie nigdy ich nie było.

- Wybacz, Annie, muszę kończyć. Wybieramy się właśnie na pogrzeb.

- Nic nie szkodzi. Zadzwoni, kiedy będziesz mogła.

Msza pogrzebowa miała zostać odprawiona w kościele Świętej Marii, co przypomniało mi o niefortunnej spowiedzi Esther. Kościół wyglądał raczej jak katedra. Pełno w nim było ornamentów i pozłacanych detali, a na sklepieniu - cherubinów. Najwyraźniej mieszkańcy wyspy nie narzekają na brak pieniędzy.

Bee kazała mi iść przodem i zająć miejsce. Miała do mnie dołączyć później, gdy już pomoże zanieść trumnę z ciałem Evelyn pod ołtarz. Ze łzami w oczach rozglądała się po kościele, ale przestała na widok Jacka wchodzącego do środka w towarzystwie starszego mężczyzny.

Pomachałam do nich, lecz Bee szybko spojrzała w drugą stronę i odeszła, by dołączyć do konduktu.

Evelyn chciała być pochowana na wyspie, na małym cmentarzu w cichej okolicy. Gdy dotarliśmy na miejsce, doceniłam jej wybór. Nie był to typowy cmentarz. Przypominał raczej park,

do którego chciałoby się wrócić z kocem piknikowym i dobrą książką albo z aktualną miłością i butelką wina. Widoku dopełniały zabudowania Seattle wraz z wieżą Space Needle majaczące na przeciwległym brzegu.

W mszy pogrzebowej uczestniczyło ponad dwieście osób, ale tylko kilkoro najbliższych przyjaciół i rodzina przyszli na pogrzeb. Wszyscy mieli w rękach róże albo chusteczki. Był też Henry, rodzina zmarłego męża Evelyn, jej siostrzeńcy i bratanice.

Ksiądz powiedział parę słów, a potem obsługa cmentarza powoli opuściła trumnę. Żałobnicy zebrali się wokół grobu, by wrzucić do niego róże i pożegnać się ze zmarłą. W tym czasie Jack z towarzyszącym mu starszym mężczyzną stali kilkaset metrów dalej. Czy to jego dziadek? Z tej odległości nie widziałam jego twarzy, więc nie mogłam dopatrzeć się rodzinnego podobieństwa. Widziałam, jak starszy pan podał Jackowi jakiś przedmiot. Zmrużyłam oczy, próbując dociec, jaki kształt ma rzecz spoczywająca w jego dłoniach. Było to czarne pudełko wystarczająco małe, by zmieścić się w kieszeni, do której Jack je ostatecznie schował. Potem spojrzał w moją stronę, więc szybko przeniosłam wzrok na grób Evelyn. Zdałam sobie wtedy sprawę, że Bee, która chwilę temu stała tuż obok mnie, gdzieś zniknęła. Zmartwiona, dyskretnie opuściłam tłumek żałobników i znalazłam ją siedzącą w samochodzie na miejscu pasażera.

- Bee? - zawołałam, pukając w okno. Opuściła szybę. Znow miała oczy pełne łez.

- Przepraszam, kochanie. Nie mogę. Po prostu nie mogę.

- Rozumiem. Nie musisz silić się na odwagę. Evelyn by tego nie chciała.

Sięgnęłam do kieszeni płaszcza i wyciągnęłam kopertę, którą miałam przekazać Bee.

- Proszę, dała mi to dla ciebie, Evelyn.

Błyszczące łzami oczy Bee rozświeciły się na moment. Kurczowo przycisnęła do siebie kopertę.

Wiedziałam, że otworzy ją dopiero, gdy będzie sama.

- Daj mi swoje kluczyki. Odwiozę cię do domu.

Bee oparła się wygodnie na siedzeniu, a ja dojechałam do skrzyżowania i skręciłam w prawo na arterię łączącą północ i południe wyspy. Na drodze było niewiele samochodów, co tego dnia tylko pogłębiało uczucie samotności, lecz nagle usłyszałam za nami syrenę policyjną, a potem kolejną. Kiedy zwolniłam i zjechałam na pobocze, minęły nas, jeden po drugim, radiowozy i karetka jadące w stronę wejścia do parku stanowego Fay.

- Ciekawe, co się stało - rzekłam w stronę Bee.

Nigdy wcześniej nie widziałam na wyspie ani karetki, ani radiowozu.

Bee w milczeniu wyglądała przez okno.

Znów wjechałam na szosę, ale policjant nakazał mi gestem, żebym się zatrzymała. Opuściłam szybę.

- Pani wybaczy, ale zarządziliśmy objazd wzdłuż ulicy Day. Proszę zawrócić i skręcić w pierwszą drogę w prawo. Prowadzimy tu dochodzenie.

Skinęłam głową.

- W jakiej sprawie?

- Samobójstwo - odparł. - Młoda dziewczyna, miała nie więcej niż dwadzieścia lat. Skoczyła z klifu prosto do morza.

- Jakże to smutne - wykrztusiłam, po czym zawróciłam samochód.

Przez parę kilometrów jechałyśmy w milczeniu. Myślałam o kobiecie, która zaledwie parę minut wcześniej odebrała sobie życie. Przed czym uciekała i kogo zostawiła? Gdy wreszcie wjechałyśmy na ulicę Hidden Cove, Bee poruszyła się na swoim siedzeniu.

- Zawsze młode kobiety - rzekła stłumionym głosem, a jej wzrok nadal był utkwiony w bocznej szybie.

Po południu spacerowałyśmy po plaży, słuchałyśmy muzyki i przeglądałyśmy stare zdjęcia Evelyn. Nie rozmawiałyśmy za bardzo ze sobą. Poświęciłyśmy ten dzień na wspomnianie, a ja na czytanie. Kolejnego ranka obie byłyśmy gotowe, by znów stawić czoło światu, choć każda na swój sposób. Zastanawiałam się, czy Esther również się to uda.

- Zaslugujesz na chwilę wytchnienia - powiedział mi Bobby pewnego dnia. - Opiekowałaś się mną tygodniami z oddaniem godnym męczennicy. Może zadzwonisz do Frances i Rose i wybierzecie się do Seattle na lunch albo zakupy? Moja mama może się zająć dzieckiem.

Był to wspaniałomyślny gest, który powitałam z ochotą. Zadzwoniłam do Rose.

- Cześć. Czy masz jakieś plany na dzisiaj?

- Żadnych - odparła. - Chcesz do mnie przyplłynąć następnym promem?

- No pewnie. Bobby dał mi dzień wolny i pozwolił na babski wypad. Mogłybyśmy zjeść lunch gdzieś na mieście i pójść na jarmark uliczny.

- Nie możemy przegapić jarmarku - potwierdziła Rose. -Zadzwonię do Frances i poproszę, żeby do nas dołączyła.

- No nie wiem. Od jakiegoś czasu nie rozmawiamy ze sobą - zawahałam się.

- A więc najwyższy czas, by to zmienić. Zadzwonię do niej. Puścicie całą sprawę w niepamięć.

Miałam nadzieję, że się nie myliła.

Cieszyłam się, że to Rose przyszła do restauracji pierwsza. Obawiałam się, że będę sam na sam z Frances.

Do tej pory nie powiedziałam Rose o ciąży. Ani jej, ani komukolwiek innemu. Jednak już niedługo nie będę w stanie tego ukryć.

Frances weszła do środka i usiadła przy naszym stoliku.

- Cześć - przywitała nas obie z obojętnym wyrazem twarzy. - Potem zwróciła się do mnie. - Przykro mi z powodu Bobby'ego.

- Dzięki - tylko tyle byłam w stanie powiedzieć.

- Spójrzcie! - zawołała Rose, przerywając milczenie przy stoliku. Wskazała dwie uczennice na chodniku przed restauracją. Twarze miały wymalowane farbami i dzieliły się prażonymi orzeszkami ziemnymi, które niosły w torebce z szarego papieru. Gdy w podskokach przemierzały ulicę, trzymały się pod ramię. - Chodźmy na jarmark! Zabawimy się, zupełnie jak za dawnych czasów.

Wędrowny jarmark przyjeżdżał do miasta co roku, zazwyczaj w kwietniu, gdy zimowy chłód był już tylko przykrym wspomnieniem, lecz w tym roku zaskoczył wszystkich wcześniejszym przybyciem.

Od wielu lat we trzy podtrzymywałyśmy własną tradycję: jadłyśmy watę cukrową, kręciłyśmy się na diabelskim młynie i szłyśmy do wróżki, by przepowiedziała nam przyszłość. W tym roku dałyśmy sobie spokój z watą cukrową i diabelskim młynem i zmierzałyśmy prosto do namiotu wróżki.

Po drodze zatrzymał nas znajomy głos.

- Esther! - z tłumu za nami odezwał się jakiś mężczyzna. Odwróciłam się i zobaczyłam, że to Billy.

- Och, witaj - odparłam.

- Cześć - powiedział, uśmiechając się i patrząc w moje oczy odrobinę za długo. Podał mi coś, mówiąc:

- Twoja torebka. Zostawiłaś ją jakiś czas temu w restauracji. Miałem nadzieję, że nadarzy się okazja, żeby ci ją zwrócić.

Wyglądał na zranionego, ale nie miałam pojęcia dlaczego.

- Bardzo ci dziękuję, Billy - odparłam przepraszającym tonem.

Nie chodziliśmy ze sobą od paru ładnych lat, jednak za każdym razem gdy go spotykałam, przypominałam sobie słowa Frances. Mówiła, że ciągle od nowa łamię mu serce.

- Idziesz, Esther? - zawołała mnie Rose.

Stała z Frances przed wejściem do namiotu wróżki. Przytaknęłam i pożegnałam się z Billym.

W namiocie udekorowanym egzotycznymi gobelinami podeszła do nas kobieta po pięćdziesiątce o ciemnych włosach i oliwkowej skórze. Nie widziałam jej tutaj w poprzednich latach.

- Jak mogę wam pomóc? - spytała z obcym akcentem.

- Chciałybyśmy poznać naszą przyszłość - odpowiedziałam.

Skinęła głową i poprowadziła nas w głąb namiotu przez wejście oddzielone sznurkami koralików.

- Proszę od każdej po pięćdziesiąt centów - zażądała. Zawsze wydawało nam się, że to dużo pieniędzy, rok w roku płaciliśmy bez szemrania z nadzieją, że poznamy choć ziarno prawdy.

Usiadłyśmy na poduszkach rozrzuconych po podłodze. Kobieta rozłożyła przed nami trzy karty.

- Która pierwsza? Rose podniosła rękę.

- Dobrze - powiedziała wróżka. - Wybierz swoją kartę.

Rose wybrała niebieską kartę ze słoniem. Kobieta zachęciła ją gestem do pokazania dłoni, którą studiowała uważnie przez co najmniej minutę. Potem spojrzała na Rose z uśmiechem i powiedziała: „Tak”.

Położyła kartę wyciągniętą przez Rose na stosie po swojej prawej stronie i rozdała kolejne trzy karty.

- Tak jak się spodziewałam. Szczęśliwe życie, pomyślność i wiele radości. Nad twoją przyszłością nie zbierają się żadne chmury, nie widzę nawet kropli deszczu.

Rose uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Dziękuję.

- Która następna? Zgłosiła się Frances.

- Ja. Lepiej mieć to już za sobą. - Nigdy nie podobał jej się pomysł przepowiadania przyszłości, ale towarzyszyła nam co roku.

- Wybierz kartę, skarbie - zachęcała ją wróżka. Frances wyciągnęła fioletową kartę z ptakiem.

- Wybieram tę - powiedziała ostrożnie.

- Tak - odparła kobieta, oglądając z bliska rękę Frances. Przebiegła palcem wzdłuż jej dłoni.

- O co chodzi? - spytała niecierpliwie Frances, cofając rękę. - Co tam widać?

- Nie widzę wyraźnie. Muszę jeszcze spytać kart - zastrzegła się wróżka.

Tak jak w przypadku Rose dodała kartę Frances do talii i rozdała trzy kolejne.

Gdy odwróciła je do góry, zachmurzyła się.

- Twoje życie będzie długie i pełne wrażeń, ale problemem jest linia serca. Nigdy nie widziałam czegoś takiego.

- Czego? - zapytała Frances.

- Wygląda na to, że w twoim życiu pojawią się dwie wielkie miłości.

Frances zarumieniła się, a Rose i ja zaczęłyśmy chichotać.

- To nie koniec. Będzie też wielkie nieszczęście i ktoś, kto stanie się jego przyczyną.

- Dość. Wystarczy. To wszystko, co chciałam usłyszeć -przerwała jej Frances.

- Wszystko w porządku? - spytała ją Rose.

- Tak - odparła chłodno. Pocierała dłoń, jakby chciała z niej wymazać niepomysłną wróżbę.

- No to moja kolej - powiedziałam, zwracając się do kobiety.

Zanim zaproponowała mi kartę, spojrzała w moje oczy i zmarszczyła brwi.

- Wybieram tę. - Pokazałam różową kartę ze smokiem. Wróżka wyglądała na zmartwioną - zupełnie, jakbym popełniła grzech śmiertelny wróżbiarstwa - ale i tak sięgnęła po moją dłoń.

Studiowała ją najdłużej ze wszystkich. Czekałam cierpliwie, aż przebiegnie palcami po moich liniach. Zrobiła to kilkakrotnie. Wydawało mi się, że próbuje poskładać fragmenty jakiejś układanki. Po kilku minutach, zaskoczona, gwałtownie puściła moją rękę, po czym skonsultowała się z kartami, wykładając przede mną trzy kolejne.

Wpatrywała się w nie długo i wreszcie przemówiła.

- Przykro mi. Zwrócę ci pieniądze.

- Dlaczego? Nie rozumiem. Czemu nie mogę się dowiedzieć, co mówią karty?

Zawahała się, ale odparła:

- Nie mogę powiedzieć. Pochyliłam się i złapałam ją za rękę.

- Muszę wiedzieć.

Mój upór zaskoczył Rose i Frances.

- Dobrze - zgodziła się kobieta - ale to, co powiem, może ci się nie spodobać.

Nie odpowiedziałam, tylko czekałam. Czekałam, aż wyjawি mi, jaki splot tragicznych wydarzeń czeka mnie w przyszłości.

- Masz mało czasu. Musisz podążyć za głosem serca -zamilkła na chwilę, szukając odpowiednich słów - zanim będzie za późno.

- Co to znaczy, że będzie za późno?

- Widzę kłopoty, w które wpadniesz. Kłopoty na linii życia.

Wiedziałyśmy dokładnie, co miała na myśli, ale tylko Frances zareagowała.

- Wystarczy. Wychodzimy stąd.
- Nie, chcę usłyszeć do końca - sprzeciwiłam się. Kobieta spojrzała na Frances, a potem znowu na mnie.
- Musisz ją zapisać.
- Ale co?
- Swoją opowieść.

Frances załamała ręce i wypadła z namiotu, zostawiając tam mnie i Rose. Obie chciałyśmy zrozumieć zagadkowe słowa wróżki.

- O czym?
- O swoim życiu - oparła. Potrząsnęłam głową.
- Po co?
- Musisz to zrobić. Musisz zapisać swoją historię. Twoje słowa, skarbie, będą miały ogromne znaczenie... w przyszłości.

Usiadłam na łóżku i ponownie przeczytałam ostatnie zdanie.

Czy to ta sama niesamowita wskazówka, jaką otrzymałam od Evelyn - że pamiętnik wpadł w moje ręce z jakiegoś powodu? Ale jakim cudem te wydarzenia mogą mieć jakikolwiek związek z teraźniejszością, z tym, co się dzieje tu i teraz? Dlaczego jakaś historia z lat czterdziestych napisana przez zupełnie obcą mi osobę miałaby wywrzeć wpływ na moje życie? W jaki sposób? Nie miało to najmniejszego sensu, a jednak w głębi serca czułam, że powoli zmieniam co do tego zdanie.

ROZDZIAŁ 14

13 MARCA

Bee czuła się dziś zdecydowanie lepiej - mniej spała, więcej jadła i trochę się uśmiechała. Kiedy zaproponowałam jej partyjkę scrabbli, nie zgodziła się tak po prostu, lecz powiedziała:

- Sądysz, że uda ci się mnie pokonać?

Cieszyłam się, że oczy znów jej błyszczą, choć pokonała mnie siedmioliterowym słowem „stułbia”.

Podejrzewałam, że je zmyśliła, ale zarzekała się, że nie.

- Studnia, student, stukot - to są prawdziwe wyrazy. Ale stułbia?

Wyciągnęła więc słownik i poszerzyła moje słownictwo.

- Masz ochotę zagrać jeszcze raz? - zapytałam.

- Bez sensu, znowu wygram.

- Wspaniale widzieć twój uśmiech. Przytaknęła.

- Evelyn nie chciałaby, żebym ciągle płakała i zamykała się w swoim pokoju. Powiedziałyby: „Na miłość boską, wylaż z łóżka, ubierz się i przestań nad sobą biadolić”.

- Rzeczywiście. To w jej stylu - odparłam.

Ściągnęła okulary do czytania i sięgnęła do szuflady stolika kawowego.

- Zanim zapomnę. Mam coś dla ciebie - od Evelyn.

- Jak to? Dała ci coś dla mnie? - spytałam. Bee pokręciła głową.

- Byłam dziś rano w jej domu. Rodzina porządkuje jej rzeczy. Znalazła to.

Podawała mi żółtą kopertę wielkości dwanaście na siedemnaście centymetrów podpisaną moim imieniem. Była zaklejona kawałkiem papierowej taśmy.

Spojrzałam na Bee niebywale zdziwiona.

- Co to może być? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, kochanie. Może po prostu ją otworzysz? - powiedziała, po czym oddaliła się korytarzem do swojej sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

W kopercie odkryłam znajomo wyglądającą fotografię. Czarno-biała scena była prawie identyczna z tą, którą pamiętałam z hallu mojego domu rodzinnego - na plażowym kocu siedziała Bee otoczona przyjaciółmi. Jednak to zdjęcie zostało zrobione kilka sekund po tym, które znałam tak dobrze.

Kobieta siedząca obok Bee, która przedtem szeptała do jej ucha, tutaj była zwrócona w stronę obiektywu. Widać było jej twarz, uśmiech, piękne oczy, przenikliwe spojrzenie. Od razu wiedziałam, że to ta sama kobieta, którą zobaczyłam na portretach u Henry'ego i Evelyn. Do fotografii przymocowana była spinaczem wiadomość. Ostrożnie ją otworzyłam:

Droga Emily

Pomyślałam, że chciałabyś mieć zdjęcie Esther.

Całuję

Evelyn

W drodze do swojej sypialni wzięłam głęboki oddech i starałam się powstrzymać łzy. Wiedziałam, że to ona. Odkładając kopertę, zdałam sobie sprawę, że jest w niej coś jeszcze. Włożyłam do niej rękę i wyciągnęłam delikatny złoty naszyjnik z prostą zawieszką w kształcie rozgwiazdy. Naszyjnik Esther. Żal ścisnął mi serce, gdy trzymałam go w dłoni.

Nie rozmawialiśmy więcej o przepowiedni - ani ja, ani Rose, a już na pewno nie Frances. Ale wzięłam sobie do serca radę wróżki i spisałam swoją historię, co do słowa.

Po jakimś czasie wszystko wróciło do normy. Bobby czuł się coraz lepiej, moje poczucie winy słabło i choć nie mogłam stłumić w sobie miłości do Elliota, mogłam zmusić się, by przestać o nim myśleć. Być może Frances zrobiła tak samo. Zaproponowała, że jeśli odejdę od Bobby'ego, mogę zamieszkać w jej domu i zacząć wszystko od nowa. Powiedziałam, że jakoś sobie poradzę. Sądziłam, że jakoś się nam poukłada. Jednak jeden wieczór zmienił wszystko.

Bobby nie uprzedził mnie o wizycie ojca O'Reilly'ego. Otworzyłam drzwi i poczułam, że pocałował mi się w rękę. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, spowiadałam mu się z mojej niewierności, a on kazał mi przyznać się Bobby'emu, czego nie zrobiłam.

- Dzień dobry, pani Littleton - przywitał mnie oschłym tonem. - Chciałbym się zobaczyć z pani mężem.

Chciałam mu powiedzieć, żeby wracał do domu, na plebanie. Zamiast tego wpuściłam go do środka, choć nadal bałam się tego, co może wyjawiać.

- Ojciec O'Reilly - rzekł Bobby leżący na kanapie. - Bardzo się cieszę, że ojciec przyszedł. - Bobby wyjaśnił mi, że ksiądz obiecał się za niego modlić i pobłogosławić go, aby szybciej wrócił do zdrowia.

- Tak, to bardzo miło ze strony księdza, że do nas zawitał - odparłam z wymuszonym uśmiechem.

- Esther, jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym porozmawiać z Bobbym na osobności - powiedział ksiądz.

Zgodziłam się niechętnie i poszłam do sypialni.

Po kilku minutach usłyszałam zgrzyt zamykanych drzwi frontowych i dźwięk silnika samochodu.

Wzięłam głęboki oddech i wróciłam do salonu gotowa zmierzyć się z moim mężem, z moją niewiernością.

- Bobby?

Spojrzał na mnie z kanapy i uśmiechnął się.

- Chodź tu, moje kochanie - powiedział, robiąc mi miejsce obok siebie. - Ojciec O'Reilly właśnie wyszedł. Co za miły człowiek, że chciał mu się przyjść i pomodlić ze mną.

- Rzeczywiście - odparłam z ulgą. Wtedy usłyszeliśmy pukanie do drzwi.

- Otworzę - zaoferowałam. Spojrzałam na zegar.

- Kto to może być? Już po dwudziestej - rzekłam do Bobby'ego, otwierając zamek, a potem drzwi.

Za nimi na werandzie stała nasza sąsiadka Janice. Miała oczy zaczerwienione od płaczu. Pokręciła głową.

- Nie powiedział mu, prawda? - Wydawała się zrozpaczona i nieprzewidywalna.

Serce zabiło mi szybciej. Przypomniałam sobie, że widziałam Janice w kościele. Czy podsłuchiwała moją spowiedź? Nie, to niemożliwe.

- Nie wiem, o co ci chodzi, Janice.

- Oczywiście, że wiesz - odparła, podnosząc głos. Miała obłęd w oczach. - Nie oszukasz mnie ładną buzią i udawaniem głupiej. Zdradziłaś swojego męża. Wiem, bo widziałam cię w nocy na plaży przy domu Elliota Hartleya. Wszędzie cię obmacywał. To nie po chrześcijańsku.

Odwróciłam się, by spojrzeć na Bobby'ego, który przysłuchiwał się tej wymianie z odległości paru metrów. Wstał z kanapy.

- Esther, czy Janice mówi prawdę? Powiedz mi, że nie. Patrzyłam na swoje stopy.

- Bobby - zaczęłam. - ja...

- Jak mogłaś? - domagał się odpowiedzi. Ta wiadomość wyraźnie nim wstrząsnęła.

Podbiegłam do niego.

- Chciałam ci powiedzieć, ale zachorowałeś i... Bobby, nie chciałam cię skrzywdzić, nie chciałam.

- Dałam ci miłość i wszystko, czego mogłaś zapragnąć, a ty poszłaś do niego i zdradziłaś mnie jak jakaś tania dziwka?

Te słowa mnie ubodły, ale złość i rozpacz w jego głosie zabolowały bardziej.

Zbliżyłam się do niego i wyciągnęłam rękę. Odepchnął ją.

- Chciałem tylko, żebyś mnie kochała, tak jak ja kochałem ciebie. Jak mogłaś mnie zdradzić, Esther? Jak mogłaś?

Bobby usiadł i oparł głowę na moim brzuchu. Zaczęłam go głaskać po karku, ale zeszywniał od mojego dotyku.

- Zostaw! - wykrzyczał z nagłą wściekłością. - Nie chcę twojej litości. Nie chcę! Jeśli chcesz być z tym ścierwem, to idź, wynoś się stąd, do cholery! Nie chcę mieć za żonę dziwki! Kłamliwej dziwki.

Trzęsły mi się ręce. Dopiero zauważyłam, że Janice nadal stała w drzwiach i była świadkiem tej paskudnej sceny.

Bobby wstał i zaczął krążyć po pokoju. Po raz pierwszy w życiu bałam się go i tego, co mógł mi zrobić. Złapał mnie za łokieć i pociągnął do naszej sypialni. Zacisnęłam pięści, kiedy popchnął mnie na łóżko. Patrzyłam, jak rzuca na podłogę walizkę, otwiera szafę i wywleka z niej moje sukienki.

- Będą ci potrzebne - powiedział - żeby się do niego wdzięczyc.

Potem podszedł do komody i wyrzucił z szuflady moje koszule nocne.

- A to na romantyczne noce. - Zamknął walizkę, przyniósł ją do mnie i upuścił na podłogę, prawie miażdżąc moje stopy. - Masz - powiedział. - Wynocha.

- Ale Bobby. - Zaczęłam płakać. - Nigdy nie powiedziałam, że odchodzę. Nie powiedziałam, że chcę cię zostawić.

- Zrobiłaś to, gdy przespałaś się z Elliotem Hartleyem - odparł.

- Ale dziecko! Nasza córka. Nie zostawię jej.

- Sam ją wychowam, a gdy będzie w stanie to zrozumieć, powiem jej, że jej matka to dziwka, która zostawiła męża i dziecko dla innego mężczyzny.

Znów to słowo, to okropne słowo.

- Nie, Bobby! - krzyknęłam.

Wziął mnie za ramię i wywłókł wraz z walizką za drzwi. Złapałam jeszcze swoją torebkę, w której leżał bezpiecznie mój pamiętnik, zanim Bobby wypchnął mnie na werandę.

- Żegnaj, Esther - powiedział, po czym trzasnął drzwiami i zamknął je od środka.

Choć byłam roztrzęsiona, nie rozplakałam się. Widziałam, że Janice obserwuje z mojego domu, jak idę w stronę podjazdu, i nigdy nie dałabym jej tej satysfakcji. Płacz zostawiłam sobie na później. Teraz mogłam myśleć tylko o tym, co zrobić dalej. Gdzie się miałam podziać? Co miałam ze sobą począć? Spojrzałam na pustą drogę. Wrócić i prosić Bobby ego, by przyjął mnie z powrotem? Błagać o drugą szansę? Po tym jak płakał na ramieniu Janice, stwierdziłam, że tego nie zrobię. Otworzyłam drzwi buicka, wrzuciłam walizkę na tylne siedzenie i zapaliłam silnik. Smutek ścisnął mnie za serce, bo straciłam córkę, Bobbyego, przegrałam swoje życie. Mogłam tylko jechać przed siebie. Gdy zwiększyłam obroty silnika i wyjechałam na drogę, zerknęłam w lusterko wsteczne. Wiedziałam, że po raz ostatni

patrzę na swój niebieski dom, gdzie moja córeczka smacznie śpi, a mąż, który kiedyś mnie kochał, rozpacza przy ciepłej kominku. Było mi wstyd i czułam się zupełnie zagubiona.

Mogłam pójść teraz tylko w jedno miejsce. Miałam nadzieję, że Elliot na mnie czeka.

Jechałam z dużą prędkością, ignorując czerwone światła i znaki drogowe, wzdłuż parku stanowego Fay i winnicy, prosto do domu Elliota. Zaparkowałam na podjeździe, podeszłam do drzwi wejściowych i zapukałam. Choć przedtem go odrzuciłam, z pewnością nadal mnie kocha, wmawiałam sobie. Na pewno przyjmie mnie z otwartymi ramionami, kiedy powiem mu, że noszę pod sercem jego dziecko.

Nikt nie otwierał. Czekałam dłuższą chwilę na wypadek, gdyby akurat rozmawiał przez telefon albo leżał już w łóżku. Ale nie pojawił się. Słyszałam tylko wycie wiatru, który na zmianę otwierał i zatrzaśniał drzwi moskitierowe z taką siłą, że zaczęłam się bać. Rozważałam spanie w samochodzie zaparkowanym na jego podjeździe. Chciałam poczekać, aż wróci do domu, lecz było zimno, a ja nie miałam przy sobie koca. Przypomniałam sobie o propozycji Frances, żeby zamieszkać u niej, więc znów zapaliłam silnik.

Mieszkała niedaleko, tuż przy plaży. Mogłam się przejść, nie chciałam jednak taszczyć walizki. Poza tym wiał mroźny wiatr. Gdy podjechałam pod jej dom, z ulgą zauważyłam, że paliły się w nim światła, a gdy wyszłam z samochodu, usłyszałam, że w środku gra muzyka.

Zostawiłam walizkę w samochodzie i podeszłam do drzwi. Zajrzałam przez okno do salonu, gdzie zobaczyłam Frances pogrążoną z kimś w rozmowie. Wyglądała na podekscytowaną i ożywioną, znacznie bardziej niż zwykle. Po chwili dostrzegłam dlaczego - był z nią Elliot.

Frances majstrowała coś przy gramofonie, a Elliot podszedł do niej i chwycił ją za rękę. Stałam na zimnie i patrzyłam przez okno, jak ze sobą tańczyli, śmiali się i popijali

martini. Przecierałam oczy w nadziei, że to tylko zły sen. Domyślałam się od dawna, ale gdy zobaczyłam to na własne oczy, ciężko mi było powstrzymać się od płaczu. Nie wierzyłam, że to się działo naprawdę.

Zapragnęłam wdrzeć się do środka i sprawić, by poczuli ten sam wstyd i tą samą rozpacz, która stała się moim udziałem. Chwyciłam miedzianą gałkę i powoli otworzyłam drzwi, po czym zamknęłam je znów, choć nieco głośniej, niż zamierzałam. Nie, to było dla mnie zbyt wiele. Muszę wyjechać - jak najdalej stąd. Pobiegałam z powrotem do samochodu i odjechałam z piskiem opon. Gdy się obejrzałam, dostrzegłam Frances i Elliota, którzy stali przed domem i machali, żebym się zatrzymała, żebym wróciła. Ale za późno. Było już za późno.



Pojechałam do parku stanowego Fay. Po zaparkowaniu samochodu zaczęłam płakać tak jak nigdy dotąd. W ciągu jednej nocy straciłam męża, córeczkę, kochankę i przyjaciółkę. Została mi tylko walizka pełna przypadkowych ubrań i dziecko rosnące w brzuchu.

Pomyślałam o pamiętniku, który pisałam za radą wróżki. Po co? Dla kogo? Przeczytałam wszystko, co do tej pory napisałam, i do jakich wniosków doszłam? Że przegrałam swoją szansę na miłość i szczęśliwe życie? Miałam ochotę go spalić, ale powstrzymałam się. Może jednak, zgodnie ze słowami wróżki, mój pamiętnik miał jakąś wartość.

Wiedziałam, że tej nocy muszę podjąć jakąś decyzję, zwłaszcza w kwestii Bobbyego i dziecka. Bobby nie chciał mnie więcej oglądać - wyraził się wystarczająco jasno - ale chciałam po raz ostatni przytulić moją słodką córeczkę, powiedzieć jej, że bardzo ją kocham i że nie miałam innego wyjścia.

W tym miejscu kończy się moja historia. Kochałam i utraciłam miłość, lecz przynajmniej dane mi było kochać. W tę ciemną, samotną noc, kiedy świat mi się zawalił, tylko to jest dla mnie pociechą. Co mnie czeka? W głębi serca wiem, co powinnam zrobić.

Przewróciłam stronę, ale wszystkie kolejne kartki były puste.

Jak to? Dlaczego pamiętnik kończy się tak nagle? Nie tak powinno wyglądać zakończenie. W sumie to nie był koniec. Opowieść pozostawała otwarta. Przejrzałam dno szuflady stolika nocnego z nadzieją, że może zapodziały się gdzieś luźne strony, nie znalazłam jednak nic prócz warstwy kurzu.

Zamknęłam pamiętnik i po raz kolejny pogładziłam jego zniszczoną aksamitną okładkę, zanim odłożyłam go z powrotem na miejsce. Z żalem pożegnałam się z Esther, bo bez niej będę się czuła bardziej samotna.

14 MARCA

- Tęsknię za tobą - wyznał mi Jack w czasie porannej rozmowy telefonicznej.

- Ja za tobą też. - Bawiłam się kablem od telefonu, owijając go wokół palców, i marzyłam, by spleść ręce z Jackiem. - Przykro mi, ale musiałam się zająć Bee po odejściu Evelyn.

- Nie ma sprawy - odparł. - Może dzisiaj miałabyś ochotę się ze mną spotkać? Poszlibyśmy na piknik. Chciałbym ci pokazać jedno miejsce.

Piknik. Jaki uroczy pomysł. Nigdy żaden mężczyzna nie zaprosił mnie na piknik. Spojrzałam przez okno na szare kłębiące się chmury. Morze było tylko lekko wzburzone, lecz spienione fale rozbijające się o falochron wyglądały dość groźnie.

Choć nie była to najlepsza pogoda na piknik, nie miało to dla mnie znaczenia.

- Mam przynieść coś ze sobą? - zapytałam.

- Ty mi wystarczysz.

Po śniadaniu usiadłam z laptopem w lanai. Byłam bliżej rozpoczęcia czegoś nowego, bliżej przebłysku jakiejś historii niż przez wiele poprzednich lat. Długo wpatrywałam się w ekran komputera, a potem pozwoliłam swoim myślom krążyć wokół Esther. Czy odjechała w stronę zachodzącego słońca i porzuciła wyspę na zawsze? Czy zaczęła nowe życie w Seattle? Czy zawróciła samochód i pojechała zwymyślać Frances i Elliota? Czy im wybaczyła? Czy jemu wybaczyła? Co się stało z Frances? Bardzo chciałam wierzyć, że ta opowieść miała szczęśliwe zakończenie, ale obawiałam się, że było wprost przeciwnie. Coś złego musiało się wydarzyć tej ostatniej nocy.

Wyczuwałam to na stronach pamiętnika.

Choć tego ranka nie udało mi się nic napisać, nie czułam się / tym źle. Chociaż wiedziałam, że zajmie jej to sporo czasu, opowieść w końcu zaczęła we mnie narastać. Poczekam na nią. Będę cierpliwa.

Przed południem ubrałam się na randkowy piknik z Jackiem. Nie powiedział, czy mamy się spotkać na plaży, czy po mnie przyjedzie, ale wkrótce rozległ się dzwonek przy drzwiach, po czym Bee zapukała do mojej sypialni.

- Przyszedł Jack - oznajmiła, unikając mojego wzroku.

- Dziękuję, zaraz będę gotowa.

Włożyłam sweter, złapałam na wszelki wypadek kurtkę i poszłam do salonu, gdzie na mnie czekał.

Ani trochę nie był zdenerwowany w towarzystwie Bee, co bardzo mnie ucieszyło.

- Cześć - przywitał mnie, zabierając moją torebkę ze stolika kawowego. - Złapał mnie za rękę. -

Możemy iść?

- Tak - odparłam.

- Och, prawie zapomniałem - powiedział, patrząc na Bee i wyciągając schowaną za pazuchą paczkę owiniętą w szary papier pakowy i przewiązaną sznurkiem, jak w czarno-białych filmach. Nikt już dzisiaj nie owija paczek sznurkiem konopnym. - Mój dziadek prosił, by ci to przekazać.

Gdy Jack podał jej paczkę, Bee wyglądała na zaskoczoną, a nawet zawstydzoną. Chwyciła ją tak, jakby podejrzewała, że w środku znajduje się znaczna ilość materiałów wybuchowych.

Umierałam z ciekawości, co mogła dostać, ale Bee specjalnie odłożyła paczkę na stolik kawowy i powiedziała:

- Cóż, nie będę was zatrzymywać.

W samochodzie spytałam Jacka o tajemniczą przesyłkę.

- Czy wiesz, co twój dziadek podarował Bee?

- Nie mam pojęcia. Chciał to sam dostarczyć w dzień pogrzebu, ale nie nadarzyła się okazja.

- To był dla niej trudny moment - odparłam, przypominając sobie ucieczkę Bee z cmentarza do samochodu. - Przykro mi, że nie udało mi się poznać twojego dziadka.

- Też chciał cię poznać. - Uśmiechnął się szeroko. - Tylko o tym mówił w drodze do domu. Uważa, że jesteś bardzo piękna. Może go kiedyś odwiedzimy razem?

- Bardzo chętnie, tylko kiedy?

- Jutro spotykam się z klientem, więc może pojutrze? Po południu i tak miałem do niego wpaść.

Możesz mi potowarzyszyć.

- Wspaniale - odrzekłam z uśmiechem. - Jesteśmy umówieni.

Jack zabrał mnie na zachodni kraniec wyspy. Nigdy tam nie dotarłam w trakcie moich letnich wizyt.

Zatrzymał się w miejscu, które było pewnie kiedyś zwirowym parkingiem. Zmieściłyby się tu

najwyżej trzy samochody, bo parking z każdej strony porośnięty był ciernistymi krzakami jeżyn. Jack wyciągnął

z bagażnika kosz piknikowy w stylu retro - wiklinowy, z wnętrzem wyściełonym bawełną w biało-czerwonej kratkę i wykończonym ciemnoczerwoną tasiemką. Idealny.

- Zgadniesz, dokąd cię zabieram? - spytał, uśmiechając się łobuzersko.

- Proszę cię, przecież nie mam zielonego pojęcia. - Gałęzie szarpały moje ubranie, gdy przeciskaliśmy się przez wybujałe zarośla.

- Powinienem był zabrać maczetę - zażartował Jack. - Chyba nikt już tutaj nie bywa.

- To znaczy gdzie?

- Zaraz zobaczysz.

Gdy przechodziliśmy pod gęstym baldachimem drzew, ogarnęły nas ciemności, ale tuż przed nami zobaczyłam plamę światła.

- Już prawie jesteśmy na miejscu - zapewnił Jack i odwrócił się do mnie z uśmiechem mającym mnie zapewnić, że nasza wyprawa w tej dżungli wkrótce dobiegnie końca.

Nie było tak źle. Las byłby godnym tematem obrazu - nietknięte stare drzewa wyrastające wprost z dywanu jasnozielonego mchu.

Rozchylił gałęzie i zaprosił mnie gestem, żebym przeszła na drugą stronę.

- Panie przodem.

Przeszłam przez niewielki otwór, który zrobił dla mnie Jack, i wyszłam z zarośli tuż przed zatoczką schowaną między dwoma skalistymi zboczami. Woda była koloru szmaragdowej zieleni.

Zastanawiałam się, jak to możliwe, skoro woda w zatoce była zdecydowanie szara. Po jednej stronie z klifu do zatoczki spływał wodospad, ale nie był to głośny i silny strumień, tylko cienka strużka. Ptaki śpiewały w stereo.

Jack rozłożył koc na skrawku piasku. Na okolicznych kamieniach, tak jak przy domu Bee, nie było pąkli.

- Jak ci się podoba? - zapytał z dumą.
- Niesamowite miejsce - odparłam pełna podziwu. - Jakim cudem woda ma taką barwę?
- Przez minerały w skałach.
- Jak tu trafiłeś?
- Mój dziadek przyprawdzał na tę lagunę dziewczyny - odparł z szerokim uśmiechem. - Zabrał mnie tu, gdy miałem szesnaście lat - rodzinny obrzęd przejścia. Kazał mi przysiąc, że nie powiem o niej nikomu, chyba że jakiejś przedstawicielce płci żeńskiej.
- Po co ta cała tajemnica? Wzruszył ramionami.
- Znaleźli to miejsce z przyjacielem, gdy byli jeszcze dziećmi, i nikomu o nim nie powiedzieli. Pewnie chcieli zachować je dla siebie.

Skinęłam głową i znów spojrzałam na niesamowicie piękną wodę.

- Nie dziwię im się.

Jack przeglądał zawartość koszyka, a ja usiadłam obok niego, mówiąc:

- Uwielbiam twoje rodzinne opowieści. Szkoda, że moja rodzina ma przede mną sekrety.
- Moja też- szybko odparł Jack. - Nawet teraz staram się coś ustalić.
- Co takiego? - spytałam pełna zdumienia.
- No cóż, tuż przed śmiercią babci znalazłem w pudle na strychu stare wycinki z gazet.
- Czego dotyczyły? - Przypomniałam sobie o teczce, którą jakiś czas temu przeżuł pies Jacka.
- Hej, spójrz na to! - Jack wskazał palcem na niebo, w sposób oczywisty usiłując zmienić temat.

Nie protestowałam. Jeśli było to związane z historią jego rodziny, byłam pewna, że z czasem mi o tym opowie.

Dookoła krążyły ciemne chmury, ale tuż nad naszymi głowami przebił się przez nie promień światła. Zupełnie jak gdyby chciał nam oświetlić piknik.

- Głodna? - spytał, otwierając koszyk. Przeprowadziłam oględziny jego zawartości. - I to jak!

Wyłożył dwa talerze, widelce, noże i serwetki, a potem kilka plastikowych pojemników.

- Mamy sałatkę z ziemniaków, smażonego kurczaka, surówkę coleslaw, owocową sałatkę z miętą - rośnie bujnie jak chwast w moim ogrodzie - o, i chleb kukurydziany.

To była prawdziwa uczta i jadłam bez skrepowania, co rusz wyciągając talerz po dokładkę, dopóki nie rozłożyłam się na kocu z cichym westchnieniem.

Jack nalał nam różowego wina i pozwolił mi oprzeć plecy na swoim brzuchu, przez co mogłam się rozprzeć na nim równie wygodnie jak na osobistym fotelu.

- Jack? - odezwałam się po paru minutach spędzonych w tej pozycji.

Odgarnął nieco moje włosy i pocałował mnie w szyję. - Tak?

Odwróciłam się, by na niego spojrzeć.

- Któregoś dnia byłam w mieście i zobaczyłam cię z kobietą. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

Odchrząknęłam.

- W bistro. Tej nocy, kiedy mówiłeś, że do mnie zadzwonisz. Jack nie odpowiedział, a ja spuściłam wzrok na swoje ręce.

- Wybacz, nie powinnam cię o to pytać. Nagabuję cię jak zazdrosna żona.

Chwycił mnie za rękę.

- Wcale nie. Nie wyglądasz na zazdrosną. Zapewniam cię, że nie spotykam się z nikim innym.

Skinęłam głową, ale wyraz mojej twarzy zdradził mu, że to wytłumaczenie mnie nie zadowalało.

- Posłuchaj. To klientka. Zamówiła u mnie obraz dla swojej matki. Nic więcej nas nie łączy. Nie zmieniało to faktu, że zachowywał się dziwnie, gdy ta kobieta nagrywała mu wiadomość na automatycznej sekretarce. Nawet Jack miał swoje sekrety. Mimo to zdecydowałam się mu zaufać. Gdy znów chciał coś powiedzieć, podniosłam rękę do jego ust, a potem pchnęłam go na ziemię, wspierałam się na niego i zaczęłam całować tak, jak pragnęłam od dawna. Rozpiął guziki koszuli i ściągnął mi ją z ramion. Poczułam na skórze jego ciepłe ręce, gdy przez chwilę mocował się z zamkiem moich dżinsów.

- Chodźmy popływać - wyszeptał mi do ucha.

- Teraz? - zapytałam, na samą myśl o tym czując przejmujące zimno.

- No chodź. Ogrzeję cię.

Ściągając spodnie, posłałam mu wesoły uśmiech, a potem patrzyłam, jak rozbiera się do bokserek. Złapał mnie za rękę i poprowadził nad krawędź zatoczki, gdzie ostrożnie umoczyłam jeden palec.

- Brr! - wymamrotałam. - Jest stanowczo za zimno. Chyba nie mówisz poważnie.

Ale Jack przytulił się przodem do moich pleców i otulił mnie ramionami. W ten sposób, złączeni ze sobą, szliśmy powoli do przodu i zanurzaliśmy się coraz głębiej. Z każdym krokiem było mi coraz cieplej i przyjemniej. Gdy woda sięgnęła mi do piersi, a jemu do pasa, Jack odwrócił mnie przodem do siebie i przycisnął do swojego ciała tak mocno, że czułam na sobie każdy centymetr jego skóry.

- Zimno ci? - spytał miękko.

- Nie, jest mi doskonale.

Było już ciemno, gdy Jack odwiózł mnie do domu. Moje włosy były nadal wilgotne i pokryte warstewką soli. Bee spojrzała na mnie znad książki.

- Zabrał cię nad lagunę, prawda? - Nie była zła ani zdenerwowana, raczej obojętna. Tym samym tonem mogłaby stwierdzić, że na dworze było dzisiaj zimno.

- Tak. Skąd wiedziałaś?

Bee uśmiechnęła się i odłożyła książkę.

- Potrzebna ci będzie gorąca kąpiel. Chodź, przygotuję ci ją.

ROZDZIAŁ 15

15 MARCA

Siedziałam nadal przy śniadaniu, czytając gazetę i podgryzając gofry, które polałam zbyt dużą ilością syropu klonowego, gdy wprost z ogrodu przyszła Bee. Chłód zaróżowił jej policzki, w ręku niosła pęczek świeżo zerwanej szalwii.

- Dzień dobry - przywitała mnie.

Postanowiłam, że tego ranka postaram się oczyścić atmosferę i powiedzieć Bee o pamiętniku. Zapytać o Esther.

- Bee - zaczęłam słabym głosem - chciałabym z tobą o czymś porozmawiać.

Włożyła szalwię do zlewu i odkręciła wodę.

- O czym, kochanie?

- Chciałam cię zapytać o pewną kobietę. - Zamilkłam, żeby zebrać myśli. - Mieszkała na wyspie w 1943 roku. Miała na imię Esther.

Obserwowałam Bee stojącą przy zlewie. Rytmicznie mydliła ręce kostką mydła lawendowego, które trzymała zazwyczaj obok kranu. Mijały minuty, a ona nadal, jak w hipnotycznym transie, obracała kostkę w dłoniach.

- Bee, znałaś ją? - zaczęłam znowu.

Odłożyła mydło i powoli włożyła swoje palce pod ciepłą wodę. Wydawało mi się, że płucze ręce w nieskończoność, ale wreszcie zakręciła kran i zaczęła je skrupulatnie oglądać.

- Coś nie mogę znaleźć rękawiczek, które chroniłyby paznokcie przed brudem - odparła.

- Bee - zawołałam, gdy wychodziła z kuchni - słyszałaś,

O co cię pytałam?

Spojrzała na mnie, nim oddaliła się korytarzem.

- Przypomnij mi, kochanie, żebym kupiła nowe rękawiczki, gdy będziemy następnym razem w mieście.

Nieco później usłyszałam pukanie do drzwi. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, że przyszedł Greg.

- Cześć - zaczął z chłopięcym uśmiechem. - Wybacz, że wpadam niezapowiedziany, ale akurat przechodziłem i... - zamilkł, wyciągając coś z szarej koperty, którą trzymał w dłoniach.

Billy. Nagle pomyślałam o młodszej miłości Esther

I uświadomiłam sobie, że czuję do Grega to samo co ona do Billy ego.

- ... chciałem ci to podzucić - ciągnął, podając mi nieopisaną teczkę na akta.

- Co to jest? - spytałam zdumiona.

- Wczoraj wieczorem sprzątałem w papierach i znalazłem te stare dokumenty. Zaciekawiała cię była właścicielka mojego domu, więc zrobiłem ci ksero całej dokumentacji.

- Greg, to niezwykle miłe z twojej strony - odpowiedziałam, uśmiechając się szeroko. - Bardzo ci dziękuję.

- Nie ma za co - odparł, zmierzając w stronę drzwi. Odwrócił się jeszcze i powiedział na pożegnanie: - Mam nadzieję, że znajdziesz tu to, czego szukasz.

- Ja też - odparłam.

Otworzyłam teczkę i zaczęłam przeglądać papiery. W środku był akt własności domu Grega. Przeleciałam wzrokiem po kartce w poszukiwaniu istotnych informacji. Dom został wybudowany w 1901 roku i sprzedany w 1941 roku Elsie Hartley. Hartley, pomyślałam, przecież to nazwisko Elliota. Czy to jego żona? Czy romans Elliota i Esther nigdy się nie wydarzył? Przewróciłam stronę. Kolejny raz dom został sprzedany dopiero w 1998 roku, kupił go Greg. Sprzedający nazywał się William Miller. Byłam zawiedziona. Co się stało z Elsą Hartley? Co się stało z Elliotem?

Podbiegłam do drzwi i zobaczyłam, że samochód Grega rusza z podjazdu.

- Czekaj! - krzyknęłam, machając do niego. Opuścił szybę, a ja prędko podeszłam do auta.
- Mógłbyś mnie podwieźć do miasta?
- Jasne, wsiadaj.
- Dzięki. Muszę coś pilnie sprawdzić.

Greg wysadził mnie przed ratuszem, tuż przy ulicy Głównej. Przy okienku siedziała starsza kobieta, na oko już po siedemdziesiątce. Spojrzała na mnie znad ciemnych oprawek okularów i odezwała się automatycznie:

- Słucham.
- Dzień dobry. Chciałabym znaleźć w archiwum informacje na temat kogoś, kto kiedyś mieszkał na wyspie.

Przyjrzała mi się z ciekawością, podejrzewając zapewne, że jestem niespełna rozumu, a przecież nie udostępnia się informacji o mieszkańcach wyspy osobom niepoczytalnym.

- Czego dokładnie pani szuka? - spytała podejrzliwie. Sama nie byłam tego pewna.
- Cóż, chcę się dowiedzieć, czy ta osoba nadal żyje. - Kiedy usłyszałam własne słowa, przeszły mi ciarki po plecach.

- Proszę wypełnić ten formularz - poinstruowała mnie i westchnęła - a wszystkie znalezione dokumenty prześlemy pani w terminie sześciu do ośmiu tygodni.

Czułam, jak serce we mnie zamarło, a potem o mało nie wyskoczyło mi z piersi.

- Sześciu do ośmiu tygodni? Nie mogę czekać tak długo. Czy jest jakiś inny sposób?

Urzędniczka wzruszyła ramionami. Była twarda jak skała.

- Takie mamy zasady.

Westchnęłam głęboko i stwierdziłam, że lepiej poczekać, niż nie dowiedzieć się nigdy. Wypełniłam formularz, wpisując nazwiska „Elliot Hartley” i „Esther Littleton”. Zostawiłam też mój nowojorski adres do wysyłki dokumentów.

- Dziękuję - odparłam i poszłam w stronę drzwi. Urzędniczka tylko skinęła głową.

Odeszłam na parę kroków i usłyszałam za sobą stłumiony okrzyk.

- Proszę zaczekać! - urzędniczka prawie wrzasnęła. - Proszę pani, niech pani zaczeka! - tym razem zawołała głośniej.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że macha do mnie ze swojego stanowiska.

- Chyba mogę pani pomóc - powiedziała. Zdumiona, położyłam torebkę na kontuarze.

- Proszę mi wybaczyć - wyglądała teraz na skruszoną - przeczytałam w formularzu, że szuka pani Elliota Hartleya, a tak się składa, że go znałam.

Pochyliłam się w jej stronę.

- Naprawdę?

- Tak. Był niesamowitym mężczyzną - ciągnęła z nostalgią w głosie. - Wprost szalałyśmy za nim.

Każda z nas chciała, by Elliot Hartley zwrócił na nią uwagę.

- Spotykała się z nim pani? Pokręciła głową.

- Niestety nie, istniała dla niego tylko jedna kobieta. Cała wyspa o tym wiedziała. Choć mieli też swoje problemy, więc...

- Jakie problemy?

- Nie wiem do końca, ale dużo się kłócili. Ciągłe ze sobą zrywali i znów się schodzili. W końcu rozstali się na dobre. Złamała Elliotowi serce, więc zaczął pić i spotykać się z wieloma kobietami - nawet ja raz z nim tańczyłam. Och, co to była za noc. Potem wyruszył na front.

- Przeżył wojnę?

Pogrążona w myślach kobieta zamilkła. Miałam nadzieję, że potwierdzi historię z pamiętnika, opowiadając o powrocie Elliota i jego powtórnym spotkaniu z Esther.

- Tak, ale nie był już tym samym człowiekiem. Głównie dlatego, że jego ukochana wyszła za kogoś innego.

- Czy ta kobieta, którą kochał, miała na imię Esther? Urzędniczka potrząsnęła głową.

- Przykro mi, ale nie wiem. Pamięć mi ostatnio szwankuje, a to było tak dawno. Niewykluczone, że miała na imię Esther.

- A czy pamięta pani coś jeszcze na jej temat? Cokolwiek? Oparła się na krzesło i patrzyła w sufit, jakby próbowała sobie przypomnieć chwilę, myśl albo rozmowę sprzed wielu lat.

- Była bardzo piękna. To akurat pamiętam. Dziewczyny zazdrościły jej urody.

- Wie pani, co się z nią potem stało?

- Obawiam się, że nie. Wyprowadziłam się z rodzicami na Środkowy Zachód tuż po skończeniu szkoły średniej. Na wyspę wróciłam dopiero piętnaście lat temu. Tyle się tu zmieniło. Wie pani, że wybudowali u nas McDonalda?

Nerwowo pociągałam za frędzle przy mojej torebce, chcąc zmienić temat z powrotem na Esther i Elliota. - To straszne - stwierdziłam, wspominając złote łuki, które mignęły mi przed oczami, gdy Bee w dzień przyjazdu wiozła mnie do domu.

Rzeczywiście, zdziwiłam się na ich widok.

Odchrząknęłam.

- Czy wie pani może, z kim mogłabym jeszcze porozmawiać na temat tych dwóch osób?

- Cóż, mogłaby pani sprawdzić wycinki prasowe w bibliotece miejskiej. Na pewno będzie tam coś na temat Elliota.

- Dziękuję.

Byłam nieco rozczarowana. Przeszukiwanie archiwum prasowego całego hrabstwa nie wydawało mi się najprostszą metodą zdobywania informacji.

- Och, jeszcze jedno - powiedziałam, przypomniałszy sobie akt własności domu Grega. - Czy zna pani Elbę Hartley?

- Tak, była siostrą Elliota - odparła.

To ma sens, pomyślałam. Poszedł do domu swojej siostry, do jej ogrodu, żeby zerwać tulipana dla Esther. Spróbuję zdobyć jej nowy adres i odwiedzę ją.

- Zaraz, powiedziała pani, że była siostrą Elliota? Urzędniczka przytaknęła.

- Zmarła kilka lat temu, tak samo jak jej mąż William. Wiem, bo zatrudniali mojego wnuczka do koszenia trawnika.

- A niech to. - Westchnęłam. Kolejny ślepy zaułek. - Jeszcze raz dziękuję.

- Proszę uprzejmie - odrzekła z nutą nostalgii w głosie. - Już dawno nie słyszałam nic o Ellocie Hartley - ciągnęła, uśmiechając się i potrząsając głową, jakby wspominała smak wybornego wina. - Poszukam jakichś informacji, a jeśli coś znajdę, mogę do pani zadzwonić. - Zapisała mój numer na skrawku papieru. - Proszę mi jeszcze powiedzieć, skąd pani zna Elliota.

- To długa historia - odrzekłam, kierując się w stronę wyjścia.

Na wyspie Bainbridge jest jedna biblioteka - jedna ogromna i zachwycająca biblioteka wybudowana przez Fundację Carne-giego na początku dwudziestego wieku. Gdy otwierałam drzwi,

z wnętrza wyskoczyła na mnie trójka dzieciaków, prawie zrzucając mi torbę z ramienia.

- Finny, przecież ci mówiłam, żebyś poczekał na mamusię -zawołała zupełnie wycieńczona kobieta w moim wieku za swoim upartym czterolatkiem.

Uśmiechnęłam się. Niech mnie ktoś zastrzeli, jeśli nadam swojemu dziecku takie imię, pomyślałam.

Weszłam do środka i zaczepiłam bibliotekarkę.

- Dzień dobry, szukam miejsca, gdzie mogę przejrzeć czasopisma na mikrofilmach.

- Ma pani szczęście, w tym miesiącu skończyliśmy przenoszenie gazet z Seattle i naszej „The Bainbridge Island Digest” na nośnik cyfrowy. Do wszystkich jest dostęp online. Którego rocznika pani potrzebuje?

- Nie jestem pewna, więc chyba zacznę od roku 1943. Bibliotekarka była pod wrażeniem.

- No proszę, co takiego panią zainteresowało w wyspie z lat czterdziestych?

- Cóż, ja tylko staram się rozwiązać małą zagadkę, na którą tu natrafiłam.

Otworzyła szerzej oczy ze zdumienia.

- Pani jest pisarką, prawda?

- No tak, w sumie - odparłam - ale... - Chciałam jej powiedzieć, że to nie ma żadnego związku z moim pisaniem, bo to sprawa osobista, lecz mi przerwała.

- Zaraz, jak się pani nazywa? Znam pani twarz. Jestem pewna, że widziałam ją na okładce jakiejś książki.

- Hm, Emily Wilson.

- O matko! - krzyknęła. - Ta Emily Wilson, autorka *Calling Ali Larson*?

Przytaknęłam. Choć takie sytuacje zdarzały mi się dość rzadko, i tak ich nie znosiłam.

- O mój Boże! Nie mogę w to uwierzyć! Pani tutaj! Na wyspie Bainbridge! Ależ nam się nadarzyła okazja! Zaraz sprowadzę

głównego bibliotekarza, żeby panią poznał, i może zorganizujemy jakieś spontaniczne czytanie pani książki.

Bezwiednie ciągnęłam za krawędź mojego swetra, ale nie zauważyła tego.

- Wie pan, kto nas odwiedził? - zwróciła się do mężczyzny siedzącego przy stoliku po prawej. - Znana pisarka z Nowego Jorku! - piszczała z zachwytu.

Choć nie chciałam jej psuć zabawy, nie miałam ochoty na wieczorek autorski. Nie czułam się jak Emily Wilson, autorka *Calling Ali Larson* - już nie. Wszystko zmienił mój pobyt na wyspie - ta książka nie była już szczytowym osiągnięciem mojej kariery, bo poczułam, że kolejna może być lepsza.

- Bardzo to doceniam, ale niestety, chwilowo nie mam zbyt wiele czasu. Naprawdę muszę posunąć swoją pracę naprzód. Może kiedy indziej?

Uśmiechnęła się.

- Oczywiście, doskonale panią rozumiem. Pokażę pani, gdzie stoją komputery.

Sprowadziła mnie starymi schodami na parter. Ściany pokryte były zabytkową boazerią z drewna. Czytelnia pachniała książkami, lecz w tym pomieszczeniu dominowała woń stęchlizny.

Bibliotekarka wskazała na stanowisko komputerowe i poinstruowała mnie, jak korzystać z bazy danych czasopism. - Dziękuję - powiedziałam.

- Proszę mnie zawołać, gdyby były jakieś problemy.

Obejrzałam się za siebie dwa razy, a moje ręce drżały z niecierpliwości, żeby wpisać w pole wyszukiwania nazwisko Elliota. Nie posiadałam się z radości, gdy wyskoczyło mi sześć wyników. Pierwszy artykuł pochodził z „The Bainbridge Island Sun” i opowiadał o miażdżącym zwycięstwie drużyny szkoły średniej w meczu futbolu amerykańskiego. Obok artykułu zamieszczono zdjęcie Elliota w stroju do gry w towarzystwie kolegów z drużyny i jednej czirliderki, która patrzyła na niego z uwielbieniem. Zgodnie z opisem Esther był bardzo przystojny - widać to było nawet mimo ziarna na zdjęciu prasowym.

Kliknęłam na kolejne artykuły: krótką notatkę na temat ukończenia przez Elliota Uniwersytetu Waszyngtońskiego i długą listę żołnierzy wracających po wojnie do domu.

Został mi ostatni artykuł. Niech to będzie to, powtarzałam w duchu. Niech mnie naprowadzi na jakiś trop.

Rzeczywiście, był to świeży trop: zawiadomienie o ślubie z datą 2 czerwca 1949 roku. „Elliot Hartley poślubił Lillian Appleton w obecności najbliższej rodziny i przyjaciół. Skromna ceremonia odbyła się w Seattle. Panna młoda, córka Susan i Theodora Appletonów, ukończyła Koledż imienia Sarah Lawrence. Pan młody, syn Adama i Suzanne Hartleyów, ukończył Uniwersytet Waszyngtoński i jest obecnie pracownikiem firmy inwestycyjnej Hadley, Banks and Morgan. Młoda para zamieszka w Seattle”.

Jak to? To przecież niemożliwe! Jak on mógł ożenić się z inną kobietą? Nie tak miało się to skończyć. Jak on mógł ożenić się z kimś innym niż Esther? Co się stało z Esther? Coraz bardziej byłam przekonana, że los ją prześladował. Spojrzałam jeszcze raz na datę ślubu, rok 1949, i wzdrygnęłam się. Co się stało w ciągu tych sześciu lat po napisaniu przez Esther pamiętnika? Czy Elliot na nią czekał? Jeśli tak, to gdzie zniknęła?

Z nadzieją, że znajdę coś - cokolwiek - na temat Esther, wpisałam w okno wyszukiwania „Esther Littleton”, ale nie wyskoczyły mi żadne rezultaty. Czy w rzeczywistości nazywała się inaczej niż w pamiętniku? Jeśli tak, to dlaczego imię Elliota było prawdziwe a Esther zmyślone? Przeczesałam palcami włosy jak zawsze, gdy byłam zdenerwowana albo utknęłam na jakimś zdaniu, co w czasie pisania książki zdarzało mi się co parę minut. Nagle zdałam sobie sprawę, że przecież na zdjęciu Elliota z meczu była wpatrzona w niego czirliderka. Czy to mogła być Esther? Czy to zdjęcie jest podpisane?

Znów wyszukałam nazwisko Elliota i kliknęłam na artykuł o futbolu. Zdjęcie podpisane było: Członkowie drużyny Bobby McFarland, Billy Hinson, Elliot Hartley i czirliderka Esther Johnson.

Serce waliło mi jak oszalałe. Esther. To musiała być ona. Wpatrywałam się w niewyraźne zdjęcie i po prostu czułam, że to jest autorka historii z czerwonego pamiętnika.

Ale kim była?

Wyszukiwanie dla hasła „Esther Johnson” zwróciło ponad dwadzieścia artykułów z nagłówkami w rodzaju: „Zaginęła na Bainbridge”, „Policja bezskutecznie przeszukała dom i samochód”, „Mąż przesłuchiwany w sprawie zniknięcia żony”, „Zaginiona kobieta uznana za zmarłą”.

Przeczytałam wszystkie artykuły. Każde słowo. Esther tajemniczo zniknęła w noc z 30 na 31 marca 1943 roku. Wrak jej samochodu, z walizką w środku, został znaleziony w parku stanowym Fay. Nie było ani świadków, ani śladów przestępstwa, a jej ciała nigdy nie znaleziono.

Choć ta wiadomość była dla mnie zatrważająca, dopiero kolejna zmroziła mi krew w żyłach. W jednym z artykułów wyczytałam, że mąż Esther nazywał się Robert Hanson, czyli zupełnie tak samo jak... mój dziadek.

Wybiegłam na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i żeby nie ulec emocjom na oczach innych czytelników. Musiałam też z kimś porozmawiać, więc zadzwoniłam do Annabelle.

Sygnał powtórzył się kilkakrotnie. Odbierz, błagam, odbierz. Włączyła się poczta głosowa.

Zadzwoniłam znowu. Annabelle, odbierz, proszę cię, odbierz. Obie przestrzegałyśmy zasady dwóch telefonów. Jeśli dzwoniłyśmy dwa razy po sobie, chodziło o coś ważnego. Tak jak przypuszczałam, tym razem odebrała.

- Cześć. Co się stało?

- Przepraszam, ale musiałam do ciebie zadzwonić - powiedziałam na jednym oddechu. - Jesteś teraz czymś zajęta?

Zniżyła głos do szeptu.

- Jest ze mną Evan.

- Och, wybacz, Annie. Chodzi o to, że chyba zgłębiłam mroczną tajemnicę mojej rodziny.

- Czekaj, kochana, nie tak szybko. O czym ty mówisz?

- Mój dziadek był żonaty z kimś innym, zanim ożenił się z babcią Jane i...

Mój Boże... czy Jane to była... Janice?

Musiałam na chwilę przerwać, żeby złapać oddech. Odtworzyłam w myśli informacje na temat sąsiadki Esther i wysunęłam śmiałą teorię.

- Sądzę, że to mogła być prawdziwa mama mojej mamy. O Boże, Annie, wydaje mi się, że mogła zostać zamordowana.

- Emily, jesteś pewna? Dlaczego tak uważasz? Wszystko miało teraz sens. Nie babcia Jane, tylko Esther była moją prawdziwą babcią. Właśnie o tym powiedziała Bee dawno temu mojej mamie - że babcia Jane nie była jej prawdziwą matką. Czy odważyła się przy tym zasugerować, że mógł ją zamordować mój dziadek? Czy dlatego dziadkowie opuścili wyspę?

- Pamiętasz ten pamiętnik, który znalazłam w sypialni dla gości? Mówiłam ci o nim.

- No tak.

- Wiem już, kto go napisał. -Kto?

- Moja babcia. Ta, której nigdy nie poznałam.

- Em, to czyste szaleństwo.

- Na to wygląda.

- Co zamierzasz zrobić?

Starłam się opowiedzieć jej, na jakie ślady naprowadził mnie pamiętnik i jak połączyłam je w jedną całość dzięki urzędnicze i artykułom w bibliotece.

- A co z Elliotem? - zapytała. - Myślisz, że mógł jej zrobić krzywdę?

- Nie, to niemożliwe - odparłam. - Za mocno ją kochał. I była z nim w ciąży.

Po chwili przypomniałam sobie istotny szczegół: przecież on nie wiedział, że Esther była z nim w ciąży.

- Ale się porobiło - powiedziałam, siadając na trawniku przed biblioteką zupełnie nieświadoma, że trawa jest mokra. Nawet gdybym o tym wiedziała pewnie nie zrobiłoby mi to różnicy. - I co ja mam z tym zrobić? Odchrząknęła.

- Zrobisz dokładnie to, po co tam pojechałaś. Przeczesalam palcami włosy.

- Już nie pamiętam, dlaczego tu wróciłam.

- Żeby leczyć rany, Em. Przytaknęłam.

- Ale co mam zrobić z tą historią? Może jestem zbyt wścib-ska i w ogóle nie powinnam się w to mieszać.

Annabelle zamilkła na chwilę.

- Czy tak ci podpowiada twoje serce?

Pomyślałam o wróżce, która namówiła Esther na pisanie pamiętnika, bo w przyszłości miał się okazać bardzo ważny.

- Nie - odparłam. - Tak naprawdę, Annie, po raz pierwszy od dłuższego czasu wiem, co powinnam zrobić.

Nigdy wcześniej tak bardzo nie pragnęłam porozmawiać z Bee. Zebrałam już suche fakty, więc nadszedł czas na poznanie szczegółów, żeby zyskać całościowy obraz sytuacji. Evelyn przestrzegła mnie przed zbyt wczesnym nagabywaniem Bee, uznałam jednak, że nadeszła odpowiednia pora. Złapałam taksówkę do domu i po zapłaceniu za przejazd pobiegłam sprintem do drzwi wejściowych, które nigdy nie były zamknięte.

- Bee? - Podniesionym głosem wprost żądałam jej obecności. Szukałam jej w kuchni i w salonie, ale nigdzie jej nie było.

Przeszłam korytarzem do drzwi jej sypialni i zapukałam. Nikt nie odpowiadał, więc otworzyłam drzwi i zajrzałam do środka. Nie było jej tam.

- Bee! - zawołałam tym razem jeszcze głośniej z nadzieją, że siedzi w lanai.

Dalej cisza. Wtedy na stole w kuchni zobaczyłam wiadomość

Droga Emily

Jedna z moich dawnych koleżanek, zaprzyjaźniona również z Evelyn, zaprosiła mnie do siebie do Seattle. Zostanę u niej na noc, bo chciałyśmy trochę powspominać i odświeżyć znajomość. Dzwoniłam na Twoją komórkę i ciągle było zajęte. Chciałam Cię ze sobą zabrać, ale nie mogłam dłużej czekać. Mam nadzieję, że nie będziesz się bała spać sama w domu. Lodówka jest pełna. Wrócę jutro po południu.

Całuję

Bee

Włączyłam telewizor, słuchałam muzyki i odebrałam zaległe e-maile, lecz nic nie było w stanie uciszyć moich myśli. Były jak zacięta płyta z kiepską muzyką.

Ciężko spędzać samotnie taki wieczór. Gdy tylko zaszło słońce, dom zaczął przeraźliwie trzeszczeć. W ciemną i wietrzną noc robiły tak wszystkie stare domy, zwłaszcza jeśli zostawało się w nich samemu. Wzięłam więc do ręki słuchawkę i zadzwoniłam do Jacka.

Nie spodziewałam się, że go zastanę. Powiedział, że będzie dziś zajęty. Ale był w domu - to znaczy ona była, bo telefon odebrała kobieta. Zanim się odezwała, usłyszałam śmiech mężczyzny - śmiech Jacka. Była też muzyka w tle, subtelna i romantyczna.

- Rezydencja Jacka, słucham - powiedziała kobieta. Była tak pewna siebie, jakby już wcześniej odbierała tam telefony. Spojrzałam na zegarek: 21.47. Co robiła w jego domu o 21.47?

- Och, przepraszam - zaczęłam niezręcznie. - Chciałam rozmawiać z Jackiem.

Zachichotała.

- Cóż, jest teraz nieco zajęty. Mogę mu przekazać wiadomość.

- Nie trzeba - odparłam. - Nic nie szkodzi. Wszystko w porządku. Wszystko ze mną w porządku.

W tym momencie wściekłam się na niego tak samo jak Esther na Elliota i, jak sądziłam, Jane na Andre w *Years of Grace*. Zrozumiałam wtedy, dlaczego Esther wyrzuciła swój pierścionek. Dlaczego wyszła za kogoś innego. Gniew wrzał we mnie z taką siłą, z jaką w czasie sztormu przewalały się fale. Nie chciałam skończyć jak Esther, ale niech mnie diabli wezmą, jeśli pozwolę kolejnemu mężczyźnie, żeby mnie oszukiwał.

ROZDZIAŁ 16

16 MARCA

Obudziłam się tego ranka wcześniej, dużo wcześniej, niż powinnam, zważywszy na to, że przez pół nocy zastanawiałam się, czy w tym domu straszy. Gdy krótko po ósmej zadzwonił telefon, prawie zesłam na zawał serca.

- Halo? - powiedziałam.

- Halo, kto mówi? - Po drugiej stronie usłyszałam głos dojrzałego mężczyzny, głęboki i chropowaty.

Nie rozpoznałam go.

- Kto dzwoni? - odbiłam pytanie.

Osoby, które nie przedstawiają się pierwsze, tylko pytają o moje nazwisko, zawsze działały mi na nerwy. Takie zachowanie było po prostu nieuprzejme.

- Próbuję się skontaktować z panią Emily Wilson.

- Właśnie pan z nią rozmawia. Z kim mam przyjemność? Odchrząknął.

- Nazywam się Elliot Hartley.

Z wrażenia upuściłam słuchawkę. Chwyciłam ją ponownie z taką gwałtownością, jakbym obawiała się, że inaczej Elliot wróci na karty pamiętnika i zostanie tam na zawsze.

- Tak, mówi Emily.

- Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam, ale...

- Nie, nie - przerwałam mu. - W ogóle mi nie przeszkadzasz.

- To dobrze. Dzwonię, żeby spytać, czy moglibyśmy się spotkać. Chciałbym z tobą porozmawiać osobiście.

Jak mnie znalazł? Gdzie przebywa? Czy Esther żyje? Czy domyśla się, że czytałam pamiętnik? Czy Evelyn mu powiedziała? Nie chciałam go wypytywać o to przez telefon.

- Jak najbardziej - odparłam - to znaczy ogromnie się cieszę. Miałam nadzieję, że kiedyś się spotkamy.

- Może miałabyś czas, żeby mnie odwiedzić dzisiaj? - zapytał. - Bardzo chciałbym o czymś z tobą porozmawiać.

- Oczywiście - potwierdziłam szybko. Podał mi swój adres w Seattle.

- Przyślę następnym promem - chciałam się pożegnać.

- Emily, zaczekaj. Wiesz, kim jestem, prawda?

- Tak Elliocie, wiem. Jesteś mężczyzną, którego kochała moja babcia.

Pod terminal podjechałam taksówką. Dopiero gdy wsiadłam na prom, uświadomiłam sobie, że nie odwołałam wizyty u dziadka Jacka. Jednak po tym, co usłyszałam przez telefon, nie przejęłam się tym zbyt.

W czasie rejsu rozmyślałam o Esther. A może po prostu uciekła? Jeśli tak, gdzie teraz jest? Jeśli nie, jeśli jej śmierć - przełknęłam głośno ślinę - była wynikiem morderstwa, dlaczego nikt nie znalazł jej ciała?

Stworzyłam w głowie listę podejrzanych. Mój dziadek z pewnością miał motyw: wściekłość, zemsta, zazdrość. Może to wystarczyło. Gdy przyjrzałam się faktom, doszłam jednak do wniosku, że nie miał możliwości, by to zrobić. Co z dzieckiem - przypuszczalnie moją mamą? Zostawił ją samą, gdy udał się w pogoń za Esther? Nie wydawało się to zbyt prawdopodobne, choć było możliwe.

Wykluczyłam Frances i Rose, choć może zbyt pochopnie. Zastanawiająca była relacja Esther z Frances, zwłaszcza pod koniec. Tej ostatniej nocy Esther zobaczyła ją z Elliotem - może coś strasznego wydarzyło się w świetle księżyca. Czy Frances straciła panowanie nad sobą? Rozwazałam każdą ewentualność.

Prom przybił do wybrzeża Seattle i przyłączyłam się do tłumu wysiadających pasażerów. Wysiadając na ląd, poczułam motylki w brzuchu, bo naszła mnie myśl, że jestem coraz bliżej Elliota.

Złapałam taksówkę i podałam kierowcy adres. Elliot zapewnił mnie, że Dom Spokojnej Starości imienia Królowej Anny jest niedaleko centrum, i tak było. Nie minęło nawet pięć minut, a już zdążyłam zapłacić za przejazd i stałam przed wejściem do budynku. Bywaliśmy w tej okolicy z Gregiem na wakacjach. W kawiarni przecznicę dalej kupił mi moją pierwszą latte.

- Jestem umówiona z panem Elliotem Hartleyem - zakomunikowałam mężczyźnie siedzącemu w hallu na recepcji.

Pochylił się nad notatnikiem, po czym spojrzał na mnie zdezorientowany.

- Pani wybaczy, ale nikt taki u nas nie figuruje. Poczulałam, że pocał mi się dłonie, a serce zaczyna bić szybciej.

- Jak to? To jakaś pomyłka. Dopiero co z nim rozmawiałam i powiedział mi, że tu mieszka, w pokoju - przerwałam, żeby spojrzeć na numer, który zapisałam na kartce - 308.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Chciałbym pani pomóc, ale nie ma takiego nazwiska na liście.

Czy to jakiś okrutny żart? Zastanawiałam się.

- Proszę poczekać. - Nie chciałam się jeszcze poddawać. -Może pan sprawdzić jeszcze raz?

Wtedy z boku obok wyszła kobieta.

- Ed - powiedziała - pomóc ci w czymś? Znow wzruszył ramionami.

- Pani pyta o pensjonariusza, który u nas nie mieszka. Kobieta podeszła do biurka i spojrzała na mnie lekko zdziwiona.

- Kogo szukasz, skarbie?

- Nazywa się Elliot Hartley - odparłam.

- W porządku, zaraz sprawdzę. - Zabrała z rąk Eda notatnik i przeglądając go, zmarszczyła brwi. - No tak, tu leży problem. Ktoś znowu namieszał mi w Excelu. Nie dość, że nazwiska są źle posortowane, to jeszcze brakuje ostatniej strony. Pewnie została w drukarce.

Westchnęłam z ulgą. Ciągle jeszcze mogłam mieć nadzieję.

- Będę wdzięczna za sprawdzenie.

Wróciła chwilę później z kartką w dłoni i z uśmiechem na twarzy.

- Tak, jest u nas. Pokój 308. Ed jest tu nowy, więc nie zna naszych pensjonariuszy z imienia. Pan Hartley też mi się nie skojarzył, bo tutaj wszyscy mówią do niego Bud.

- Bud? - zdziwiłam się.

- Jedna z pielęgniarek tak go nazwała i przyłgnęło do niego - odparła.

- Mogę panią zaprowadzić do jego pokoju - zaproponował Ed. Pewnie było mu przykro, że wprowadził mnie w błąd.

- Dziękuję, chętnie skorzystam - odpowiedziałam.

Winda znajdowała się na końcu długiego korytarza. Weszliśmy do niej i Ed nacisnął przycisk z trójką, po czym stara maszyna ruszyła na trzecie piętro. Drzwi się otworzyły i Ed wyszedł na zewnątrz, ale ja zostałam w środku.

- To pani piętro - oznajmił.

- Wiem, ale jestem odrobinę zdenerwowana. Był wyraźnie zdziwiony.

- Po co się denerwować wizytą u swojego dziadka?

Potrząsnęłam głową i ostrożnie wyszłam z windy, jakby spodziewając się za nią jakiegoś niebezpieczeństwa. Korytarz pachniał biblioteką i przypaloną pieczenią.

- Nie jest moim dziadkiem, choć prawie nim został.

Ed po raz kolejny wzruszył ramionami. Pewnie sądził, że zwariowałam. Lecz teraz obchodziło mnie tylko to, że stoję przed drzwiami Elliota Hartleya. Jak wygląda? Zamknęłam na chwilę oczy i zobaczyłam twarz Jacka. Zdałam sobie sprawę, że czytając pamiętnik, wiele razy wyobrażałam sobie, że Elliot wygląda jak Jack. Przebiegł mnie dreszcz, wtedy podniosłam rękę i zapukałam.

Ze środka dobiegł mnie szelest, a potem dźwięk zbliżających się kroków. Drzwi otworzyły się powoli i pojawił się w nich mężczyzna. Był przystojny. Nie tylko jak na osiemdziesiąt lat, ale po prostu przystojny, pomimo rzadkich siwych włosów i pomarszczonej skóry.

- Bardzo jestem szczęśliwy, że przyszedłeś - powitał mnie. Oparł się o framugę drzwi i przyglądał mi się ciemnymi

oczami pełnymi ciepła. Podejrzewałam, że w ten sposób patrzył kiedyś na moją babcię.

- Gdy cię zobaczyłem na cmentarzu, od razu wiedziałem, że jesteś jej wnuczką - powiedział. - Jack nie musiał mi nic mówić. Sam poznałem.

Poczułam, że oblewam się rumieńcem. Oczywiście, że Elliot jest dziadkiem Jacka. Jak mogłam się tego nie domyślić? To niesamowite, cudowne i zagmatwane jednocześnie.

- Podobieństwo jest naprawdę uderzające - stwierdził i zamilkł na krótką chwilę. - Zupełnie, jakbym patrzył na nią.

Uśmiechnęłam się nerwowo, ale nie odpowiedziałam.

- Och, jakie to nieuprzejmie z mojej strony, że cię trzymam w progu - zreflektował się. - Wejdz proszę. Jego pokój okazał się maleńkim i lśniącym czystością mieszkaniem. Były w nim: oddzielna kuchnia z mikroskopijną jadalnią, salon, w którym mieściły się niewielka sofa i dwa krzesła, oraz sypialnia i łazienka.

- Czuj się jak u siebie - powiedział, wskazując mi krzesło przy oknie.

Podeszłam jednak do ściany, na której wisiały oprawione zdjęcia. Przedstawiały głównie dzieci i innych członków rodziny. Zwróciłam uwagę na czarno-białą fotografię ślubną. Byli na niej Elliot i jego panna młoda. O ile mogłam stwierdzić, nie była to Esther.

- Czy twoja żona nadal żyje? - spytałam. Pokręcił głową.

- Zmarła jedenaście lat temu.

Z jednej strony ton jego głosu nie zdradzał, że mu na niej zależało albo że za nią tęsknił, ale z drugiej strony to było proste pytanie, na które odpowiedział w prosty sposób.

- Pewnie się zastanawiasz, czy kochałem swoją żonę - stwierdził. - Czy kochałem ją tak samo mocno jak twoją babcię.

Właśnie nad tym się zastanawiałam, nie śmiałam jednak spytać.

- Kochałem Lillian, naprawdę. Ale to była inna miłość. Była moją towarzyszką. Za to Esther pragnąłem z całej duszy.

Mówienie w ten sposób o zmarłej żonie było nie na miejscu, uwłaczało jej. Zastanawiałam się, czy Lillian pogodziła się kiedykolwiek z faktem, iż zajmowała w życiu Elliota dopiero drugie miejsce, zaraz po Esther. Sama nie zrozumiałabym nigdy, jak głęboka była ich miłość, gdybym nie przeczytała pamiętnika.

Zanim usiadłam, moją uwagę przykuł regał z książkami. Pomiędzy Biblię i powieść Toma Clancyego wciśnięty został granatowy grzbiet książki. Poczułam dreszcz podniecenia i sięgnęłam ręką na półkę.

- Mogę zerknąć? - zdecydowałam się jednak spytać go o pozwolenie.

- Proszę bardzo.

Wiedziałam, że to *Years of Grace*, jeszcze zanim zobaczyłam wypisany złotymi literami tytuł.

- Kochała tę książkę - stwierdził Elliot odległym głosem. - Po... no cóż, po tych wszystkich wydarzeniach przeczytałem ją tyle razy. Sądziłem, że jeśli zrozumieć motywacje bohaterów,

może zrozumieć też Esther. - Westchnął. - W końcu wszystko zaczęło mi się zlewać w jedno, jak zawsze, gdy czyta się jakąś historię zbyt wiele razy.

- Ellicie, co się stało? Co tak naprawdę stało się z moją babcią? - zapytałam, siadając na sofie.

- Podejrzywałem, że będziesz chciała zrozumieć. Dlatego właśnie poprosiłem, żebyś dzisiaj do mnie przyszła. Wstał i poszedł w stronę kuchni.

- Napijesz się herbaty?

- Poproszę.

Nalał wody do czajnika elektrycznego i włożył wtyczkę do kontaktu.

- Może zacznę od tego, że twoja babcia zawsze sama podejmowała decyzje. Miała gwałtowny charakter. Była stanowcza i bardzo uparta. Jeśli wyrobiła sobie zdanie na jakiś temat, nic nie mogło tego zmienić.

Wyprostowałam się na krześle i przez moment pomyślałam o Jacku. Zastanawiałam się, czy ubiegłej nocy nie osądziłam go zbyt pochopnie. Czy byłam taka jak Esther? Czy jestem genetycznie uwarunkowana, by powtarzać jej błędy?

- Byliśmy zaręczeni - ciągnął Elliot. - Zaciskałem pasa i odmawiałem sobie wszystkiego, a w końcu zadłużyłem się po uszy, żeby kupić jej pierścionek. Ale zaszło między nami nieporozumienie.

Myślała, że spotykam się z inną kobietą w Seattle.

- A spotykałeś się?

Był wstrząśnięty takim posądzeniem.

- Oczywiście, że nie. Esther zobaczyła mnie ze starą przyjaciółką, która miała w mieście mieszkanie i sama się zaręczyła, więc chciała mi je sprzedać za cenę dużo niższą od rynkowej. Twoja babcia zawsze chciała mieszkać przy ulicy Marion, mieć duże okna i windę kuchenną. Mieszkanie w takim miejscu to było coś. Chciałem jej zrobić niespodziankę w dniu naszego ślubu, ale uprzedziła mnie.

- Czemu jej tego nie wytłumaczyłeś? Czemu po prostu nie powiedziałeś jej o tej niespodziance?

- Próbowałem. Nie chciała mnie słuchać. Przypomniałam sobie scenę w książce: wściekłość w głosie i rozpacz w oczach Esther stojącej na krawędzi chodnika. Tak to sobie wyobrażałam.
- Zerwała wasze zaręczyny i na tym się skończyło?
- Tak to mniej więcej wyglądało. - Jego przygnębienie zdradzało, że rana nadal była świeża, mimo że od tamtych wydarzeń minęło sześćdziesiąt pięć lat. Nadal nie wiedział, co poszło wtedy źle i czy mógł jakoś zmienić bieg wydarzeń.
- Więc wyszła za kogoś innego?
- Tak właśnie zrobiła - potwierdził, patrząc na swoje ręce, które ułożył na kolanach jedna na drugiej. - Przez długi czas byłem na nią wściekły i odpłacałem jej pięknym za nadobne. W Seattle poderwałem chyba połowę kobiet. Każdą zabierałem na wyspę i paradowałem z nią po mieście z nadzieją, że Esther to zauważy, lecz nie robiło to na niej żadnego wrażenia. Wyruszyłem więc na wojnę, ale nie mogłem o niej zapomnieć. Nawet na południowym Pacyfiku Esther dręczyła moje serce. Tylko o niej myślałem i śniłem. Była dla mnie wszystkim.
- Wysyłałeś jej listy z wojny?
- Tylko jeden. - Starał się stłumić nadmiar emocji. - Martwiłem się, że jej mąż może je przeczytać. Nie chciałem wchodzić między nich, ale musiałem napisać, co do niej czuję na wypadek, gdybym miał nie wrócić.
- Wiem, co się wydarzyło, gdy wróciłeś - powiedziałam.
- Skąd?
- Przeczytałam historię. Był dezorientowany.
- Jaką historię?
- Opisała waszą historię w pamiętniku oprawionym w czerwony aksamit. Nie wiedziałeś o nim?
- Nie - odparł. - Ale nie dziwi mnie to. Esther pisała przepiękne opowiadania. Chciała zostać pisarką. Zawodową pisarką. - Zastanawiał się nad czymś przez chwilę. - Czy mógłbym przeczytać ten pamiętnik?

- Nie mam go przy sobie, ale wyślę ci ksero.
 - Naprawdę to zrobisz?
 - Oczywiście. Nie sądzę, żeby miała coś przeciwko. Kochała cię, nawet po tym jak... - zawahałam się, bo nie chciałam wypytywać go w tej chwili o szczegóły. - Może pomożesz mi ustalić, kto jest kim w tej opowieści.
 - Spróbuję, Esther. Zaskoczył mnie.
 - Elliot, nazwałeś mnie właśnie Esther,, a ja jestem Emily. Pokręcił głową, jakby chciał siebie złączyć za niewłaściwe zachowanie.
 - Wybacz, proszę. To wszystko przez natłok wspomnień.
 - Nic się nie stało - odparłam. - W pamiętniku nazwała swoje przyjaciółki Frances i Rose. Czy to mogą być...?
 - Rose to Evelyn - powiedział Elliot bez wahania. - Nie zauważyłaś na programie mszy pogrzebowej, że na drugie imię ma Rose? Wszyscy tak do niej wtedy mówili. Przytaknęłam.
 - A Frances to...
 - Moja ciotka - wtrąciłam. - To moja ciotka, prawda?
 - Tak, wtedy używała pierwszego imienia. Przewisko Bee przyłgnęło do niej wiele lat później.
 - A więc ty - zastanawiałam się, jak to zgrabnie ująć - ty i moja ciotka byliście kiedyś...?
- Domyślił się, o co mi chodzi, i nawet nie próbował zaprzeczyć. Gdy przez kilka kolejnych sekund zbierał myśli, stwierdziłam, że ich relacje musiały być skomplikowane. Zaczynałam powoli rozumieć, jak wielki bagaż emocjonalny dźwigała moja ciotka przez te wszystkie lata. Odbicie tych samych uczuć dostrzegłam teraz w oczach Elliota.
- Westchnął głęboko. Chyba miał nadzieję, że rozmowa nie zejdzie na Bee, lecz skoro zeszła, musiał mi opowiedzieć całą historię.
- Dla mnie nie istniał nikt prócz Esther. Wszystkie inne kobiety były daleko w tyle. Ale Frances... - przerwał. - Frances była

inna. Była bardzo różna od Esther i przez jakiś czas przynosiło mi to ulgę. Twoja ciotka nigdy nie chciała się we mnie zakochać ani ja w niej. Mówiła mi setki razy, że nienawidzi samej siebie za uczucia, które żywi do ukochanego swojej przyjaciółki. Bardzo kochała twoją babcię - ciągnął, lecz nagle ogarnął go żal. - Oboje ją kochaliśmy. - Zamilkł i spojrzał na swoje ręce, a potem znowu na mnie. - Twoja ciotka była świadkiem naszych wzlotów i upadków, ale nigdy nie starała się nas rozdzielić. Chciała tylko, żebyśmy byli z Esther szczęśliwi. Nie dbała o własne szczęście. Taka właśnie była. Tylko raz...

- Co się stało?

- Był taki czas, gdy Esther zerwała ze mną - wtedy myślałem, że na zawsze - i w pobliżu była twoja ciotka. Stało się coś, co nie powinno się było stać.

W pokoju nastąpiła tak przenikliwa cisza, że słyszałam, jak Elliot pociera kilkudniowy zarost na swojej brodzie.

- To było w tę noc, gdy zniknęła - zaczął, a do oczu napłynęły mu łzy. - Przyjechała do domu twojej ciotki i zobaczyła nas przez okno. - Zamknął oczy. - Nadal widzę przed oczami jej twarz, ten smutek w oczach. Pewnie czuła się wtedy zdradzona.

- To prawda.

- Skąd wiesz?

- Napisała o tym w pamiętniku. - Podeszłam do jego krzesła i kucnęłam przy nim. - Nie obwiniaj się o to - powiedziałam.

- Nie mogę winić nikogo innego - odparł przez łzy. - To ja zdradziłem jej zaufanie. Ale uwierz mi, że gdybym wiedział, że do mnie wróci, że chce zacząć ze mną nowe życie... cóż, nigdy bym tam nie poszedł. Ta noc była okropna, po prostu okropna. Wszystko mogło się jeszcze ułożyć, lecz nie mogliśmy się zgrać w czasie. Nigdy nie mogliśmy się zgrać w czasie. - Schował twarz w swoich dłoniach.

- Elliocie, muszę wiedzieć, co się wydarzyło tamtej nocy. Potrząsnął głową.

- Wybacz mi. Myślałem, że będę mógł o tym rozmawiać, że zrzucę z siebie ten ciężar, ale nie wiem...

Nie wiem, czy dam radę.

Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że ręce zacisnęłam w pięści.

- Stało się coś złego, prawda? Przytaknął.

- Musisz mi powiedzieć - nalegałam. - Zrób to dla Esther. Wbił wzrok w swoje ręce.

- Elliocie, proszę, odpowiedz. Czy Esther coś się stało? Czy ktoś odebrał jej życie?

Znów zasłonił dłońmi swoją twarz.

- Tak! - wykrzyczał. - Tak. Ja to zrobiłem! Ja i Bee!

ROZDZIAŁ 17

Pewnie powinnam była wtedy wyjść - albo raczej wybiec -i zadzwonić z komórki na policję, jak tylko znów byłabym bezpieczna na ulicy. Zastanawiałam się, co by powiedziała dyspozytorka pod numerem 112, gdybym zgłosiła morderstwo mojej babci - z 1943 roku.

Nie przekonało mnie jednak to, co Elliot wyznał w sprawie śmierci Esther. Jak mógł zabić kobietę, którą tak bardzo kochał? A może po prostu wstrząsnęła mną informacja, że Esther zmarła. Zmarła. Nieodwracalne zakończenie tej historii zupełnie nie przystawało do tego, jak wyobrażałam sobie jej dalsze losy. W głębi duszy żywiłam nadzieję, że przeżyła, mieszka gdzieś daleko stąd i może nadal utrzymuje kontakt z Elliotem, spotykając się z nim potajemnie od czasu do czasu, o czym pamiętnik już nie wspominał. Chciałam, by tak było.

- Zaraz, zaraz. Twierdzisz, że to ty ją zabiłeś? Zamilkł na dłuższy moment.

- Nie, ale równie dobrze mogłem to zrobić własnymi rękami. Nigdy w życiu nie było mi tak ciężko jak teraz, kiedy muszę ci się przyznać, droga Emily, że jestem odpowiedzialny za śmierć Esther. Oboje jesteśmy - ja i twoja ciotka.

Zmarszczyłam brwi.

- Nie rozumiem.

- Gdy twoja babcia odjechała sprzed domu Bee, byliśmy przerażeni. Baliśmy się o nią. Nie wiedzieliśmy, gdzie może teraz pójść albo co będzie próbowała zrobić.

- Pojechaliście za nią? -Tak.

- Po co?

- Bee chciała ją przeprosić, a ja... cóż, ja chciałem tylko wziąć ją w ramiona i powiedzieć jej, jak bardzo ją kocham. Ją i tylko ją. Zanim będzie za późno.

- Jak to za późno?

Łzy zamgliły mu oczy, gdy mówił dalej:

- Bee prowadziła, siedziałem obok. Nie byliśmy pewni, gdzie mogła pojechać, więc sprawdziliśmy najpierw terminal promu. Nie było tam jej samochodu, więc przeczesaliśmy ulicę Główną. Nagle zdałem sobie sprawę, że musiała pojechać do parku. Byliśmy tam razem setki razy. Uwielbiała park Fay. - Znaleźliście ją tam?

- Tak. - Kręcił głową, jakby chciał wytrząsnąć z niej nadmiar bolesnych wspomnień. - To wszystko stało się tak szybko.

- Co takiego?

- W lusterku wstecznym mignęła mi jej twarz. Widziałem wyraz jej oczu. Wrył mi się w pamięć. Każdej nocy, każdej cholernej nocy przez ostatnie sześćdziesiąt lat mojego życia, zanim zasnę, widzę przed oczami jej twarz, jej smutne i zagubione spojrzenie.

Demony przeszłości sprawiły, że ręce zaczęły mu drżeć.

- Co się zdarzyło potem, Elliocie? - zapytałam łagodnie. -Powiedz mi. Muszę to wiedzieć.

Wziął głęboki oddech.

- Jej samochód stał na środku parkingu. Oboje wysiedliśmy. Chciałem porozmawiać z Esther sam na sam. Prosiłem Bee, żeby została w aucie, ale nie chciała na to przystać. Gdy podeszliśmy razem do drzwi pasażera, Esther zapaliła silnik... i...

- Elliocie, co się stało? Co zrobiła? Trząsał się od płaczu.
- Było ciemno. Było strasznie ciemno i była mgła. Wszędzie mgła.
- Elliocie, skup się proszę - powiedziałam wolno.
- Zapaliła światła samochodu. - Płakał, a każde słowo stłumione było przez rozpacz. - Oślepiły nas na chwilę, a ona pojechała prosto przed siebie i spadła. Spadła z urwiska. Na naszych oczach. Chciałam zakrzyknąć: Jak to? Przecież była w ciąży! Co z dzieckiem?
- Zaczęłam za nią biec na krawędź klifu - ciągnął, próbując się opanować. - Myślałem, że jeśli przeżyła upadek, uda mi się ją wyciągnąć. Chciałem skoczyć za nią, lecz twoja ciotka mnie powstrzymała. Staliśmy na zboczu i patrzyliśmy na wrak leżący na dole. Jej samochód rozpadł się na tysiąc kawałków, które teraz trawił ogień. Bee była w stanie powiedzieć tylko: „Ona odeszła, Elliocie. Odeszła. Zostaw ją”.
- Zadzwoniliście na policję albo pogotowie? Pokręcił głową.
- Bee powiedziała, żeby nie dzwonić, bo mogą nas oskarżyć o morderstwo. Powiedzieć, że ją zmusiliśmy, żeby zjechała z klifu.
- To co zrobiliście? Sięgnął po chusteczkę.
- Odjechaliśmy. Byłem w szoku. Mogłem myśleć tylko o tym, że powinienem za to siedzieć w więzieniu. Czułem się tak winny, jakbym sam ją zabił.
- A co, jeśli przeżyła upadek? Jeśli leżała ciężko ranna na plaży? Jeśli można ją było uratować? Elliocie, a co jeśli właśnie dlatego zjechała z tego klifu? Bo chciała, żebyś ją uratował? W jego spojrzeniu dostrzegłam błaganie o litość.
- Do śmierci będą mnie dręczyły te same pytania. Widziałem ten samochód. Widziałem, jak się rozbił. To był przerażający widok, ale tylko on był w stanie trochę mnie uspokoić. Nikt

nie wychodzi cało z takiego wypadku. Bee miała rację. Mogliśmy wtedy tylko odjechać. W tamtych czasach skazano by nas bez żadnych dowodów. Dla przysięgłych sprawa byłaby prosta -byliśmy tam, więc musieliśmy ją do tego zmusić. Westchnęłam.

- A co z Bee? Czy sądzisz, że miała jakieś wyrzuty sumienia?

- Tak - odparł. - Tej nocy coś w niej umarło. Już nigdy nie była tą samą osobą. Dlatego nawet po tylu latach nie możemy spojrzeć sobie w oczy. Zbyt wiele się stało, zbyt wiele wycierpieliśmy. Oboje, gdy na siebie patrzymy, przypominamy sobie o tamtej nocy i o Esther.

Przypominałam sobie wtedy coś, co wyczytałam w jednym z artykułów na temat śmierci Esther. Choć u podnóża klifu znaleziono wrak samochodu, nigdzie nie było jej ciała.

- Elliocie, przeczytałam, że nigdy nie znaleziono ciała Esther. Jak to możliwe?

- To prawda, też o tym czytałem.

Zastanawiałam się, czy przypadkiem czegoś przede mną nie ukrywa. Jakim cudem jej ciało mogło zniknąć po tak przerażającym upadku? Czy ktoś zszedł na dół i jednak ją uratował? Czy udało jej się wyjść z wypadku bez obrażeń? Niemożliwe, stwierdziłam w duchu.

- Jak sądzisz, co się stało?

- Przykro mi to mówić, ale nie sądziliśmy, by przeżyła. Wrak odnaleziono dopiero kolejnego dnia i niektórzy przypuszczali, że jej ciało zabrało morze, to piękne morze, które tak kochała. -Przerwał, rozważając ten pomysł, i wzruszył ramionami. - Inni znowu twierdzili, że mogła się uratować.

Skłamałbym, mówiąc, że przez jakiś czas nie chciałem w to wierzyć, ale minęło już tyle czasu. Gdyby przeżyła, czy nie wróciłaby na wyspę, do swojego domu? Do swojego dziecka? Nie wróciłaby... do mnie?

Znów uświadomiłam sobie, że Elliot nie wiedział o ciąży Esther. Przekazanie mu tej wiadomości sześćdziesiąt lat za późno wydało mi się okrutne i niesprawiedliwe, więc siedziałam cicho.

I tak przeczyta o tym niedługo w pamiętniku. Może właśnie w ten sposób miał się o tym dowiedzieć.

- Jest jeszcze coś - powiedział z rozbudzoną na krótką chwilę nadzieją w głosie.

- Co takiego?

- Pewnie to nie ma znaczenia, ale dla porządku powiem ci, że wyjeżdżając tej nocy z parku, zobaczyliśmy samochód, który do niego wjeżdżał.

- Poznałeś, kto to był?

- Nie jestem pewien, ale zawsze sądziłem, że to był Billy. Nazywa się Billy Henry Mattson, teraz używa tylko imienia Henry.

- Zaraz, chodzi ci o Henry ego, który mieszka przy plaży blisko domu Bee?

- Tak, znasz go?

Przytaknęłam. A więc Henry to Billy. Przypomniałam sobie jego zachowanie, gdy rozmowa zesłała na moją babcię, i zdjęcie kobiety, które trzymał nad kominkiem i które potem tajemniczo zniknęło.

Esther opisała go w pamiętniku jako przyjaciela, ale zawsze pojawiał się przy niej znikąd, co wydało mi się dziwne. Czy ją śledził? Wzdrygnęłam się. Niemożliwe, uspokajałam samą siebie. Nawet jeśli szalał na jej punkcie, przecież nie zabrałby jej ciała. Zaczęłam się jednak zastanawiać. Pozory mylą.

Kiedyś w luksusowej restauracji na Manhattanie podsłuchałyśmy z Annabelle fragment rozmowy, jak nam się wydawało, dwóch kobiet z wyższych sfer. Ociekały klejnotami i wyglądały na bywałe w świecie. Jedna z nich powiedziała: „Próbowałam już różnych marek, ale wprost uwielbiam Copenhagen. Lubię sobie zażyć na tarasie, gdy dzieci są już w łózkach”.

Szczęki nam opadły, gdy to usłyszałyśmy. Ta kobieta żuła tabakę - zupełnie jak budowlańcy, którzy gwizdali na nas na Broadwayu. To tak, jakby ojciec twojej przyjaciółki, trener drużyny futbolowej, stwierdził nagle, że lubi się przebierać w damskie fatalaszki. Nie byłyśmy w stanie tego pojąć.

Ale nie, to nie mógł być Henry. Próbowałam oddalić od siebie tę myśl, jednak uparcie do mnie powracała. Wyspa mojego dzieciństwa przetrwała niejedną burzę, lecz teraz wydawała mi się pogrążona w ciemnościach pełnych sekretów.

- Elliocie - zaczęłam, wspominając moją podróż na wyspę. -Wiem, jak to jest, gdy nie można dotrzeć do sedna jakiejś opowieści. - Przerwałam i spojrzałam prosto w jego zmartwione oczy. - Co ci podpowiada serce w sprawie Esther po tych wszystkich latach?

Uciekł wzrokiem w bok.

- Przez większą część życia próbowałam to sobie jakoś wytłumaczyć, ale nadal wiem tylko tyle, że tej nocy Esther zabrała ze sobą moje serce. Straciłam je na dobre.

Przytaknęłam, obawiając się, że za bardzo na niego naciskam.

- Nie bój się, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby znaleźć odpowiedzi na te pytania. Zrobię to dla ciebie i Esther. -Spojrzałam na zegar i wstałam. - Było mi ogromnie miło się z tobą spotkać, Elliocie. Dziękuję ci, że podzieliłeś się ze mną tą historią.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł. - Och, przecież po południu przychodzi do mnie Jack. Jeśli chcesz, możesz zostać i się z nim zobaczyć.

- Jack?

- Tak, nie mówił ci?

- Hm, mówił - z zaskoczenia potwierdziłam - ale muszę złapać prom. Bee na mnie czeka.

- No tak. Szkoda, że musisz iść tak szybko.

Rozważałam przez moment jego propozycję, lecz gdy tylko przypomniałam sobie o kobiecie, która odebrała telefon w domu Jacka, szybko umocniłam się w swoim postanowieniu.

- Przykro mi, nie mogę zostać dłużej.

Choć Elliot był nieco rozczarowany, nie namawiał mnie więcej.

- Chciałam cię jeszcze o coś spytać. - Przerwałam, żeby przemyśleć to, co miałam zamiar powiedzieć.
- Nie chcę być wścibska, ale... nie wiesz może czy u Jacka zatrzymała się kobieta? Przyjaciółka albo ktoś z rodziny?

Zdziwił się.

- Pytam, bo - zaczęłam się bawić swoim swetrem - pytam, bo wczoraj do niego zadzwoniłam i odebrała jakaś kobieta. Wydało mi się to dziwne, tylko tyle.

Skinął głową.

- A! Chyba wspominał, że spotyka się z kimś nowym.
- No tak - starałam się, żeby mój głos brzmiał obojętnie. Puścił do mnie oko.
- Nie mam pojęcia, kiedy ten chłopak się ustatkuje, skoro jest tyle ślicznych kobiet w jego życiu.
- Rzeczywiście.

Zamierzał pewnie powiedzieć mi komplement, ale jego słowa zabolowały. Nagle te dwa tygodnie spędzone z Jackiem wydały mi się żywcem wzięte z taniego romansu, w którym to ja jestem tą głupią. Jak mogłam być tak naiwna? Czemu me dostrzegłam, dokąd to wszystko zmierza? Jak mogłam brać to za dobrą monetę?

Podziękowałam mu za gościnę i wyszłam na zewnątrz - ze ściśniętym sercem i długą listą pytań bez odpowiedzi.

I już po wielkiej miłości, rozmyślałam, gdy taksówka wiozła mnie do portu. Chyba mam w życiu pecha.

Byłam szczęśliwa, gdy dotarłam do domu Bee, ale też zmartwiona Każda próba poruszenia tematu Esther, nawet podjęta z największą ostrożnością, będzie dla Bee takim zaskoczeniem i prowokacją jak roztrzaskanie o podłogę butelki starego i cennego wina na oczach ludzi, którzy chowali ją na swoją pięćdziesiątą rocznicę ślubu.

- Cześć, kochanie. Byłaś w mieście? - powiedziała na powitanie.

- Niezupełnie - odparłam, siadając na kanapie. Zajmowała krzesło naprzeciwko i pilnie rozwiązywała krzyżówkę. - Popłynęłam rano do Seattle.

- O! Byłaś na zakupach?

- Nie, odwiedzałam kogoś. Spojrzała na mnie wyraźnie zdziwiona.

- Nie wiedziałam, że masz przyjaciółkę w Seattle, kochanie. Szkoda, że nie powiedziałaś mi o niej, gdy byliśmy tam ostatnio. Może chciałyby się do nas przyłączyć.

Pokręciłam głową.

- Pewnie i tak by nie przyszedł. -On?

- Tak, on. Elliot Hartley.

Bee upuściła długopis na kolana i posłała mi spojrzenie mówiące, że takich rzeczy się nie wybacza.

- Bee - ciągnęłam - musimy porozmawiać o paru sprawach.

Przytaknęła, jakby spodziewała się, że taki dzień kiedyś nadejdzie. Kiedy tylko otworzyłam usta, gwałtownie popłynęły z nich słowa opowieści.

- Wiem już o mojej babci, tej prawdziwej. Znalazłam jej pamiętnik, czytałam go od przyjazdu tutaj.

Opisała w nim ostatni miesiąc swojego życia, aż do końca. Dopiero dzisiaj rano rozpoznałam, kto jest kim w tej historii. Jesteś tam ty, są Evelyn i Henry. Pomógł mi w tym Elliot.

Mówiłam szybko, głosem bliskim paniki, jakbym starała się zmieścić tajemnice czyjegoś życia w jednym akapicie. Wiedziałam, że mam mało czasu, zanim Bee zignoruje mnie i odejdzie, jak zawsze, gdy poruszy się przy niej niewygodny temat.

- Uwierzyłaś mu?

- A nie powinnam, Bee? Przecież moja babcia go kochała. Zachmurzyła się.

- Ja też go kochałam - odparła dalekim głosem. - I zobacz, do czego to doprowadziło.

- Bee - rzekłam miękko - wiem, co się stało tej nocy, gdy zniknęła. Zobaczyła was razem i pojechaliście za nią. - Zamilkłam z obawy, co powiedzieć dalej. - Wiem, że ją tam zostawiliście. Jak mogliście to zrobić? A jeśli była tylko ranna?

Bee zbladła jak ściana i zaczęła mówić zmienionym głosem.

- To była okropna noc - zaczęła słabo. - Kiedy Elliot do mnie przyszedł, wiedziałam, że nie powinien był tego robić. On też o tym wiedział. Ale twoja babcia zerwała z nim na zawsze, a ja od dawna byłam ciekawa, co czuje kobieta w jego ramionach. Od czasu gdy poznaliśmy się w szkole średniej, rozmyślałam nad tym setki razy, on jednak zwracał uwagę tylko na Esther. Aż do tej nocy, kiedy wydawało mi się, że nagle zapragnął mnie. - Pokręciła głową, jakby sama myśl o tym była śmieszna i naiwna. - Wiesz, jakie to uczucie?

Milczałam.

- Wmówiłam sobie, że wszystko jest w porządku - ciągnęła Bee - że Esther nie miałyby nic przeciwko.

- Ale potem zobaczyła was razem i...

- Wiedziałam już. Oboje wiedzieliśmy, że to był błąd.

- Więc pojechaliście za nią. Przytaknęła i ukryła twarz w dłoniach.

- Nie - powiedziała, wstając. - Nie mogę. Nie chcę. Nie będziemy o tym rozmawiać.

- Bee, zaczekaj. Co z pamiętnikiem? Czytałaś go? -Nie.

- Więc jak się tutaj znalazł?

W jej oczach dostrzegłam teraz przebliski szaleństwa.

- Jak to, tutaj?

- W tym domu - odparłam. - Znalazłam go w mojej sypialni. W szufladzie stolika nocnego.

Pokręciła głową.

- Nie wiem. Nie byłam w tamtej sypialni od trzydziestu lat. To był jej ulubiony pokój. Przemalowałam go na różowo dla niej i dla dziecka. Zamierzała odejść od twojego dziadka.

- Dlaczego więc umieściłaś mnie tam, skoro nie zamierzałaś mi opowiedzieć o mojej babci?

Była tak wyczerpana, że skończyły jej się odpowiedzi.

- Nie wiem - odrzekła. - Chyba po prostu stwierdziłam, że zasługujesz na to, żeby tam przebywać. Żeby być blisko niej.

- Myślę, że powinnaś przeczytać pamiętnik Esther - namawiałam ją. - Przekonasz się, że cię kochała i że ci wybaczyła.

- Gdzie on jest? - zapytała nagle tak wystraszona, jakby zobaczyła ducha.

- Przyniosę ci go. - Poszłam do sypialni i wróciłam z pamiętnikiem oprawionym w czerwony aksamit.

- Proszę.

Wzięła go w ręce, ale nie patrzyła na niego z ciekawością i ciepłem w oczach. Dławiła ją złość, a potem wybuchnęła płaczem.

- Ty nie rozumiesz - powiedziała i rzeczywiście nie miałam pojęcia, o co jej chodzi.

- Czego, Bee? Wytarła łzy z twarzy.

- Co ona nam zrobiła. Przez co musieliśmy przechodzić. Podeszłam do niej i położyłam dłoń na jej ramieniu.

- Powiedz mi, Bee. Najwyższy czas, żebym poznała prawdę.

- Nikt nie zna prawdy - odparła, biorąc głęboki oddech. W jej oczach zobaczyłam teraz wściekłość. - Powinnam go zniszczyć - stwierdziła, idąc w stronę swojej sypialni.

- Bee, zaczekaj! - Pobiegnęłam za nią, ale szybko zatrzasnęła drzwi i przekręciła klucz w zamku.

Długo czekałam przed jej drzwiami z nadzieją, że ochłonie na tyle, by się przemóc i po raz pierwszy w życiu porozmawiać ze mną na temat babci - szczerze i otwarcie.

Ale nie wyszła z pokoju. Została tam przez całe popołudnie. Kiedy zwyczajowo w porze kolacji mowy zaczęły wrzeszczeć, spodziewałam się, że zaczną się krzątać w kuchni, lecz nic z tego. Kiedy zaszło słońce, stwierdziłam, że teraz już na

pewno się podda, więc przeszłam do lanai, by zrobić sobie drinka. Wtedy również się nie pojawiła. Otworzyłam puszkę zupy, przejrzałam gazety i próbowałam oglądać film telewizyjny, ale już o dziewiątej ziewałam i snułam rozważania na temat marca. Spędziłam na wyspie trzy tygodnie obfitujące w wydarzenia, z których część przyjęła niepomyślny obrót. Obiecałam sobie, że znajdę odpowiedzi, dla Elliota i dla mojej babci. Jednak nie przyszło mi do głowy, że być może moja babcia chciała po prostu odejść z tego świata. Kim byłam, żeby mieszać w czyjeś przeszłości, w jej przeszłości? Czuję się zbyt zniechęcona, żeby nadal o tym rozmyślać. Chociaż Jack zostawił na mojej poczcie głosowej dwie wiadomości, nie oddzwoniłam do niego. Znużyły mnie te wszystkie sekrety, znużyły mnie Bee i Esther. Zatelefonowałam więc na lotnisko, żeby zmienić datę odlotu. Czas wrócić do Nowego Jorku. Serce podpowiadało mi, że morał historii Esther to zostać i walczyć - o prawdę i miłość. Jednak byłam na to teraz zbyt zmęczona.

ROZDZIAŁ 18

17 MARCA

Wracam do domu - oznajmiłam Annabelle przez telefon następnego ranka. Wypowiadający te słowa głos należał do osoby przegranej i bardzo przygnębionej, choć nie chciałam się do tego przyznać.

- Emily, przecież miałaś tam spędzić cały miesiąc.

- Wiem, ale mam po dziurki w nosie intensywnych doznań. Bee się do mnie nie odzywa, a z Jackiem to już koniec.

- Co jest nie tak z Jackiem?

Opowiedziałam Annabelle, jak odwiedziłam Elliota i co mi powiedział o kobiecie Jacka.

- A pomyślałaś, że Jack sam się potrafi wytłumaczyć? Pokręciłam głową.

- Po tym, co przeszłam z Joelem, nie będę ryzykować. Mam niski próg tolerancji. Nie pozwolę, żeby spotkało mnie to jeszcze raz, Annie.

- Mówię tylko - nalegała - że być może reagujesz zbyt gwałtownie, i to zupełnie nic nie znaczy.

- Cóż, nie nazwałabym tego, co powiedział mi Elliot, zupełnie niczym.

- Masz rację, nie brzmi to za dobrze. A co z tym całym zamieszaniem wokół opowieści twojej babci? Dajesz sobie spokój?

- Nie - odparłam, mimo że sama zrezygnowałam właśnie z dochodzenia prawdy. - Zajmę się tym z Nowego Jorku.

- Sądzę, że powinnaś zostać - odparła Annabelle. - Masz przed sobą jeszcze sporo pracy.

- Pracy?

- Tak. Dla Bee i dla siebie. - Przerwała. - Wiem, że nie zakończyłaś jeszcze sprawy z Joelem. Nie płakałaś.

- Nie płakałam - przyznałam się. - Może nie muszę.

- Musisz - zapewniła mnie.

- Annie, przyjechałam na wyspę, żeby poznać historię mojej rodziny, usłyszeć prawdę. Ani mnie, ani nikomu innemu nie przyszło z tego nic prócz złamanego serca.

Westchnęła.

- Myślę, że uciekasz przed problemami, z którymi powinnaś się zmierzyć. Em, rezygnujesz na ostatnim kilometrze maratonu.

- Pewnie masz rację - zgodziłam się. - Ale nie mam już siły, żeby biec dalej.

Gdy wyszłam ze swojej sypialni, spojrzałam na koniec korytarza i zobaczyłam, że drzwi pokoju Bee są nadal zamknięte. Byłam więc zaskoczona, że zastałam ją w kuchni zajętą układaniem kwiatów w wazonie.

- Czy te żonkile nie są cudowne? - zagaiła tak wesoło, jakbyśmy obie straciły krótkoterminową pamięć i zapomniały o wszystkim, co się wydarzyło wczoraj.

Przytaknęłam i usiadłam przy stole, bojąc się cokolwiek powiedzieć.

- Oprócz tulipanów to były ulubione kwiaty twojej babci - ciągnęła. - Uwielbiała wiosnę, zwłaszcza marzec.

- Bee - zapytałam głosem pełnym smutku i żalu. Oplakiwałam w duszy stratę jedynej rzeczy łączącej mnie z babcią, jej pamiętnika. - Zniszczyłaś go?

Przyjrzała mi się badawczo.

- Henry ma rację. Wyglądasz zupełnie jak ona, zwłaszcza gdy się złości.

Podeszła do swojego krzesła w salonie i przyniosła stamtąd pamiętnik.

- Proszę - powiedziała, zwracając mi go. - Oczywiście, że go nie zniszczyłam. Całą noc czytałam - każde słowo.

- Naprawdę? - Uśmiechnęłam się tak szeroko, iż Bee nie mogła zrobić nic innego, jak tylko odwzajemnić uśmiech.

- Naprawdę.

- I co o nim sądzisz?

- Przypomniałam sobie, jak szaloną, impulsywną i absolutnie cudowną kobietą była twoja babcia, jak mocno ją kochałam i jak bardzo mi jej brakuje.

Skinęłam głową. Czułam się tak zadowolona, że nawet gdyby Bee nie wypowiedziała już ani jednego słowa na temat babci, nie miałyby to dla mnie znaczenia.

- Chciałam ci powiedzieć, kochanie. Chciałam ci wyznać wszystko, tak jak próbowałam z twoją mamą. Ale za każdym razem powstrzymywał mnie ten okropny ból w sercu. Przez lata wzbraniałam się przed wspomnianiem roku 1943. Chciałam o nim zapomnieć.

Pomyślałam o fiołkach w ogrodzie Henry ego.

- Czy te kwiaty, które widziałyśmy u Henry ego - zamilkłam, by odczytać emocje malujące się na jej twarzy - przypomniły ci Esther?

Bee przytaknęła.

- Właśnie tak, kochanie. Nam obojgu przypomniwały. To tak, jakby - rozejrzała się dookoła pokoju i wzięła głęboki oddech - jakby przyszła do nas, mówiąc, że wszystko z nią w porządku.

Delikatnie pogładziłam jej rękę. Starannie budowana zapora została przerwana i wspomnienia nareszcie mogły płynąć spokojną falą. Poczułam, że mogę ją teraz wypytać o wszystko, więc tak zrobiłam.

- Bee, na tym obrazie, który mi podarowałaś, jesteś ty z Elliotem?

- Tak. Dlatego ci go dałam, nie mogłam na niego patrzeć. Przypominał mi o życiu, którego nigdy nie zaznałam, i o tych wszystkich problemach z twoją babcią.

Westchnęłam, bo poczułam się przytłoczona smutkiem.

- Dłate go nie pochwaliałaś mojego związku z Jackiem, prawda?

Nie odpowiedziała na moje pytanie, ale wystarczył mi wyraz jej oczu.

- Rozumiem to, Bee, naprawdę. Zamyśliła się.

- Pewnie chcesz, żebym ci opowiedziała o tamtej nocy, wytłumaczyła się jakoś.

Skinęłam głową.

- Byłam w błędzie, wierząc, że kiedykolwiek mogłabym zająć miejsce Esther w sercu Elliota. Byłam głupia. Nigdy też nie wybaczę sobie tego, że odjechaliśmy, nie sprawdzając, czy można ją uratować. Każdego dnia obwiniam się o jej śmierć.

- Nie mów tak, Bee - odparłam. - Wszystko stało się tak szybko. Próbowalaś chronić Elliota, rozumiem to.

- To było egoistyczne z mojej strony - mówiła dalej, nie patrząc na mnie. - Byłam przerażona, że policja może go oskarżyć o morderstwo i zabrać daleko ode mnie. Odjechałam stamtąd tak szybko, jak tylko mogłam. Wmawiałam sobie, że skoro Esther zdecydowała się zjechać z urwiska, to była jej sprawa. Byłam na nią wściekła. Nie mogłam pojąć, dlaczego tak bardzo chciała go skrzywdzić. Elliot przeżył szok, a ja chciałam go chronić. Nie jest to wytłumaczenie zasługujące na to, byście mogły mi z Esther przebaczyć. Chciałam ci tylko powiedzieć,

że jeśli chcesz kogoś winić za to, co się wtedy stało, powinnaś obarczyć winą mnie.

Siedziałyśmy przez parę minut w milczeniu, zanim się odezwałam.

- Czy to nie dziwne, że nie znaleźli jej ciała?

- Długo się nad tym zastanawiałam, ale w końcu przestałam. Po wypadku jej ciało zostało pewnie zmyte przez morze. Stwierdziłam, że miejscem jej pochówku stała się zatoka. Nawet teraz myślę o niej, gdy późno w nocy słyszę fale uderzające

o brzeg. Pani morza. Jest tam, gdzie chciała być, Emily. Kochała zatokę i zamieszkujące ją delikatne stworzenia. Jej opowiadania

1 wiersze były zawsze inspirowane pięknem nadbrzeża. - Przez okno wskazała plażę. - Tylko tak to sobie tłumacząc, zdołałam po tych wszystkich latach znaleźć spokój ducha.

Skinęłam głową.

- Przypomniało mi się coś jeszcze, Bee. Elliot powiedział mi, że widział tamtej nocy w parku samochód Henry'ego.

Spojrzała za mnie zdeorientowana.

- Jak to?

- Nie zauważyłaś go?

- Nie - odparła defensywnie. - To niemożliwe, żeby się tam znalazł.

- A co, jeśli rzeczywiście tam był, Bee? - rzekłam, przyglądając się uważnie jej twarzy. - Jeśli tak było, nie sądzisz, że mógłby coś wiedzieć?

- Nie wie - odpowiedziała pospiesznie. - Nie mam pojęcia, co Elliot nagadał ci o Henrym. Kochał się w Esther. Był tak samo zszokowany jak wszyscy na wyspie, gdy rozeszła się wieść o jej śmierci.

- No proszę. W takim razie sama będę go musiała zapytać. Może coś wie.

Bee pokręciła głową.

- Na twoim miejscu nie wypytywałabym go o to, kochanie.

- Dlaczego?

- To dla niego zbyt bolesne - przekonywała. Zastanawiałam się, czy próbuje teraz chronić Henry'ego tak

jak kiedyś Elliota.

- Esther miała na niego wielki wpływ, Emily. Ciężko mu będzie, jeśli przywołasz te wspomnienia. Nie zauważyłaś, jaką spłoszoną minę ma Henry w twoim towarzystwie? Przypominasz mu o niej.

- Rozumiem. Wiem, że zabrzmiało to dziwnie, ale mam wrażenie, że babcia chciałaby, abym go spytała. Myślę, że Henry wie więcej, niż daje po sobie poznać.

- Nie wie. Zostaw to tak, jak jest - przekonywała mnie Bee. Nie zgodziłam się.

- Wybacz, nie mogę postąpić inaczej.

Wzruszyła ramionami. Musiałam przyznać, że podeszła do tej sprawy rozsądnie.

- Emily - zaczęła - musisz pamiętać, że to, co się stało, już się nie odstanie. Nie możesz zmienić przeszłości. Nie chciałabym, żebyś zagubiła w tym wszystkim własną historię. - Zamilkła na chwilę. - Przyjechałaś tu przecież po to, żeby ją poznać.

Przyznałam jej rację skinieniem głowy.

Nastąpiła między nami cisza przerywana tylko odgłosem trzepotu skrzydeł mew na zewnątrz. W końcu zebrałam się na odwagę, żeby powiadomić ją o swoim wyjeździe.

- Wracam do Nowego Jorku. Zraniłam Bee tą wiadomością.

- Dlaczego? Miałaś przecież zostać do końca miesiąca.

- Miałam - rzekłam, patrząc na zatokę. Zważyłam w słuszność swojej decyzji. Czy nie poddałam się za szybko? - Ale wszystko się trochę skomplikowało.

Bee zgodziła się ze mną.

- Nie obyło się bez problemów, prawda?

- To były wspaniałe tygodnie, Bee. Zmieniłam się podczas pobytu tutaj. Zawdzięczam to twojej gościnności i miłości,

którą mnie obdarzyłaś. Ale myślę, że już czas wrócić do domu, żeby przetrwać te wrażenia.

Poczuła się chyba tak, jakbym ją zdradziła.

- Nie możesz tego zrobić tutaj?

Zaprzeczyłam, a moje postanowienie umocniło się z chwilą, gdy pomyślałam o Jacku.

- Przykro mi, Bee.

- Już dobrze. Nie zapominaj, że to też jest twój dom. Pamiętaj o tym, co ci powiedziałam. Należy do ciebie, a oficjalnie stanie się twój po moim odejściu...

- Czyli nigdy - odparłam, starając się uśmiechnąć.

- Czyli wcześniej, niż nam się obu wydaje - stwierdziła rzeczowym tonem.

Serce z bólem podpowiadało mi, że miała rację.

19 MARCA

Dzień zleciał mi na rozmyślaniu - o Esther i Elliocie, o Bee, o Jacku. Myślałam też o mojej mamie, dlatego następnego dnia zwinęłam się na sofie w lanai i wybrałam numer do domu.

- Mama?

- Cieszę się, że dzwonisz, skarbie - powitała mnie. Uświadomiłam sobie, że być może nigdy nie zrozumieję jej

do końca. Jednak odkopanie historii Esther przyczyniło się do tego, iż ujrzałam mamę w nowym świetle. W tym wszystkim była tylko dzieckiem, które straciło swoją matkę.

- Mamo, musimy o czymś porozmawiać - zapowiedziałam.

- O Joelu?

- Nie. - Intensywnie zastanawiałam się, co powiedzieć. -O... twojej mamie.

Milczała.

- Wiem o Esther, mamo.

- Ale skąd, Emily? Czy Bee coś ci powiedziała? Bo jeśli tak...

- Nie. Znalazłam coś, co należało do twojej mamy, pamiętnik, w którym pisała o swoim życiu. Przeczytałam go i wiem już, co się z nią działo, przynajmniej do końca tej historii.
- Więc wiesz, że nas zostawiła, mnie zostawiła - odparła z nagłym gniewem w głosie.
- Nie, nie zostawiła cię, przynajmniej nie zamierzała. Dziadek wyrzucił ją z domu.
- Co takiego?
- Kazał jej odejść. To był odwet za to, co mu zrobiła. A tej nocy, kiedy zniknęła, wydarzyła się tragedia. Staram się dowiedzieć wszystkiego dla ciebie, dla siebie, dla Elliota i dla...
- Emily, po co? Dlaczego to robisz? Czemu nie możesz tego zostawić w spokoju? - Podzielała w tej mierze zdanie Bee, być może z tego samego powodu. Obie bały się odpowiedzi.
- Nie mogę. Czuję, że powinnam to zrobić dla niej. Po drugiej stronie znów zapadła cisza.
- Mamo?
- Emily - powiedziała w końcu - wiele lat temu też próbowałam. Chciałam dotrzeć do mojej mamy, spotkać się z nią, ale przede wszystkim spytać, dlaczego odeszła, dlaczego zostawiła mnie. Próbowałam, wierz mi. Próbowałam. Moje poszukiwania skończyły się pustką i cierpieniem. Zdecydowałam, że czas przestać. Musiałam pozwolić jej odejść. A kiedy to zrobiłam, serce nakazało mi też opuścić wyspę.
- Chciałam spojrzeć jej w oczy. W tej chwili ujrzałabym w nich to, czego mi brakowało od bardzo dawna.
- O to mi właśnie chodzi, mamo. Mogę podjąć poszukiwania w tym samym miejscu, w którym ty je zarzuciłaś.
- Zaczerpnęła powietrza.
- Nigdy nie chciałam, żebyś się o tym dowiedziała, Emily. Chciałam cię przed tym ochronić. Martwiłam się, że odziedziczyłaś po niej tyle cech - kreatywność, charakter, nawet wygląd. Wiedziałam, że babcia Jane również dostrzega, jak bardzo jesteś podobna do Esther.

Słowa mojej mamy były jak igła i nić zszywające doskonałym ścięciem różne materiały, z których utkane było moje życie. Wspomniałam to niefortunne popołudnie, gdy babcia Jane zafarbowała mi włosy, i po raz pierwszy dotarło do mnie, że jej nienawiść nie była skierowana do mnie, tylko do Esther. To podobieństwo przerażało ją i denerwowało do tego stopnia, że chciała zmienić mój wygląd. Jak ogromny wpływ miała Esther na nich wszystkich.

- Welon. - Przypomniałam sobie, jak bardzo zabolęło mnie lekceważenie mamy, gdy zapragnęłam założyć tę rodzinną pamiątkę na swój ślub. - Dlaczego nie chciałaś, żebym go ubrała?

- Bo nie wypadało - odparła. - Z Danielle to inna sprawa, ale ty jesteś wiernym odbiciem Esther, więc po prostu nie mogłam cię puścić do ołtarza w welonie babci Jane. Bardzo mi przykro, skarbie.

- Już w porządku - odparłam.

- Zawsze bardzo chciałam, żebyś była szczęśliwa. Zastanawiałam się przez moment, jak ubrać w słowa to, co chciałam powiedzieć.

- Mamo, jest coś jeszcze. -Co?

Czułam powagę sytuacji i z całych sił starałam się powstrzymać łzy.

- Kiedy Esther zniknęła, była w ciąży. Usłyszałam, jak ciężko oddycha przez łzy.

- Nie wierzę - powiedziała.

- Spodziewała się dziecka Elliota, mężczyzny, którego kochała. Napisała o tym w pamiętniku. Wiem, że ciężko ci tego słuchać, mamo, przepraszam.

Wydychała nos.

- Przez tyle lat byłam zła na swoją mamę, na tę kobietę, która porzuciła mnie jako dziecko. No bo kto zostawia swoje dziecko? Ale teraz chciałabym się tylko dowiedzieć, czy mnie kochała. Czy moja matka mnie kochała.

- Kochała cię - odparłam bez wahania.

Pomyślałam w duchu, że Esther byłaby mi za to wdzięczna, mama zaś bardzo potrzebowała takiego zapewnienia.

- Naprawdę tak uważasz, skarbie?

Ton jej głosu - pełen uczuć, szczery i nieudający niczego - na zawsze zmienił sposób, w jaki myślałam o swojej mamie. W głębi duszy była nadal małą dziewczynką tęskniącą za matczyną miłością. Nigdy nie zdołam pojąć, jak przez tyle lat udało jej się ukrywać przed światem tyle cierpienia. Teraz nie skrywała swoich emocji, a ja podziwiałam ją za to jak jeszcze nigdy w życiu.

- Tak - potwierdziłam, kładąc sobie rękę na karku. - Natknęłam się też na coś, co jak sądzę, powinno należeć do ciebie.

Rozpięłam łańcuszek z rozgwiazdą i chwyciłam go w dłoń. Esther z pewnością chciałaby go podarować swojej córce.

Została mi godzina do wyjazdu z domu. Bee obiecała mnie podrzucić do terminalu. Musiałam popłynąć promem do Seattle, żeby złapać tam swój lot. Spakowałam walizkę, upychając w niej skarby znalezione na wyspie. Położyłam na wierzchu kosmetyczki dziecięcy album mojej mamy, ale stwierdziłam, że nie powinien znaleźć się w Nowym Jorku. Jego miejsce było tutaj, na wyspie, by moja mama mogła go odnaleźć. Wiedziałam, że tu wróci, a kiedy to nastąpi, sama odkryje jego zawartość.

Przypomniałam sobie o zdjęciu Esther, które dostałam od Evelyn. Stwierdziłam, że najlepiej będzie, jeśli wsunę je między karty albumu. Opierając się o brzeg łóżka, odszukałam ostatnią stronę. Nie było na niej nic prócz czterech czarnych rogów na zdjęcie i odręcznego, ozdobionego kwiatkami napisu: „Mama”. Ostrożnie wsunęłam zdjęcie na miejsce i zamknęłam album, po czym delikatnie włożyłam go do szuflady nocnego stolika. Mogłam przekazać go mamie osobiście, ale czułam, że wolałaby go znaleźć samodzielnie.

- Wrócę za dwadzieścia minut - powiedziałam Bee chwilę później.

Zanim zdążyła zaprotestować, szybko zamknęłam za sobą tylne drzwi.

Moje myśli kłębiły się jak złowieszcze chmury - szare i na-pęczniałe - zaczajone nad plażą. Czy Henry odpowie na moje pytania? Czy tamtej nocy widział moją babcię żywą? Co mu powiedziała, zanim zjechała z urwiska?

Doszłam do skrzypiących schodków prowadzących na jego werandę. Nie zauważyłam pajęczyn w oknach ani przekrzywionej futryny, z której wystawały drzazgi. Wzięłam głęboki oddech i zapukałam. Czekałam dłuższą chwilę.

Gdy zapukałam po raz drugi, zdawało mi się, że słyszę coś lub kogoś w środku, więc zbliżyłam się do okna i zaczęłam nasłuchiwać. Kroki. To był zdecydowanie dźwięk kroków, w dodatku oddalających się pospiesznie.

Przez szybę zobaczyłam pusty salon i korytarz prowadzący do tylnego wyjścia. Wyteżyłam wzrok. W tylnej części domu dostrzegłam ruch, a zaraz potem dotarł do mnie trzask zamykanych drzwi. Szybko przebiegłam trawnikiem na drugą stronę budynku, gdzie nadal rosły fiołki. Cierpliwie czekały i przyglądały się swoimi mądrymi oczami, jak samochód Henry'go wytacza się z garażu na żwirowy podjazd. Machałam i krzyczałam z nadzieją, że się zatrzyma, ale jechał dalej, wzbijając tumany kurzu. Nasze spojrzenia spotkały się na moment w lusterku wstecznym, ale nie zawrócił.

- Do widzenia, kochanie - zegnała mnie przy terminalu Bee, a jej policzki były zalane łzami. - Bardzo bym chciała, żebyś nie musiała wyjeżdżać.

- Ja też - odparłam.

Choć porzucałam dwie niedokończone historie, swoją i Esther, musiałam odejść. Powietrze było tu tak ciężkie od wspomnień i tajemnic, że nie mogłam złapać oddechu.

- Niedługo wrócisz, prawda? - zapytała Bee ze smutkiem.

- Oczywiście, że tak - zapewniłam ją.

Nawet jeśli nie byłam tego pewna, Bee z pewnością to uspokoiło. Uściskałam ją mocno, zanim dołączyłam do innych pasażerów na promie. Moim ostatnim zadaniem na wyspie było włożenie ksera pamiętnika Esther, które wykonałam w mieście, do koperty zaadresowanej na nazwisko Elliota i wrzucenie przesyłki do skrzynki pocztowej.

Opuszczałam ukochaną wyspę, nie wiedząc, czy kiedykolwiek na nią wrócę. Być może wiele lat przede mną to samo czuła moja babcia.

ROZDZIAŁ 19

20 MARCA

Następnego dnia obudziłam się w swoim nowojorskim łóżku. Wróciłam do wielkomiejskiego życia i starych problemów, które wydały mi się dość frywolne w porównaniu z niezręcznymi sytuacjami na wyspie Bainbridge -nierozwiązanej tajemnicy rodzinnej i nieskończonego romansu. Wróc. Ponieważ Jack nie zostawił mi na poczcie głosowej żadnej wiadomości - skończonego romansu.

Jeśli zdawało mi się, że Annabelle powita mnie w domu z radością, myliłam się.

- Nie powinnaś była stamtąd wyjeżdżać, Em - stwierdziła z bezpośredniością, na którą mogła sobie pozwolić tylko najbliższa przyjaciółka. - Musisz tam wrócić.

- Uznałam, że równie dobrze mogę rozmyślać tutaj. Może coś napiszę.

- Nie lubię owijać w bawełnę, skarbie. - Słowo „skarbie” było pełne sarkazmu. - Ale czy nie mówiłaś tego samego przez ostatnie, zastanówmy się, pięć lat?

Spojrzałam na swoje ręce. Nieświadomie zaczęłam ciągnąć się za mały palec - jak zawsze, gdy byłam zdenerwowana.

- Wybacz - powiedziała. - Wiesz, że chcę tylko, żebyś była szczęśliwa.
- Oczywiście, że wiem.
- To dobrze - Zamilkła i spojrzała na mnie przebiegle. - Bo pierwsza drużna na moim weselu musi być zadowolona.

Szczeka mi opadła.

- Annabelle! Niemożliwe! Ty i Evan?
- Ja i Evan, i Herbie Hancock - powiedziała z dumą, pokazując mi pierścionek zaręczynowy na swoim palcu. - Nie wiem, jak to się stało, Em. Przez te ostatnie parę tygodni znowu zaiskrzyło między nami. A potem zabrał mnie na koncert Herbiego Hancocka i oświadczył się między setami. Zgodziłam się! Bardzo mnie cieszył taki rozwój wypadków, ale zadrżałam nieco na myśl, że łuna szczęścia bijąca od Annabelle dodatkowo oświetli moją samotność.

Uśmiechnęłam się.

- A jak sobie radzisz z faktem, że imię Evan nie należy do kategorii małżeńskich długodystansowców?
- Do diabła z tym. Zaryzykuję. Zawsze może je zmienić urzędowo na Brucea. - Złapała swoją kurtkę.
- Wybacz, że już idę, ale spieszę się do domu. Wychodzimy dziś z Evanem na kolację do Vive.

Chciałabym iść z kimkolwiek na kolację do Vive.

- Baw się dobrze - powiedziałam.
- Och, zapomniałabym. Na stole w kuchni leży pudełko z twoją korespondencją.
- Dzięki - odparłam, zamykając za nią drzwi.

Jednak po jej wyjściu nie włączyłam laptopa ani nie przeczytałam poczty. Godzina zmieniła się w dwie, a potem w trzy godziny. Zwinęłam się na kanapie, nie bacząc na to, że nadal jestem w płaszczu i butach. Byłam uosobieniem zmęczenia. Zdołałam tylko przykryć się wełnianym kocem, który dostaliśmy w prezencie ślubnym od ciotki Joela i którego nie miałam śmiałości wyrzucić, choć nigdy mi się nie podobał. Był

zbyt mały i materiał drapał mi skórę, ale zrobiło się tak zimno, że podciągnęłam go pod brodę i położyłam głowę na chłodnej skórzanej poduszce. Myślałam o Jacku - o tym, jak dobrze by mi było, gdyby siedział tu teraz ze mną.

21 MARCA

Telefon zadzwonił rano wcześniej niż zwykle. Wydawało mi się, że dźwięk dzwonka brzmi jak połączenie pisku opon i alarmu pożarowego. Spojrzałam na zegar - były dwie minuty po ósmej.

- Halo?

- Em, to ja.

Znajomy głos, ale do kogo należał? Nieprzytomna z niewyspania, próbowałam sobie przypomnieć, gdzie go już słyszałam. W kawiarni? W filmie? Nagle uświadomiłam sobie, kto dzwoni, i na chwilę stanęło mi serce. Gdy teraz o tym myślę, jestem prawie pewna, że na ten moment również ziemia przestała się obracać.

- Joel?

- Słyszałem, że wróciłaś - powiedział miękko, ostrożnie.

- Jak to słyszałeś, że wróciłam. Skąd wiedziałeś, że w ogóle wyjechałam?

- Posłuchaj - odparł, unikając odpowiedzi na moje pytanie. - Wiem, że to głupio zabrzmiało. Wiem, że chcesz teraz odłożyć słuchawkę. Ale tak naprawdę, Emily, popełniłem straszny błąd. Muszę się z tobą zobaczyć. Potrzebuję tego.

To, co powiedział, brzmiało szczerze i smutno. Wbiłam sobie paznokcie w ramię tylko po to, by się upewnić, że nie śnię. Joel chce mnie z powrotem, więc dlaczego nic nie czuję?

Usiadłam i pokręciłam głową.

- Nie, nie mogę - odparłam, przypominając sobie tę, no jak jej tam. - Zacznijmy od tego, że się żenisz.

- To słowo wstrząsnęło

mną do głębi. - A tak przy okazji, dzięki za piękne zaproszenie na ślub. Jak miło, że o mnie pamiętałeś. Moje uszczypliwe słowa spotkały się jednak ze zdziwieniem.

- Jakie zaproszenie?

- Nie udawaj głupiego. Przecież sam je wysłałeś.

- Nie, to jakaś pomyłka. Nie wysyłałem nic takiego. - Zamilkł na kilka sekund. - To Stephanie. Ona musiała to wysłać. Trudno uwierzyć, że upadła tak nisko, ale może powinienem się był tego po niej spodziewać. Nie jest osobą, za jaką ją miałem, Em. Od kiedy zamieszkaliśmy razem, ma urojenia na temat wszystkiego, a zwłaszcza ciebie. Uważa, że nadal cię kocham i, no cóż, ja...

- Joelu, przestań.

- Daj mi pół godziny - prosił. - Postawię ci jednego drinka. Dziś wieczorem o siódmej w tej małej knajpce tuż za rogiem -przełknął głośno - naszego mieszkania.

Ścisnęłam mocniej słuchawkę.

- Niby dlaczego miałabym się zgodzić?

- Bo ja... bo ja cię nadal kocham - odparł tak bezradnie, że mu uwierzyłam.

Wyciągałam teraz kłaczki z koca. Rozum podpowiadał mi, żeby nie ulegać pokusie i odmówić, ale gdzieś na dnie serca poczułam, że powinnam się zgodzić.

- No dobrze - powiedziałam.

Był to wystarczający powód, żeby wziąć prysznic, włożyć seksowne szpilki i wyjść z nim dziś wieczorem na jednego drinka. Tylko jednego.

Gdy weszłam do knajpy, w której mieliśmy się spotkać, czułam się bardziej atrakcyjna niż dawniej. Może to wyspa miała na mnie taki wpływ, a może świadomość, że Joel chce do mnie wrócić. Tak czy inaczej, wiele się zmieniło od czasu naszego ostatniego spotkania i zastanawiałam się, czy Joel to zauważy.

Zobaczyłam go przy barze na drugim końcu sali. Wyglądał tak samo jak tego dnia, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Stał nieco niedbale, opierając się na jednym łokciu, i rozdzielał te swoje uśmiechy. Był tak samo przystojny, tak samo niebezpieczny. Gdy spojrzał na mnie, wzięłam się w garść i podeszłam do niego. Nadal mogę mieć tego mężczyznę dla siebie. Przez chwilę ta myśl wydawała mi się przerażająca.

- Cześć - powiedział, oplatając ramię wokół mojej talii i całując mnie w policzek.

Nie odsunęłam się. Sposób, w jaki całował mój policzek i w jaki ja stałam u jego boku, przypominał lot z autopilotem - zadziałała pamięć mięśni.

- Wyglądasz zachwycająco - powiedział.

Poprowadził mnie do stolika w rogu knajpy, choć tak naprawdę nie była to knajpa, tylko luksusowy klub nocny. Przypominał mi te miejsca, do których Joel zawsze chciał mnie zabierać, gdy ja wolałam zamówić jedzenie do domu i spędzić wieczór w łóżku na wspólnym oglądaniu programu *Saturday Night Live*.

- Może jesteś głodna? - spytał z delikatnością, jakby bał się, że powie coś niewłaściwego i mnie odstraszy.

- Nie jestem - odparłam zaskoczona swoją szczerością. - Ale wypiję tego drinka, którego ci obiecałam. Uśmiechnął się i z pamięci odtworzył kelnerce mój ulubiony wybór: dirty martini, dodatkowe oliwki. Gdy już usiedliśmy, zaczęłam się rozglądać po klubie. Wszędzie dookoła widziałam kobiety - piękne, doskonale ubrane, z idealnymi włosami i ciałami - lecz po raz pierwszy od nie pamiętam kiedy Joel wpatrzony był tylko we mnie.

Sączyłam swojego drinka powoli. Stwierdziłam w duchu, że jeśli miał to być nasz ostatni wspólny wieczór, nie ma nic złego w przeciąganiu tej chwili.

- Jak się miewa Stephanie? - zapytałam.

Spojrzał w dół na swoje ręce, a potem z powrotem na moją twarz.

- Skończyłem z nią, Emily. - Starannie dobierał słowa, aby niczym mnie nie urazić. - Głupio sądziłem, że to miłość, ale nią nie była. Nie kochałem jej i nigdy nie mógłbym jej pokochać. Nie mam pojęcia, co mi odbiło. Teraz wiem, że to był okropny błąd.

Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć, więc z początku milczałam, potem zaś wezbrał we mnie gniew. Uderzyłam dłońmi o stół.

- Czego ode mnie oczekujesz, co? Najpierw z nas dwóch wybierasz ją, a teraz, jak gdyby nigdy nic, przychodzisz tu i masz czelność mi powiedzieć: „Ojej, spieprzyłem sprawę. Zabawiłem się i chciałbym do ciebie wrócić”. To nie działa w ten sposób.

Wyglądał na zmartwionego.

- Do końca życia sobie tego nie wybaczę. - Odchrząknął. - Stephanie to już przeszłość. Chcę ciebie. Potrzebuję właśnie ciebie. Jestem tego pewien jak niczego innego do tej pory.

Wiedziałam, że to nie jest błaganie faceta, który ni z tego, ni z owego zmienił zdanie. Była to prośba mężczyzny, który wiedział, że stracił coś, na czym zależało mu najbardziej na świecie. I tylko dlatego zdecydowałam się go wysłuchać.

- Nie rozumiesz? - ciągnął. - To może być dla nas druga szansa, nasz drugi rozdział. Wyszlibyśmy z tego silniejsi, bardziej niż kiedykolwiek zakochani w sobie, gdybyś tylko mi przebaczyła.

- Już dobrze - odparłam, widząc łzy w jego oczach. Spojrzałam na niego z ukosa i posłałam mu uśmiech. - Postanowiłam ci przebaczyć, jeszcze zanim tu dotarłam. Jego oczy momentalnie zabłysły.

- Naprawdę?

- Tak - potwierdziłam.

Chwycił mnie za rękę i pozwoliłam mu, żeby ją potrzymał.

- To co powiesz, Em? - zapytał, patrząc na mnie swoimi wielkimi bezbronnymi oczami. - Pozwolisz mi wrócić do domu?

Pomyślałam o Esther i Elliocie stojących przed laty na chodniku przy hotelu Landon Park. O tym, jak Esther machnęła

ręką na ich związek. Czy to była nauczka dla mnie? Czy powinnam spróbować jeszcze raz? Patrzył na mnie teraz w taki sposób, że zyskałam pewność: moglibyśmy przetrwać ten kryzys. Wrócić do siebie. Dać sobie drugą szansę. Wiele par dawało sobie radę ze zdradą. Nie bylibyśmy pierwsi. Wtedy jednak uświadomiłam sobie, że wolę to zostawić za sobą, bo nie chcę do niego wracać. Przez kilka ostatnich tygodni na wyspie Bain-bridge udało mi się zaleczyć rany, choć do tej pory nie zdawałam sobie z tego sprawy. Teraz już wiedziałam.

- Joelu, przebaczyłam ci - odparłam miękko - lecz nasze małżeństwo to już przeszłość.

Był zdezorientowany.

- Ale...

- Przebolełam to. Musiałam się jakoś pozbierać. - Zerknęłam na moje martini. Szklanka była już pusta. Obiecałam mu tylko jednego drinka. - Przepraszam, muszę już iść.

- Nie idź jeszcze - namawiał. - Zostań na jeszcze jednego. - Podniósł rękę, jak gdyby chciał przywołać kelnerkę do naszego stolika.

- Nie zostanę. Pora się pożegnać - odparłam, wstając. Rzucił na stół pięćdziesiąt dolarów i wyszedł ze mną na zewnątrz.

- Przeczytałem tę książkę - wypalił na chodniku przed klubem. Odwróciłam się w jego stronę.

- Jaką książkę?

- *Years of Grace* - odparł. - Wreszcie ją przeczytałem. Szkoda, że nie zrobiłem tego wcześniej.

Wiedziałbym, dlaczego tak ją uwielbiasz. Wiedziałby... jak naprawić nasz związek.

Wpatrując się w jego przystojną twarz oświetloną uliczną lampą, poczułam się rozdarta. Podziwiałam jego subtelnie wyrzeźbioną brodę z cieniem zarostu, który tak bardzo mu pasował, duże sarnie oczy i rumieniec na policzkach. To była spokojna marcowa noc w Nowym Jorku, wprost idealna. Staliśmy zupełnie sami na chodniku w cieniu wiązów.

- Stawaliśmy się Jane i Stephenem, tymi bohaterami z książki - zaczął rozsądnie, korzystając z mojego milczenia. - Myślałem, że już mnie nie kochasz, że się zmieniłaś. Dlatego...

No i wróciliśmy do Stephanie. Stephanie - przeszkoda, której nie byłam w stanie pokonać.

Uświadomiłam sobie teraz, że była zupełnie nieistotnym powodem rozpadu naszego związku.

- Powinienem był wiedzieć - ciągnął. - Powinienem był... Wyciągnęłam rękę i czule dotknęłam jego ramienia.

- Joelu, przestań. Nie obwiniaj się. Był poważny.

- Mogliśmy mieć razem wszystko: dzieci, pięćdziesiątą rocznicę ślubu, domek na wsi. Mogliśmy wszystko naprawić, jak Jane i Stephen. Nadal możemy.

Potrząsnęłam głową. Joel i ja wcale nie byliśmy Stephenem i Jane. To prawda, że gdy ich więzi osłabły, zawzięli się w sobie i poświęcili wiele, żeby odbudować miłość na nowych zasadach: dotrzymywania sobie towarzystwa, okazywania szacunku i podziwu. Ale ja i Joel byliśmy jak Jane i Andre, którego miłość nie wytrzymała próby czasu.

- Rzeczywiście, związek Jane i Stephena przetrwał - odrzekłam cicho - ale naszemu... naszemu nie było to pisane. Nie widzisz tego? Nasza historia miała skończyć się inaczej niż ich.

Przyglądał mi się bacznie oczami pełnymi smutku.

- Co mam powiedzieć, co mogę zrobić, żebyś zmieniła zdanie?

Potrząsnęłam głową.

- Przykro mi, nic już nie możesz zrobić.

Wtedy porwał mnie w ramiona i przyciągnął do siebie. Gdy mnie całował, czułam na sobie ciepło jego ciała. Zamknęłam oczy, próbując odpowiednio uszanować ten moment. W wyobraźni ujrzałam wtedy Jane i Stephena, Esther i Elliota. Byli tuż przy mnie. W końcu pojawiła się twarz Jacka, która poruszyła moje serce.

- Wybacz - odparłam, odsuwając się od niego. Przytaknął ze zrozumieniem, wpatrując się we mnie tak,

jakbym była ostatnią kobietą na ziemi. Takim chciałam go zapamiętać.

- Nigdy nie dam za wygraną - powiedział. Zadrżałam na dźwięk tych słów, bo właśnie to powiedział Andre do Jane na samym początku *Years of Grace*, a jego głos miał wtedy w sobie determinację, miłość i obietnicę. Jednak zamiast przemówić do mojego serca, Joel tylko utwierdził mnie w mojej decyzji.

- Do widzenia, Joelu.

Mój głos stłumił wiatr, który gwizdał teraz w koronach wiązów. Drzewa machały gałęziami w pełnym dramatyzmie pożegnaniu. Tym razem oboje wiedzieliśmy, że żegnamy się na zawsze.

Gdy wracałam do domu, było mi lekko na sercu. Wreszcie zrzuciłam z siebie ciężar, który tłamsił mnie od lat. Przed wejściem na górę sprawdziłam skrzynkę pocztową, ale nic w niej nie było.

Przypomniałam sobie wtedy, że Annabelle mówiła coś o pudełku w kuchni.

W mieszkaniu powiesiłam płaszcz na fotelu, odsunęłam krzesło z za stołu i posortowałam pocztę, tworząc osobne stosy rachunków, reklam i listów adresowanych do Joela. Pomędzy dwoma ofertami kredytowymi znalazłam pożątkłą kopertę. Przy zwykłym znaczku zobaczyłam drugi za trzy centy, który wyglądał jak relikw z przeszłości. Na kopercie nie było adresu nadawcy, a mój został świeżo zapisany piórem kulkowym.

Tak się spieszyłam, żeby otworzyć kopertę, że prawie porwałam jej delikatny papier na strzępy. W środku znalazłam pojedynczą kartkę papieru zapisaną najpiękniejszym charakterem pisma, jaki kiedykolwiek widziałam:

31 marca 1943 Moja droga

Piszę do Ciebie, nie wiedząc, kim ani gdzie jesteś, ani też w jaki sposób jesteśmy ze sobą powiązane. Nasze serca spotkały się z nieznanego mi powodu i dzięki jakiejś sile dzielimy ten sam moment w czasie, choć rozdzielony przez długie lata. Pewnie już przeczytałaś pamiętnik. Był niczym więcej jak tylko chaotycznym zapisem moich uczuć. Nie wiem, czym okaże się dla Ciebie czy kogoś innego, lecz pewna mądra osoba powiedziała mi, że kiedyś będzie komuś potrzebny. Wierzę, że to Ty jesteś tą osobą. Zrób z nim co chcesz, bo gdy się na niego natkniesz, mnie już pewnie nie będzie na świecie. Zostawiam Cię z moją refleksją na temat miłości, która nasunęła mi się po doświadczeniu wielu porażek: wielka miłość przetrwa czas, cierpienie i odległość. Nawet gdy wszystko wydaje się stracone, prawdziwa miłość trwa nadal. Teraz już o tym wiem i mam nadzieję, że Ty również.

Z pozdrowieniem sprzed lat

Esther Johnson

Przyłożyłam dłoń do serca. Prawdziwa miłość trwa nadal. Sprawdziło się to dla Jane z *Years of Grace*, tak samo jak dla mojej babci Esther. Poczułam na policzku przeciąg wiejący od okna i zrobiło mi się zimno. Zabawna rzecz ten czas, pomyślałam. Od chwili gdy pisała do mnie list, upłynęło całe pokolenie. Esther wierzyła w to, że tutaj będę i przeczytam jej słowa. Zadbala o to, żebym je odkryła. Moje serce przepelniała wdzięczność i miłość dla babci, której nigdy nie znałam. Ale kto wysłał do mnie ten list? I co z jej córką? Czy mama tak po prostu padła ofiarą miłości?

Rozmyślałam nad tym, co Esther napisała o wielkiej miłości, która przetrwa. Jej refleksje odzwierciedlały słowa Elliota. Ale jak mogli się nadal kochać po tych wszystkich latach spędzonych osobno? Po tych wszystkich nieporozumieniach? Po tym wszystkim, co się wydarzyło? Wróciłam do poczty i zauważyłam na dnie pudełka grubą żółtą kopertę zaadresowaną do mnie. Nadana została na wyście Bainbridge. Wyciągnęłam jej zawartość i otworzyłam zagięte kartki papieru.

Droga Emily

Jesteś już w swoim domu w Nowym Jorku, a ja bardzo chciałem, żebyś otrzymała te listy w chwili swojego przyjazdu. Napisała je Twoja babcia Esther. Chciałem Ci je przekazać podczas Twojego pobytu na wyspie, ale nie byłem pewien, czy skończyłaś czytać pamiętnik. Evelyn powiedziała mi, że go czytasz. Cieszę się, że go znalazłaś. Wiedziałem, że tak będzie. Od kiedy tamtej nocy zobaczyłem Cię przy terminalu, wiedziałem już, że to Ty miałaś przeczytać słowa Esther. Pojawiłaś się tak nagle po tylu latach czekania na jakiś znak. Następnego ranka po Twoim przyjeździe przyszedłem do domu Twojej ciotki. Spałaś wtedy na sofie. Bee była w ogrodzie, więc wślizgnąłem się do Twojej sypialni i zostawiłem tam dla Ciebie pamiętnik. Gdyby Twoja ciotka знаła moje zamiary, zabroniłaby mi oddawać Ci pamiętnik, więc nic jej nie powiedziałem.

Powinienem był powiedzieć Ci o tym osobiście i mam nadzieję, że wybaczysz mi moją słabość. Jesteś do niej tak podobna, Emily, że przebywanie z Tobą przypomina mi o niej, o tym, jak ją kochałem, ale przede wszystkim o tym, że nigdy nie była w stanie odwzajemnić moich uczuć.

Zastanawiasz się pewnie, co stało się w nocy, gdy zniknęła, a jeśli dowiedziałaś się, że byłem tam wtedy z nią, być może

podejrzewasz, że mam krew na swoich rękach. Nadszedł więc czas, bym rozwiał Twoje wątpliwości. Nigdy o tym nikomu nie mówiłem, ani Twojej ciotce, ani Evelyn, a już zwłaszcza Elliotowi, lecz Ty musisz się dowiedzieć. Starzeję się, a zdecydowałem, że tego sekretu nie zabiorę ze sobą do grobu, nawet jeśli takie było życzenie Twojej babci. Czas wyjawić prawdę. Esther chciałaby, żeby jej historia przetrwała.

Tej nocy w 1943 roku odwiedzałem przyjaciela mieszkającego niedaleko domu Esther i Bobby'ego. Gdy szedłem do samochodu, usłyszałem krzyki i ujrzałem, jak Bobby zatrzaskuje drzwi, zostawiając Esther na werandzie. Zabolalo mnie to, jak ją potraktował. Wyglądała na zrozpaczoną i bardzo jej współczułem. Odjechała z szaleństwem w oczach, a jej samochód tańczył po całej drodze. Martwiłem się, że może sobie coś zrobić, więc pojechałem za nią do Elliota, potem do Bee i w końcu do parku. Powiedziała mi, że chce opuścić wyspę, ale w taki sposób, aby już nikt nigdy jej nie znalazł.

Wpadła na pomysł, żeby zainscenizować swoją śmierć, aby nikt, a już zwłaszcza szczęśliwa para, Elliot i Bee, nie próbował jej szukać. Esther chciała zacząć życie od nowa. Zainspirował ją „kurczak”, ryzykowna zabawa wymyślona na wyspie przez uczniów szkoły średniej, w której niemal doprowadzało się stare samochody do zderzenia czołowego. W jej wersji prowadziła samochód, a potem wyskoczyła z niego, zanim spadnie z urwiska. Błagałem ją, by tego nie robiła. Gdyby chciała, uciekłbym z nią tej nocy. Tak bardzo ją kochałem.

Miała jednak inne plany. Chciała spektakularnie opuścić wyspę w sposób, który skrzywdzi ukochanych jej ludzi, a potem zdecydować o swoim życiu sama..

Miałem nerwy w strzępach. Czekałem na nią w samochodzie ukrytym w cieniu drzew blisko wjazdu do parku, podczas gdy ona zwiększała obroty silnika. Wtedy przyjechali Elliot i Bee. Bałem się, co Esther może zrobić, gdy się z nimi spotka twarzą w twarz.

To, co się stało dalej, przypominam sobie jak przez mgłę -tak samo jak tuż po tamtej nocy. Bee zatrzymała samochód. Elliot wysiadł z niego i zamurowało go. Esther zrobiła wtedy coś, od czego nadal chodzą mi po kościach dreszcze. Zjechała autem z urwiska. Tak po prostu. Już jej nie było. Elliot tylko stał i krzyczał. Nigdy tego nie zapomnę. Jakikolwiek żal czuła Bee po stracie Esther, odłożyła go na później, żeby zająć się Elliotem. Twoja ciotka to dobra kobieta, Emily. Pewnie teraz już o tym wiesz. Tamtej nocy chronienie Elliota przez zarzutem morderstwa było dla niej najważniejsze. Wciągnęła go więc do samochodu i odjechali z piskiem opon. Już zawsze będę pamiętał tę rozpacz na twarzy Elliota. Od dawna próbowałem się pogodzić z tym, co się wydarzyło, i doszedłem do wniosku, że bardzo mi go szkoda. Jakie to musi być straszne uczucie obserwować na własne oczy, jak twoja ukochana odbiera sobie życie, i nie móc temu zapobiec. Wiem, że rozmyśla o tym każdej nocy, i to jest jego kara za wszystko, co zrobił.

Ponieważ Esther przeżyła.

Kiedy wyskoczyłem z samochodu, żeby znad krawędzi klifu spojrzeć na wrak, usłyszałem, że coś się rusza w krzakach po lewej stronie. Była tam Twoja babcia z kilkoma siniakami i zadrapaniami. Jakimś cudem wyskoczyła z auta, zanim spadło z urwiska. Zrobiła dokładnie to, co zaplanowała. Możesz sobie wyobrazić, jaką radość i ulgę poczułem, gdy ją tam zobaczyłem.

Poprosiła, żebym zawiózł ją na prom. Dała mi swój pamiętnik i wytłumaczyła, jakie ma znaczenie. Kazała mi obiecać, że przetrzymam go do odpowiedniego momentu, więc zabrałem go do domu i zachowałem przez te wszystkie lata.

Błagałem Twoją babcię, żeby została, ale powiedziała, że podjęła już decyzję, a znając Esther, nie można było liczyć na to, że ją zmieni.

Dopiero po wielu miesiącach nadeszły do mnie jakieś wieści od niej. Muszę przyznać, że spodziewałem się najgorszego.

Ale listy zaczęły powoli napływać. Najpierw z Florydy, potem z bardziej egzotycznych miejsc - z Hiszpanii, Brazylii, Tahiti. Pisała, że zmieniła nazwisko, przefarbowała włosy i, co było dla mnie najbardziej szokujące, urodziła dziewczynkę o imieniu Lana.

Oderwałam się na chwilę od listu. Z każdą chwilą moje serce biło coraz mocniej. Lana. Od razu przypomniałam sobie to imię. Kobieta, o której mówił Jack, jego klientka. To tłumaczy jej zainteresowanie Jackiem i jego sztuką. Musiała skontaktować się z nim, szukając Elliota. Wszystkie elementy układanki zaczynały do siebie pasować. Czytałam dalej:

Oczywiście pytała o swoją córkę, Twoją mamę. Do czasu gdy twój dziadek opuścił wyspę ze swoją nową żoną Jane, utrzymywałem z nim kontakt i byłem w stanie informować Esther na bieżąco, co było dla niej dużą pociechą.

Nie chciała, by ktokolwiek wiedział, że żyje, ale pod koniec prosiła, abym przekazał wyrazy miłości i najlepsze życzenia Bee, Evelyn i Elliotowi. Kochała ich i myślała o nich wiele w ciągu tych lat. Ze wstydem muszę przyznać, iż nigdy nie przekazałem jej wiadomości. Nie mogłem się zdobyć na odwagę. Minęło tyle czasu i nie sądziłem, by byli w stanie poradzić sobie z prawdą. Martwiłem się też, co o mnie pomyślą, skoro ukrywałem przed nimi sekret tej wagi. Zdażyli już pogrzebać ją w swoich sercach. Ale jeśli oczekujesz szczerzej odpowiedzi, powiem Ci, że listy Esther były jedyną rzeczą, jaka mnie z nią łączyła, i nie chciałem się nimi dzielić. Nie z Bee, nie z Evelyn, a już na pewno nie z Elliotem.

Listy od Esther przestały przychodzić parę lat temu i bardzo za nimi tęsknię. Zastanawiam się, gdzie jest, czy wszystko z nią w porządku i czy nadal żyje. Pod koniec przestała zamieszczać adres zwrotny na kopertach, a moje próby znalezienia jej spęłzyły na niczym. Obawiam się, moja droga, że pewnie już nie żyje.

Teraz przekazuję jej listy Tobie. Mam nadzieję, że czytanie ich sprawi Ci tyle przyjemności co mnie przez te wszystkie lata. Mam nadzieję, że pomogę Ci poznać Esther i pokochać ją tak mocno, jak ja ją kochałem. Listy są pełne życia, nadziei i oczekiwania na lepsze jutro, ale między wierszami odkryjesz też smutek i cierpienie. Sama się przekonasz, że tak jak Ty była kimś niezwykłym.

Pozdrawiam

Henry

Rozparłam się na krzesło i westchnęłam, przyciskając list do piersi. A więc nie umarła tamtej nocy. Wszystko zainsce-nizowała, a Henry jej w tym pomógł. Nie mogłam się doczekać, kiedy powiem o tym Elliotowi. Potem jednak zaczęłam się zastanawiać, czy rzeczywiście chciałby wiedzieć, że przez te wszystkie lata pisała listy do Henry ego, a nie do niego. Zrozumiałby to? Potrafiłby jej wybaczyć? Po raz ostatni spojrzałam w głąb koperty. Przegapiłam coś zapakowanego w sztywną tekturę. Gdy ją wyciągnęłam, zobaczyłam w środku fotografię z domu Henry ego z przyczepioną kartką samoprzylepną:

„Pomyślałem, że chciałabyś mieć to zdjęcie swojej babci. Właśnie taką noszę ją w sercu”.

Fotografię położyłam na stole, a sięgnęłam po stos jej listów. Chciałam przeczytać każdy z nich.

25 MARCA

- Dawno cię nie widziałam - powiedziała na sesji parę dni później moja terapeutka Bonnie. Nalegała, abym mówiła do niej Bonnie zamiast doktor Archer, więc niechętnie na to przystałam.

- Rzeczywiście - odparłam, wbijając kłykcie w niebieskie obicie fotela. Jak zawsze u Bonnie dręczyło mnie poczucie winy. - Wybacz, że opuściłam kilka wizyt, ale wyjechałam dość niespodziewanie. - Opowiedziałam jej o wszystkim: wyspie Bainbridge, Bee, Evelyn, pamiętniku, Gregu, Jacku, Hen-rym, spotkaniu z Elliotem, nawet o Joelu. Również o tym, że przez kilka ostatnich dni rozmyślałam nad tymi wydarzeniami.

- Zdajesz sobie sprawę z tego - zaczęła, gdy już wszystko z siebie wyrzuciłam - że już mnie więcej nie potrzebujesz?

- Co masz na myśli?

- Masz swoje odpowiedzi - stwierdziła.

- Mam? - Tak.

- Ale nadal nie mogę pisać - oponowałam - Nie wyleczyłam się jeszcze.

- Wyleczyłaś - przekonywała. - Idź do domu. Sama zobaczysz. Miała rację. Gdy późnym rankiem dotarłam do mieszkania,

wyciągnęłam laptop i zaczęłam pisać. Pisząc, nie zauważyłam, że minęła pora lunchu, potem godzina ulicznego szczytu i pora kolacji. Pracowałam bez przerwy do późna w nocy, aż opisałam całą historię Esther.

Zanim zamknęłam laptop, długo wpatrywałam się w ostatnie zdanie. Na tym kończył się jej pamiętnik, lecz nie cała opowieść. Czułam to w głębi serca. Wzięłam głęboki oddech i przeszłam enterami na nową stronę. Nie znałam jeszcze zakończenia, ale zdecydowałam, że gdy tylko je poznam, dopiszę ciąg dalszy. Zrobię to dla Esther. Dla Elliota. Dla Bee, Evelyn, Henry ego, dziadka, babci, mamy i dla siebie.

30 MARCA

Odkąd wróciłam do Nowego Jorku, starałam się nie myśleć o Jacku, ale znienacka, gdziekolwiek bym była, pojawiał się

wspomnienie o nim.. Nie mogłam się pozbyć uczucia, że stale przy mnie jest, i zastanawiałam się, czy o tym właśnie mówili Elliot i moja babcia, gdy mieli na myśli miłość, która przetrwa wszystko.

Jednak z Esther los zadrwił, więc może powinnam wyciągnąć z jej historii wnioski, iż jestem w stanie pogodzić się z porażką w miłości i zachowując o niej pamięć, żyć dalej.

W południe zadzwoniłam do Annabelle, żeby skłonić ją do wyjścia z biura na lunch.

- Nie świętowałyśmy jeszcze z okazji twoich zaręczyn - namawiałam.

Umówiłyśmy się o trzynastej w restauracji w pobliżu mojego mieszkania. Kierowniczka sali posadziła mnie przy stoliku. Annabelle wpadła na miejsce spóźniona dziesięć minut, mówiąc:

- Przepraszam. Dzwoniła mama Evana. Lubi długie pogawędki.

Uśmiechnęłam się szeroko.

- Dobrze cię znowu widzieć, Annie. Odwzajemniła mój uśmiech.

- Więc jak ci się udał wyjazd? To znaczy wiem, że wiele się wydarzyło, ale czy cieszysz się z niego choć trochę?

Przytaknęłam.

- Cieszę się.

- Co zamierzasz teraz zrobić? Posłałam jej uśmiech.

- Wiem, co powinnam zrobić. -Co?

- Skończyć pisanie pamiętnika.

- Co masz na myśli?

- Dokończę spisywanie tej historii w miejsce Esther. Dodam ostatni rozdział.

Annabelle była uradowana.

- Opowieść mojej babci była ukrywana przez wiele lat. Bardzo bym chciała doprowadzić jej pamiętnik do końca - ciągnęłam.

Sięgnęła przez stół po moją dłoń.

- Dzięki temu swoje sprawy również doprowadzisz do końca. Skinęłam głową.

- Wszystko dzięki tobie.

- No coś ty - przekomarzała się ze mną. - Ja tylko wsadziłam cię do samolotu. Sama zajęłaś się resztą.

- Annie, mało brakowało, a zostałamby miłośniczką kotów. Wyobrażasz sobie mnie dzielącą mieszkanie z dziewiętnastoma sierściuchami?

- Jak najbardziej - odparła z uśmiechem. - Dlatego ktoś musiał cię przed tym uratować.

Roześmiałyśmy się wesoło, a potem Annabelle spuściła wzrok.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Gdzie wyjeżdżam?

- Na wyspę Bainbridge.

Obie w głębi serca wiedziałyśmy, że tak właśnie zrobię. Musiałam tylko zastanowić się, kiedy i w jakich okolicznościach zjawię się na wyspie.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziałam.

Nie przewidziałam jednak, że ktoś określi ten moment za mnie.

Wróciłam do domu po piętnastej. Na automatycznej sekretarce migało światełko, więc nacisnęłam przycisk odtwarzania.

„Emily, mówi Jack”.

Zamarłam z wrażenia.

„Długo szukałem numeru do twojego mieszkania i trochę trwało, zanim zorientowałem się, że opuściłaś wyspę. Byłem trochę zdezorientowany, bo nie sądziłem, że wyjedziesz

bez pożegnania, ale potem odwiedziłem dziadka. Opowiedział mi o twojej wizycie i dotarło do mnie, o co mogło chodzić. Ostatnio pogarsza mu się pamięć, więc jeśli nagadał ci o mnie dziwnych rzeczy, nie bierz tego serio".

Wiadomość urwała się w tym miejscu. Odtworzyłam kolejną. „Wybacz, to znowu ja. Chciałem ci też powiedzieć o tamtym wieczorze. To ty dzwoniłaś, prawda? Mam nadzieję, że nie odniosłaś mylnego wrażenia. Pracowałem nad obrazem dla klientki. Odebrała, bo miałem żółtą farbę akrylową na rękach. Uwierz mi, proszę. Nie łączy nas nic poza pracą. Emily, ona jest po sześćdziesiątce. Czy to cię choć trochę uspokaja?" Przerwał na moment. „Ale jest coś, co przed tobą ukrywałem. Powinniśmy o tym porozmawiać". Znów zamilkł. „Emily, tęsknię za tobą. Potrzebuję cię... Kocham cię. No, wydusiłem to z siebie. Zadzwoń, proszę".

Wyszukałam jego numer w rejestrze połączeń, nacisnęłam odpowiednie klawisze i natychmiast oddzwoniłam. Kocha mnie. Długo czekałam na połączenie, ale nie odbierał. Rozłączyłam się więc i zrobiłam drugą rzecz, która przyszła mi na myśl: zadzwoniłam na lotnisko i zabukowałam lot do Seattle na następny dzień.

- Czy chciałaby pani bilet powrotny? - zapytał pracownik obsługi.

- Dziękuję, tylko w jedną stronę - odparłam bez zastanawiania się.

Spakowałam się ekspresowo. Gdy już zasunęłam walizkę, ogarnęło mnie jednak przecucie, że o czymś zapomniałam. Przeszłam po mieszkaniu, odtwarzając w głowie listę rzeczy do zabrania, i uświadomiłam sobie, że brakuje mi *Years of Grace*. Myślałam o tej książce od mojego powrotu do Nowego Jorku i bardzo chciałam przeczytać ją na nowo, tym razem w kontekście wydarzeń z życia Esther.

Powieść cierpliwie na mnie czekała na półce w salonie. Wyciągnęłam ją, usiadłam wygodnie na kanapie i przeczytałam

parę stron. Przez chwilę świeżym okiem przypatrywałam się stronie tytułowej i wtedy dostrzegłam coś, co przegapiłam w trakcie wszystkich poprzednich lektur: odręczny napis czarnym tuszem, teraz wyblakły i powycierany, ale nadal widoczny. Podniosłam kartkę do oczu, żeby zobaczyć go z bliska. Były tam słowa: „Własność Esther Johnson”.

ROZDZIAŁ 20

31 MARCA

Gdzieś w szkole średniej usłyszałam o dziewczynie, która popłynęła z przyjaciółmi do Seattle, ale spóźniła się na prom, który miał ją zabrać na wyspę przed dwudziestą drugą, bo tak umówiła się z rodzicami. Ponieważ następny prom płynął dopiero za godzinę, a jej surowy ojciec dałby jej za to co najmniej szlaban, dziewczyna spanikowała. Kiedy ujrzała odpływający z terminalu statek, rzuciła torbę, pobiegła na koniec trapu i skoczyła. Zamiast wylądować na pokładzie, wpadła do wody. Trafiła na ostry dyżur ze złamanym nadgarstkiem i siniakiem na brodzie. Krystalina. Tak miała na imię. Przypomniałam sobie o niej, jak tylko usłyszałam syrenę i zobaczyłam odpływający z doku prom. Serce we mnie zamarło.

Przez ostatnie trzynaście godzin leciałam samolotem albo koczowałam na lotnisku, co było ceną za podróż last minute, więc gdy wreszcie dotarłam do terminalu i zobaczyłam, że zaledwie o parę sekund spóźniłam się na prom o dziewiętnastej, rozważałam skok na miarę Krystaliny. Spojrzałam w dół na wzburzoną wodę i stwierdziłam, że wyspa może jeszcze trochę poczekać. Jack też może poczekać. A może nie?

Prom przyplłynął na wyspę o 20.25. Nie czekał na mnie nikt prócz samotnej taksówki.

- Może mnie pan zawieźć na ulicę Hidden Cove? - spytałam taksówkarza. Skinął głową i sięgnął po moją walizkę. - Nie ma pani za wiele bagażu - stwierdził. - Przyjechała pani na krótką wizytę?

- Jeszcze nie wiem - odparłam.

Znow przytaknął, jakby dokładnie wiedział, o co mi chodzi. Podałam mu adres Jacka. Gdy dojechaliśmy na miejsce, w jego domu było ciemno, zbyt ciemno.

- Wygląda na to, że nie ma nikogo w domu - powiedział taksówkarz, choć było to dla nas obojga oczywiste.

Zirytowała mnie jego sugestia, żebyśmy odjechali.

- Proszę tu na mnie poczekać. Zaraz wracam.

To był ten moment w filmach, gdy kobieta i mężczyzna wracają do siebie, wpadają sobie w ramiona i łączą się w namiętnym pocałunku.

Zapukałam do drzwi i czekałam może z minutę. Potem zapukałam znowu.

- Jest ktoś w domu? - zawołał taksówkarz z samochodu. Zignorowałam go i zapukałam jeszcze raz, przysłuchując się

uderzeniom mojego serca. Proszę cię, Jack, otwórz.

Po kolejnej minucie wiedziałam już, że nie nadejdzie. Albo nie było go w domu. Nagle to wszystko mnie przerosło. Usiadłam na werandzie i ukryłam głowę w kolanach.

Co ja tutaj robię? Dlaczego pokochałam tego mężczyznę? Rozmyślałam nad fragmentem z *Years of Grace*, który zawsze podziwiałam: „Miłość nie była cieplarnianym kwiatem zmuszanym do niechętnego kwitnięcia. Miłość była polnym zieleń na poboczu drogi niespodziewanie pokrywanym się kwiatami”.

To prawda. Nie zrobiłam nic, żeby się zakochać. Stało się to tak po prostu i nie mogłam już tego powstrzymać. Uświadomienie sobie tego było moją pociechą, gdy siedziałam na zimnym i samotnym progu domu Jacka.

- Proszę pani, czy wszystko w porządku? - odezwał się taksówkarz. - Jeśli potrzebuje pani noclegu, mogę zadzwonić do żony, żeby przygotowała pani łóżko. To niewiele, ale przynajmniej będzie się pani miała gdzie podziać.

Dotarło wtedy do mnie, że na wyspie Bainbridge każdy mieszkaniec ma w sobie wiele dobroci.

Spojrzałam na niego, próbując wziąć się w garść.

- Dziękuję, to bardzo uprzejme z pana strony, ale moja ciotka mieszka tuż przy plaży. Zatrzymam się dzisiaj u niej.

Wysadził mnie przed domem Bee. Po zapłaceniu za przejazd stałam chwilę z walizką w ręku wpatrzona w dom, zastanawiając się, czy powrót tutaj był dobrą decyzją. Podeszłam bliżej wejścia i zobaczyłam, że palą się światła, więc weszłam do środka

- Bee?

Siedziała w swoim krześle jak zawsze. Poczułam się tak, jakbym nigdy nie wyjeżdżała. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, jej widok podniósł mnie na duchu.

- Emily? - Wstała, żeby mnie wyściskać. - Co za niespodzianka!

- Musiałam wrócić - odparłam.

- Wiedziałaś, że to zrobisz - powiedziała. - Czy Jack jest jednym z powodów, dla których wróciłaś? Przytaknęłam.

- Przed chwilą byłam u niego w domu. Nie ma go tam. Bee spoważniała.

- To przez Elliota. - Wypowiedziała jego imię w taki sposób, że przeszły mnie ciarki. - Jest chory. Jack zadzwonił chwilę temu i mnie powiadomił. Chciał, żebym wiedziała... - Przerwała, bo z nadmiaru tłumionych emocji załamał jej się głos - że z Elliotem... jest źle, kochanie. On umiera.

Nerwowo przełknęłam ślinę.

- Jack jest teraz w drodze do szpitala. Niedawno wyjechał z domu, żeby zdążyć na prom, więc jeśli się pośpieszysz, możesz go jeszcze złapać.

Spojrzałam na swoje stopy.

- No nie wiem. Myślisz, że będzie chciał mnie zobaczyć? Bee skinęła głową.

- Wiem, że będzie chciał cię zobaczyć. Idź do niego. Ona też by tego chciała.

Oczywiście miała na myśli Esther i tylko dzięki jej słowom znalazłam się tej nocy w terminalu. To jej słowa na zawsze zmieniły moje życie. Wierzę, że dzięki nim zostały jej darowane wszystkie winy.

Obie o tym wiedziałyśmy i miałam przeczucie, że gdyby była tu z nami Esther, ona również skinęłaby głową z aprobatą.

- Pożyczysz mi samochód? - zapytałam z uśmiechem. Rzuciła mi kluczyki.

- Lepiej dodaj gazu. Przyspieszyło mi tętno.

- A co z tobą? - Przypomniałam sobie o przeszłości jej i Elliota. - Chciałabyś się z nim zobaczyć?

Spojrzała na mnie, jakby chciała odpowiedzieć twierdząco, lecz pokręciła głową.

- Będę się czuła nie na miejscu. - Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nadal go kochasz, Bee?

- Nonsens - odparła, wycierając policzki.

- Co było w tej paczce, którą dostałaś od Elliota? Uśmiechnęła się.

- Album ze zdjęciami, który podarował mi po powrocie z wojny. Odesłałam mu go po wypadku twojej babci, ale zachował go przez te wszystkie lata.

Uścisnęłam jej dłoń i złapałam swoją torbę.

- Leć już, leć. Ścigaj swojego Jacka - powiedziała na pożegnanie.

Jechałam garbusem Bee z taką prędkością i z takim zacięciem, jakby od tego zależało moje życie. Nie myślałam o drogówce, o wypadkach ani o czymkolwiek innym - tylko o Jacku. Liczyła się teraz każda minuta, każda sekunda.

Przepędziłam volkswagena po całej wyspie, zanim dotarłam do terminalu. Moje serce zamarło, gdy zajeżdżając na parking, usłyszałam syrenę sygnalizującą odjazd promu. Pobiełam przez terminal do trapu, znów rozważając skok. Jednak prom był już za daleko. Nie zdążyłam na niego. Nie zdążyłam złapać Jacka.

Chwyciłam kurczowo za barierki, utyskując na swoje spóź-nialstwo. Wiadomo było, że tak to się skończy. W ostatnich latach moje życie stało się serią rozczarowań. Dowłokłam się do krawędzi terminalu, gdzie mieszkańcy wyspy zazwyczaj czekali na swoich przyjaciół i krewnych przyplływających z Seattle. Z tego miejsca wyraźnie widziałam prom. Bezskutecznie wyteżałam wzrok, żeby dostrzec Jacka, ale statek był już tak daleko, że nie można było rozpoznać twarzy.

Wtem za plecami usłyszałam kroki. Ktoś biegł w stronę terminalu. Odwróciłam się i zobaczyłam go, jak biegnie z walizką w ręku w stronę trapu. Wyglądał na zmartwionego - to jest, dopóki nie zobaczył mnie.

- Emily?

- Jack. - Jak wspaniale było znów wypowiedzieć jego imię. Upuścił walizkę i podbiegł do mnie.

- Nie miałem pojęcia, że tu będziesz - powiedział, odgarniając sobie włosy z oczu.

Potem dotknął dłonią mojej twarzy. Pozwoliłam, żeby przemówiło moje serce.

- Odebrałam twoją wiadomość i chciałam ci zrobić niespodziankę.

Uśmiechnął się.

- Jesteś wyjątkowo miła.

Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale wybił go z rytmu odległy dźwięk syreny. Kolejny prom wpływał do portu przed czasem.

- Pojechałam do twojego domu - mówiąc to, przyglądałam się badawczo jego twarzy.

Złapał mnie za rękę, a jego dotyk rozgrzał każdy centymetr mojego ciała.

- Bee powiedziała mi, że twój dziadek jest chory. Bardzo mi przykro. Chciałeś do niego popłynąć, prawda?

Przytaknął.

- Miałem u niego zanoć, żeby nie czuł się samotny. Jutro rano ma operację.

- Wyjdzie z tego?

- Nie mamy pewności. W ciągu ostatnich pięciu lat miał już wszczepiane dwa bajpasy i doktor mówi, że jeśli ten nie pomoże, to nie będą więcej próbować.

Zastanawiałam się, czy Esther wie, że serce jej ukochanego pęka, i to dosłownie.

- Powinieneś przy nim być - powiedziałam. - Możemy zobaczyć się jutro po jego operacji. -

Wskazałam na prom, z którego wysiadali właśnie pasażerowie, a który niedługo wyruszy w drogę powrotną. - Złap ten prom. Zaczekam tu na ciebie.

Pokręcił głową.

- Zostawić cię tu taką piękną i uroczą? Nie, dziadek nigdy by tego nie pochwalił. Może popłyniesz ze mną?

Oparłam głowę na jego ramieniu jak wtedy, gdy spędzaliśmy popołudnie w lanai.

- Dobrze.

- Ciągle myślę o tym poranku, kiedy zobaczyłem cię u Henry ego - powiedział, patrząc na mnie.

- O czym dokładnie? - spytałam, licząc na to, że powie to, co przypuszczałam, że powie.

- Miałem nadzieję, że będziemy razem.

Owładnęło mną uczucie, jakiego do tej pory nie znałam. Czułam, że mnie kocha, ale nie tylko. Czułam też, że mnie ubóstwia.

Jack sięgnął do kieszeni i chwycił moją dłoń.

- Emily. - Odchrząknął. - Chciałbym ci coś podarować. W ręku trzymał małe czarne pudełko, które Elliot dał mu

na pogrzebie Evelyn. Co jest w środku? Drżącymi palcami otworzyłam wieczko i zobaczyłam, że od czegoś w środku odbija się światło ulicznych lamp. Jack znów odchrząknął.

- Dziadek przekazał mi pierścionek, który wiele lat temu podarował ukochanej kobiecie. Ja chciałbym podarować go tobie.

Westchnęłam z zachwytem. Zobaczyłam ogromnym diament w kształcie łzy osadzony między dwoma rubinami. Od razu poznałam, że był to pierścionek zaręczynowy Esther. Instynktownie włożyłam go na palec.

Jack dostrzegł, że rozpoznałam jego prezent.

- Znasz historię tego pierścionka, prawda? Przytaknęłam.

- Skąd?

- Prowadziłam w tym miesiącu badania - odparłam enigmatycznie.

- Ja też. Ze względu na dziadka chciałem dotrzeć do Esther. Chciałem, żeby znów się zobaczyli. -

Kopnął kamyk na chodniku. - Ale już za późno.

- Dlaczego tak sądzisz? Był teraz zmartwiony.

- Obawiam się, że zmarła. Serce we mnie zamarło.

- Skąd to wiesz?

Potał oczy ze zmęczenia, a może ze smutku.

- Jej pielęgniarzka mi powiedziała. Zajmowała się nią przez ostatnie piętnaście lat, kiedy podupadła na zdrowiu. To z nią

widziałas mnie tego wieczoru w mieście i to ona odebrała telefon w moim domu.

- Trochę się pogubiłam. Jak ją znalazłeś?

- To ona się ze mną skontaktowała. Powiedziała, że spełnia ostatnie życzenie Esther, która chciała się dowiedzieć, gdzie przebywa mój dziadek.

Westchnęłam.

- A więc nie żyje. Jack przytaknął.

- Niestety, tak. Potrząsnęłam głową.

- Nie, to nie może być prawda. - Moje serce odrzucało możliwość takiego zakończenia.

- Jak miała na imię ta pielęgniarka?

- Lana - odparł. Uśmiechnęłam się znacząco.

- To wszystko tłumaczy. Jack był zdezorientowany.

- Ale co?

- Jack, Lana nie jest jej pielęgniarką, tylko jej córką. Córką Elliota.

Jack podrapał się po czole.

- To nie ma sensu.

- Wiem, że nie ma, ale to prawda. Skoro Lana odezwała się do ciebie i nie wyjawiała ci swojego pokrewieństwa z Esther, być może skłamała również na temat miejsca jej pobytu albo śmierci, chociaż jej matka nadal żyje. Myślę, że w ten sposób stara się ją chronić. I jeszcze coś - ciągnęłam, zanim Jack zdążył odpowiedzieć. - Wspomniałeś, że ta cała Lana zamówiła u ciebie obraz. Czy to ten portret w twojej pracowni - kobieta na plaży?

- Tak, miał być dla jej mamy. Malowałem go ze starego zdjęcia.

- Jack, a nie przyszło ci do głowy, że kobieta ze zdjęcia to Esther, a córka chciała jej podarować obraz namalowany przez potomka Elliota?

Jack przez chwilę rozważał ten pomysł, po czym go odrzucił.

- Powiedziała, że jej matka i ojciec przebywają w domu spokojnej starości w Arizonie. Jeśli to, co mówisz jest prawdą, dlaczego starała się ją ukryć za pomocą tak rozbudowanego kłamstwa?

- Myślę, że po to aby jej matka nie cierpiała po raz kolejny - odpowiedziałam.

Wzruszył ramionami.

- Chciałbym, żeby to była prawda, Emily, ale nie jestem

o tym przekonany. Pamiętam, jak opowiadała o życiu Esther

i jej odejściu. Brzmiało to bardzo wiarygodnie.

Zerwał się wiatr i Jack odruchowo otulił mnie ramionami jak ciepłym kocem.

- Chciałbym, żeby ich historia skończyła się inaczej - rzekł, przytulając mnie mocno - ale my możemy napisać swoją własną. Nasza miłość nie musi się skończyć tragicznie.

Delikatnie pocałował mnie w czoło i wtedy znów odezwały się syreny.

- I pomyśleć, że prawie uciekłam od ciebie, od tego wszystkiego - powiedziałam.

Ścisnął moją dłoń.

- Bardzo się cieszę, że tego nie zrobiłaś.

Trzymając się za ręce, weszliśmy na pokład promu i usiedliśmy na ławce z widokiem na Seattle.

Byliśmy coraz bliżej miasta, a ja coraz mocniej wyczuwałam zaniepokojenie Jacka stanem dziadka.

Czy będzie przytomny, gdy dotrzemy na miejsce? Czy będzie mógł mówić? Czy przez to, że przeczytał pamiętnik, moja obecność sprawi mu ból?

Przyjechaliśmy do szpitala i od razu wjechaliśmy na czwarte piętro. W recepcji spyaliśmy o Elliota.

- Obawiam się, że z nim źle - pielęgniarka niemal wyszeptwała. - Od południa był pobudzony i dezorientowany. Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby czuł się komfortowo, ale

lekarze mówią, że nie zostało mu wiele czasu. Powinni się z nim państwo zawczasu pożegnać.

Jack był blady jak ściana, gdy dotarliśmy do sali, w której leżał jego dziadek.

- Nie dam rady wejść tam sam - powiedział do mnie. Dotknęłam ręką jego ramienia.

- Nie musisz.

Razem weszliśmy do pokoju, gdzie Elliot podłączony był do arsenału kabli i ekranów. Jego skóra była blada, a oddech ledwo wykrywany przez urządzenia.

- To ja, dziadku, Jack - przywitał się cicho, klękając przy łóżku Elliota.

Elliot powoli otwierał powieki, ale zdołał je podnieść tylko do połowy.

- Przyszła - powiedział miękko, prawie szepcząc. - Była tu. Widziałem ją.

- Kogo, dziadku?

Zamknął oczy, a jego powieki zaczęły drżeć, jakby był pogrążony we śnie.

- Te błękitne oczy - ciągnął. - Błękitne jak zawsze.

- Dziadku - zaczął cicho Jack z oczami błyszczącymi nadzieją - Kto taki?

- Powiedziała mi, że wychodzi za mąż - odparł Elliot, ponownie otwierając oczy, ale teraz był wyraźnie pogrążony we wspomnieniach. Na twarzy Jacka zobaczyłam rozczarowanie. - Powiedziała mi, że wychodzi za tego idiotę Bobby'ego. Po co za niego wychodzi? Przecież go nie kocha. Kocha mnie. Należymy do siebie. - Usiadł i nagle zaczął szarpać za przewód kroplówki przytwierdzony do jego ramienia. - Muszę ją przekonać, żeby tego nie robiła. Muszę jej powiedzieć. Uciekniemy razem. Tak zrobimy.

Jack był poruszony.

- Ma halucynacje. Pielęgniarka mnie ostrzegła, że może tak reagować na leki.

Elliot sprawiał wrażenie zdesperowanego i oszalałego z rozpacz. Jednym uderzeniem słabej ręki udało mu się strącić na podłogę pulsometr, zanim Jack podskoczył, by go uspokoić.

- Spokojnie, dziadku, nigdzie nie pójdziesz. - Odwrócił się do mnie. - Emily, przywołaj pielęgniarkę.

Przycisnęłam czerwony guzik przy łóżku Elliota i chwilę później wpadły do sali dwie pielęgniarki.

Jedna pomogła nam włożyć Elliota z powrotem do łóżka, druga zrobiła mu zastrzyk w lewe ramię.

- To panu pomoże odpocząć, panie Hartley - powiedziała. Gdy Elliot zasnął, zwróciłam się do Jacka.

- Idę po picie. Przynieść ci coś?

- Kawę - wyszeptał, nie odrywając wzroku od Elliota. Skinęłam głową.

Zeszłam do bufetu i z ulgą zobaczyłam, że nadal jest otwarty. Nalałam dwa kubki espresso i włożyłam do kieszeni saszetkę cukru oraz dwie miniaturowe śmietanki z pięćdziesięciopro-centową zawartością mleka. Jaką kawę lubi Jack? Przypominałam sobie o badaniu Annabelle, ale szybko dałam sobie spokój i po znalezieniu portfela zapłaciłam dwa dolary dwadzieścia pięć centów za kawę.

W windzie naszała mnie myśl o Elliocie. Był przekonany o tym, że zobaczył Esther. Ujął mnie za serce tym, że nadal tak mocno ją kochał, nawet teraz, u kresu swojego życia. Tuż przed jego salą usłyszałam, iż ktoś do mnie podchodzi.

- Przepraszam - powiedział kobiecy głos. Odwróciłam się i zobaczyłam pielęgniarkę, która trzymała w ręku kawałek papieru.

- Czy znalazła pani może w pokoju pana Hartleya damski szal?

Pokręciłam głową.

- Nie, przykro mi, nic nie zauważyłam. Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

- Trudno - odparła, patrząc na kartkę w swoich dłoniach. -Przed chwilą dzwoniła kobieta, jej matka zostawiła - odczytała ze świstka - „niebieski szalik z jedwabiu w czasie dzisiejszych odwiedzin u pana Hartleya”.

Otworzyłam oczy ze zdziwienia.

- Czy podała swoje nazwisko? Albo numer telefonu? Pielęgniarka spojrzała na mnie.

- Zna ją pani?

- Możliwe, że tak - odparłam, ciężko przelękając ślinę. Znow spojrzała na kartkę.

- To dziwne. Pielęgniarka z wcześniejszej zmiany odebrała telefon. Nie zapisała nazwiska tej pani.

Westchnęłam rozczarowana.

- Cóż, jeśli panie znajdzie ten szalik, proszę go zanieść do pokoju pielęgniarek. Może ta pani znow zadzwoni. Przepraszam za kłopot.

- Co z nim? - szepnęłam do Jacka, gdy z powrotem weszłam do sali. Podałam mu kawę i wyciągnęłam na dłoń saszetkę z cukrem i pojemniczki ze śmietanką.

- Nadal śpi - odrzekł i omijając cukier, wybrał jedną śmietankę, którą wlał do kubka.

Zrobiłam dokładnie to samo. Pocałowałam go w policzek.

- Za co to? - zapytał.

- Za nic - wyszeptałam.

Podeszłam na palcach do łóżka Elliota i nakryłam mu ramiona kocem. Gdy to zrobiłam, dostrzegłam coś pod jego nakryciem. Trzymał coś w rękach. To był szal. Niebieski. Przytulił go do piersi.

Łzy zakręciły mi się w oczach, bo w tym momencie już wiedziałam.

- Ty płaczesz - szepnął Jack.

- Płaczę - odparłam, uśmiechając się przez łzy spływające mi po twarzy.

Nareszcie płaczę. Tyle chciałam mu opowiedzieć, tyle chciałam mu wyznać, ale to wszystko mogło poczekać. Docierało do mnie tylko to, że z oczu lecą mi gorące łzy. Spływały mi po policzkach tak gwałtownie, że przeszło to moje najśmielsze oczekiwania. Z każdą kroplą było mi lżej, czułam się szczęśliwsza, zdrowiałam.

Jack przyciągnął mnie do siebie.

- Dziękuję, że tu ze mną jesteś.

Uścisnęłam go i w tym momencie pielęgniarka otworzyła drzwi od sali. Wyszepiała w moją stronę:

- Proszę pani, już wiem, kto dzwonił. Podpisała się w zeszycie odwiedzin.

Jack podszedł wtedy do Elliota, który się wybudzał, a ja wyszłam za pielęgniarką na korytarz.

- Lana - powiedziała, pokazując mi notatnik, w którym zapisała swoje imię. - Miała na imię Lana.

- Lana - powtórzyłam przez łzy i poczułam dreszcze. - Oczywiście, że tak.

Nigdy się nie dowiem, jakie słowa między nimi padły, gdy spotkali się po życiu spędzonym osobno.

Czy obejmowali się? Czy płakali nad latami, które stracili? Myślę, że tak naprawdę nie ma to znaczenia. Zobaczył swoją córkę. I znów zobaczył Esther.

- Wszystko w porządku, skarbie? - dopytywała się pielęgniarka, kładąc rękę na moim ramieniu.

- Tak - mówiąc to, uśmiechnęłam się. - Tak. Usiadłam na rozkładanym metalowym krześle w korytarzu

przed salą Elliota. Światłówki brzęczały mi nad głową, a powietrze pachniało zwietrzałą kawą i płynem do dezynfekcji. Otworzyłam torbę i wyciągnęłam z niej laptop. Od wielu lat nie czułam takiej determinacji i jasności umysłu. Wpatrywałam się w kursor migający na pustej stronie, ale tym razem było inaczej. Wiedziałam już, czym zakończę historię Esther. Znałam jej początek i koniec, każde jedno słowo.

Jednak gdy cyfrowy zegar na ścianie korytarza zmienił cyfry z 11.59 na 12.00, czyli dokładnie o północy, uświadomiłam sobie, że najpierw muszę napisać inną historię. Był pierwszy kwietnia - nowy dzień, nowy miesiąc, początek nowej historii - mojej historii. Nie mogłam się doczekać, żeby ją opowiedzieć.